

„Dziennik geniusza” Salvador Dali

Wstęp

Od wielu lat Salvador Dali dzielił się z nami uwagami na temat dziennika, który systematycznie prowadzi. Początkowo skłonny był nadać mu tytuł *Moje resekretne życie*, sugerujący niejako dalszy ciąg *Sekretnego życia Salyadora Dali*¹ autorstwa Dalego. Ostatecznie zdecydował się na tytuł bardziej precyzyjny i bardziej odpowiadający rzeczywistości: *Dziennik geniusza*. Widnieje on na okładce jednego z zeszytów szkolnych, zawierającego pierwsze rozdziały kolejnego dzieła Dalego. W nieuporządkowanej formie autor przedstawia w nim swoje myśli, rozterki malarza owładniętego manią doskonałości, swoją miłość do żony, relacje ze swych nieprawdopodobnych spotkań, poglądy estetyczne, psychologiczne, filozoficzne, biologiczne.

Dali jest świadom własnego geniuszu, i to w stopniu zadziwiającym. Ta głęboka wiara jest zarazem, jak się wydaje, czymś niezmiernie stymulującym. Rodzice nadali mu imię Salvador, gdyż miał okazać się zbawcą malarstwa zagrożonego śmiercią, a to na skutek wpływów sztuki abstrakcyjnej, akademickiego surrealizmu, dadaizmu oraz — ogólnie rzecz biorąc — wszelkich anarchizujących „izmów”. Dziennik ten jest zatem pomnikiem wzniesionym przez Dalego ku własnej chwale. Nie sposób doszukać się w nim choćby odrobiny skromności, zadziwia natomiast szczerością. Autor ujawnia swe sekrety z niesłychanym bezwstydem, nieokiełznanym humorem, błyskotliwą błazenadą. Podobnie jak *Sekretne życie*, *Dziennik geniusza* jest hymnem na cześć Tradycji, Hierarchii Katolickiej i Monarchii. Zauważmy, jak bardzo w dobie obecnej stronicie te wydadzą się wywrotowe czytelnikowi nie obeznanemu z materia.

Trudno powiedzieć, co bardziej należałoby tu podziwiać: szczerość w nieskromności czy nieskromność w szczerości. Przedstawiając swe życie codzienne Dali zaskakuje tym biografów i pokpiwa sobie nieco z krytyków. Ale czyż nie on właśnie ma w pierwszym rzędzie prawo do mówienia o sobie? Tego prawa nie odbierze mu nikt, zwłaszcza że opowiada, nie szczędząc szczegółów na swój temat. z właściwą sobie inteligencją i liryzmem.

Dali uważany jest za osobę znaną, jako że powziął niezmiernie odważną decyzję, iż stanie się postacią publiczną. Dziennikarze skwapliwie wychwytyją wszystko to, co im podrzyca. Najbardziej przy tym zdumiewa jego zdrowy rozsądek, tak jak w opisywanej przezeń scenie, kiedy to młodzieńcowi pragnącemu osiągnąć sukces radzi delektować się kawiozem i szampanem, by nie umarł z głodu harując jak wyrobnik. Z kolei najbardziej urokliwe u Dalego są jego korzenie oraz szósty zmysł. Korzenie te tkwią głęboko w ziemi, skąd wyruszają na poszukiwanie wszystkich „smakowitych” (by posłużyć się jednym z jego ulubionych wyrazów) dokonają człowieka na przestrzeni czterdziestu wieków malarstwa, architektury i rzeźby. Jego szósty zmysł, skierowany ku przyszłości, wchłaniają, przewiduje i pojmuje z ogromną łatwością. Nie Sposób przecenić faktu, że Dali przejawia ogromne zainteresowanie zdobyczami nauki. W

twórczości jego pobrzmiewają echa wszystkich odkryć i wynalazków, które pojawiają się tu w nieco tylko zmodyfikowanej formie.

Co więcej, Dali wyprzedza naukę, której racjonalny rozwój głosi proroczo we właściwym mu „irracjonalnym” stylu. On sam niejednokrotnie przeżywał osobiwą przygodę jako twórca: często jego własne pomysły umykają mu spod kontroli, kumulują się w zaskakującym dla niego tempie, konkretyzują się bez Jego udziału. Po początkowym okresie niewiary i niezrozumienia, twórczość Dalego osiągnęła etap, w którym wydaje się ogarniać całą rzeczywistość. Mało tego. Jego pozornie chaotyczne idee, przeniesione na grunt przyrody, są w stanie rozpocząć samodzielny żywot. Wprawia go to czasem w zdumienie: ziarno, rzucone mimochodem w glebę, wydało krzew. Dali kontempluje jego owoce w charakterystyczny dla siebie, błazeński sposób. Odkąd dzięki ludzkiej woli i przypadkowi chimeryczny projekt ujrzał światło dzienne, dojrzał i okrzepi, Dali nie wierzy już w jego nierealność.

Dodam jeszcze, że Dziennik geniusza jest dziełem prawdziwego pisarza. Dalego cechuje plastyczność opisu, umiejętność błyskawicznej i ciętej repliki. Styl jego jest błyskotliwy, barokowy; ma w sobie coś z Renesansu, podobnie jak jego malarstwo. Korekty tych stroniec dokonano wyłącznie przez wzgląd na ortografię, która jest fonetyczna we wszystkich językach, w jakich pisze — w katalońskim czy hiszpańskim, angielskim lub francuskim, nie usuwając nic z jego wybujałości językowych, krasomówstwa, obsesji. To dokument ogromnej wartości, dotyczący rewolucyjnego malarza, którego znaczenie jest niebagatelne, a w którego płodnym umyśle należy doszukiwać się genezy niepowtarzalnych i bulwersujących zjawisk. Amatorzy sztuki i mocnych wrażeń, a także psychiatrzy mogą skwapliwie pochylić się nad tymi stronicami. Traktują one o człowieku, który powiedział: „Jedyna różnica między szaleńcem a mną polega na tym, że ja nim nie jestem”.

MICHEL DEON

Prolog

Większa jest różnica między jednym
człowiekiem a drugim niż między
dwojgiem zwierząt odmiennego gatunku.
Michel de Montaigne

Od czasów Rewolucji Francuskiej rozpowszechnia się biedna, bzdurna i podzielana przez wszystkich opinia, że geniusze (pomijając ich dorobek twórczy) są istotami

ludzkimi pod każdym względem przypominającymi (w większym lub mniejszym stopniu) zwykłych śmiertelników. Jest to opinia fałszywa. Jeżeli zaś jest fałszywa w odniesieniu do mnie, geniusza o najbogatszym w dzisiejszych czasach życiu duchowym, najprawdziwszego geniusza współczesności, jest ona tym bardziej fałszywa w odniesieniu do geniuszy, którzy ucieleśniali szczytowe osiągnięcia Renesansu, jak na przykład Rafael — geniusz otoczony niemal aureolą boskości.

Ta oto książka udowodni, że życie codzienne geniusza, jego sen, trawienie, ekstazy, paznokcie, przeziębienia, krew, jego życie i śmierć zasadniczo różnią go od całej reszty ludzkości. Ta jedyna w swoim rodzaju książka jest zatem pierwszym dziennikiem napisanym przez geniusza. Co więcej — przez jedynego geniusza, który miał niepowtarzalną szansę poślubić genialną Galę, jedyną mitologiczną niewiastę naszych czasów.

Oczywiście nie wszystko zostanie dziś powiedziane. W dzienniku tym, obejmującym jedenaście lat (od 52 do 63 r.) mojego resekretnego życia, będą widniały niezapisane strony. Na moją prośbę i za zgodą wydawcy niektóre lata i dni muszą na razie pozostać nieznane. Rządy demokratyczne nie są w stanie publikować wiadomości o rewelacyjnych odkryciach, jakie dla mnie są chlebem powszednim. Niewydane materiały

ukazą się później w ośmiu kolejnych tomach pierwszej serii Dziennika geniusza, jeśli zaistnieją ku temu sprzyjające okoliczności; jeżeli nic — w drugiej serii, kiedy Europa powróci do swego tradycyjnego ustroju monarchicznego. Wyglądając z utęsknieniem, tej chwili pragnę, aby także czytelnik oczekiwał jej w napięciu, a zarazem poznawał na temat atomu Dalego wszystko to, czego może się już teraz dowiedzieć.

Oto wyjątkowe, a niezwykle przyczyny, niemniej całkowicie wiarygodne, dla których wszystko, co teraz nastąpi (wliczając w to moją osobę), od początku do końca okaże się genialne —nieodwołalnie i niezaprzeczalnie — albowiem chodzi tu jedynie o wierny Dziennik waszego wiernego i pokornego sługi.

1952

Port Lligat, 1 maja

Bohaterem jest ten, kto buntuje się przeciw autorytetowi ojcowskiemu i przewycięża go.
Zygmunt Freud

Aby napisać to, co następuje, używam po raz pierwszy lakierków, w których nigdy nie mogłem zbyt długo chodzić, ponieważ są okropnie ciasne. Wkładam je zazwyczaj tuż przed rozpoczęciem prelekcji. Bolesny ucisk, jaki wywierają na stopy, potęguje do granic możliwości moje zdolności oratorskie. Ten wyszukany a przenikliwy ból sprawia, że śpiewam jak słowik albo któryś z pieśniarzy neapolitańskich, co to również noszą

przyciasne trzewiki. Nieokiełznana fizyczna żądza tudzież straszliwe tortury, jakie zadają mi lakierki, zmuszają mnie do tego, bym w skondensowanej formie ujawniał boskie prawdy, głosząc je wszem i wobec, nękanym ogromem cierpienia swych udreńczonych stóp. Wkładam zatem trzewiki i zaczynam opisywać, masochistycznie, bez pośpiechu, całą prawdę na temat wykluczenia mojej osoby z grupy surrealistycznej. Niewiele mnie obchodzi oszczerstwa, do jakich może się posunąć Andre Breton, który nie potrafi mi wybaczyć, że jestem ostatnim i jedynym surrealistą. Ważne jest jednak, aby pewnego dnia wszyscy się dowiedzieli, kiedy już opublikuję te stronicę, jak właściwie rzecz się miała. W tym celu muszę cofnąć się do okresu dzieciństwa. Nigdy nie potrafiłem być przeciętnym uczniem. Czasem sprawiałem wrażenie, że nie jestem zdolny czegokolwiek się nauczyć, popisując się skrajną tępotą umysłową, czasem chłonałem wiedzę z takim fanatyzmem, z tak wielką namiętnością i cierpliwością, że wprawiało to wszystkich w osłupienie. Aby zapal ten umiejętnie podsycać, należało skierować uwagę na rzecz, która by mnie zainteresowała. Wystarczyło, że coś mnie zaintrygowało, bym przejawiał nieposkromiony głód wiedzy.

Pierwszy z moich nauczycieli, Don Esteban Trayter², powtarzał mi przez cały rok, że Bóg nie istnieje, niezmordowanie dodając przy tym, iż religia to „sprawa kobiet”. I chociaż byłem młody wiekiem, pogląd ten wprawił mnie w zachwyt. Wydawał mi się nieodparcie prawdziwy. O jego słuszności mogłem przekonać się codziennie w rodzinnym domu, gdzie jedynie kobiety chodziły do kościoła. Ojciec trzymał się z dala od tych spraw, uznając się za wolnomysliciela. Aby tym dobitniej podkreślić niezależność własnych przekonań, nawet najkrótsze wypowiedzi okraszał strasznymi i oryginalnymi bluźnierstwami. Jeśli ktoś był tym zgorszony, z lubością powtarzał aforyzm swego przyjaciela, Gabriela Alamara: „Bluźnierstwo to najpiękniejsza ozdoba języka katalońskiego”.

Postanowiłem zresztą opowiedzieć o tragicznym życiu ojca. Zaiste, godne jest ono Sofoklesa. Ojciec mój rzeczywiście był „człowiekiem, którego nie tylko najbardziej podziwiałem, ale także najczęściej naśladowałem, sprawiając, że bardzo cierpiał z tego powodu. Proszę Boga, by miał go w swej najświętszej opiece, co jak sądzę, już nastąpiło, albowiem przez trzy ostatnie lata życia przechodził głęboki kryzys wiary, czego błogosławionym skutkiem okazało się pocieszenie i odpuszczenie grzechów, gdy udzielano mu ostatnich sakramentów.

Niemniej, w okresie dzieciństwa, kiedy umysł mój spragniony był wiedzy, w bibliotece ojca znajdowałem wyłącznie książki o treści ateistycznej. Przeglądając je, skwapliwie przyjąłem do wiadomości (i nie było to wcale dziełem przypadku), że Bóg nie istnieje. Z nieprawdopodobną cierpliwością czytałem encyklopedystów, którzy wydają mi się dzisiaj okropnie nudni.

Słownik filozoficzny Woltera na każdej Stronie dostarczał mi argumentów natury prawnej (podobnie jak w wypadku ojca, który był notariuszem) na nieistnienie Boga.

Kiedy po raz pierwszy otworzyłem Nietzschego, doznałem głębokiego wstrząsu. Bez ogródka potrafił powiedzieć: „Bóg umarł!” Jakże to! Właśnie dowiedziałem się, że Bóg nie istnieje, a teraz ktoś powiadamia mnie o jego zgonie! I tak zrodziły się pierwsze wątpliwości. Zaratustra wydał mi się nie lada bohaterem; podziwiałem jego wielkość

ducha, lecz jednocześnie przejawiał taką dziecinadę, z której ja, Dali już dawno wyrósłem. Kiedyś będę większy od niego! Nazajutrz, po pierwszej lekturze książki Tako rzecze Zaratustra wyrobiłem sobie zdanie na temat Nietzschego. Był to człowiek słaby. Jego słabość polegała na tym, że stał się szaleńcem, podczas gdy w tej dziedzinie najważniejsze to starać się nim nie być! Refleksje te stanowiły podstawę mojej pierwszej dewizy życiowej, którą miałem się kierować w życiu: „Jedyna różnica między szaleńcem a mną polega na tym, że ja nim nie jestem”. W trzy dni przyswoiłem sobie i przetrawiłem Nietzschego. Po tej uczcie drapieźnika pozostał mi jeszcze jeden szczegół osobowości filozofa, ostatnia kość do obgryzienia: jego wąsy! Federico Garcia Lorca, zafascynowany wąsami Hitlera, oświadczy później, że „wąsy są stałym elementem tragicznym ludzkiej twarzy”. Nawet pod tym względem miałem przewyższyć Nietzschego! Moje wąsy nie będą przygnębiające, katastroficzne, przytłoczone muzyką wagnerowską i mgłami. Nie! Będą wysmukłe, imperialistyczne, ultraracjonalistyczne, strzelające ku niebu niczym mistycyzm wertykalny, niczym struktury pionowe hiszpańskich związków zawodowych³.

Nietzsche, miał utwierdzić mnie w ateizmie, po raz pierwszy zasiał w moim umyśle wątpliwości i pytania natury premistycznej, czego ukoronowaniem miał okazać się rok 1951, kiedy to zredagowałem swój Manifest⁴. Natomiast jego osobowość, owłosienie oraz nieprzejednane stanowisko względem ławych i wyjąłowionych cnót chrześcijaństwa przyczyniły się w sensie psychologicznym do rozwoju moich cech antyspołecznych i antyrodzinnych, w sensie fizjologicznym zaś— do określenia mojej sylwetki. Po lekturze Zaratusztry zapuściłem bokobrody, które pokryły mi policzki aż do kącików ust, a hebanowe włosy stały się długie jak u niewiasty. Za sprawą Nietzschego zrodziła się we mnie idea Boga. Równocześnie jednak, jako wzór do podziwiania i naśladowania, sprawił, że wykluczono mnie z własnej rodziny. Wypędzono mnie za to, że zbyt wnikliwie studiowałem i dosłownie interpretowałem ateistyczne i anarchizujące nauki z książek ojca, który również nie mógł ścierpieć tego, że prześcigałem go we wszystkim, zwłaszcza zaś, że moje bluźnierstwa były jeszcze bardziej soczyste niż jego własne.

Cztery lata poprzedzające wykluczenie mnie z rodziny okazały się nieustannym i radykalnym „przewrotem duchowym”. Były to dla mnie cztery prawdziwie nietzscheańskie lata. Moja ówczesna egzystencja byłaby niezrozumiała, gdyby nie rozpatrywać jej pod tym właśnie kątem. Był to okres, kiedy aresztowano mnie w Geronie, kiedy Salon Jesienny w Barcelonie odrzucił jeden z moich obrazów za treści obsceniczne, kiedy wspólnie z Bunuelem redagowałem obelżywe listy adresowane do lekarzy-humanistów i wszystkich najważniejszych osobistości w Hiszpanii, łącznie z laureatem nagrody Nobla, Juanem Ramonem Jimenezem. Najczęściej cała ta działalność była absolutnie nieuzasadniona, pragnąłem jednak wyrazić w ten sposób swoją „wolę mocy” i udowodnić sobie samemu, że nie jestem jeszcze czuły na wyrzuty sumienia. Moim nadczłowiekiem miała stać się ni mniej ni więcej tylko kobieta — nadkobieta Gala.

Gdy w domu ojca, w Cadaques surrealiści zauważyli obraz który niedawno namalowałem, a który Paul Eluard nazwał: Żałobna gra, zgorszeni byli elementami skatologicznymi i analnymi tego malowidła. Zwłaszcza Gala odniosła się krytycznie do mego dzieła. Reakcja jej była tak gwałtowna, że wywołała wówczas mój sprzeciw.

Później jednak taka jej postawa sprawiała, że żywiłem dla niej uwielbienie. Nosilem się z zamiarem dołączenia do grupy surrealistycznej, której hasła i poglądy skrupulatnie studiowałem, nie zaniedbując najdrobniejszego szczegółu. Sądziłem, że chodzi tu o spontaniczny zapis myśli bez jakiegokolwiek kontroli, czy to z racjonalnego, czy też estetycznego lub psychologicznego punktu widzenia. I co się okazało? Kiedy pełen jak najlepszych chęci miałem ostatecznie dołączyć do grupy, zaczęto przede mną piętrzyć przeszkody, podobnie jak w mojej własnej rodzinie. Gala pierwsza mnie ostrzegła, że wśród surrealistów spotkam się z równie nieprzychylnym nastawieniem jak gdzie indziej i że w gruncie rzeczy wszyscy oni mają mentalność mieszczańską. Moją siłą — przewidywała — będzie trzymanie się na dystans, jeśli chodzi o wszelkie prądy artystyczne i literackie. Dodawała przy tym proroczo (jej intuicja przewyższała wówczas moją własną), iż moja metoda paranoiczno-krytyczna jest tak niepowtarzalna, że pozwoliłoby to pierwszemu lepszemu członkowi grupy na stworzenie odrębnej szkoły. Moja nietzscheańska energia nie była jednak Gali posłuszna. Absolutnie nie miałem zamiaru utożsamiać surrealistów z jeszcze jedną grupą artystyczno-literacką. Uważałem, że są w stanie wyzwolić człowieka spod tyranii „świata praktycznego rozumu”. Miałem stać się Nietzschem irracjonalności. Ja, zaciekły racjonalista, byłem jedyną osobą, która wie, czego chce: nie poddam się irracjonalności dla samej irracjonalności, irracjonalności narcystycznej i receptywnej, jak czynią to inni — wręcz przeciwnie. Wydam bitwę, której celem będzie „zdobycie irracjonalności”⁵ W tym okresie moi przyjaciele pozwolą się usidlić irracjonalności, ulegając jak wiele innych osób, nie wyłączając Nietzschego, tej romantycznej słabości.

Prześląknęty wszystkimi możliwymi ideami surrealistycznymi i czyniąc ukłon w stronę Lautreamonta i markiza de Sade, dołączyłem wreszcie do grupy, pełen wiary, wiary jakże jezuickiej, pragnąc w głębi duszy stać się rychło jej przywódcą. Z jakiego powodu miałbym odczuwać chrześcijańskie skrupuły względem mego nowego ojca, Andre Bretona, skoro nie miałem ich w stosunku do tego, któremu zawdzięczam swe istnienie?

Pojmowałem więc surrealizm dosłownie, nie zapominając ani o krwi, ani o ekskrementach, które stanowiły pożywkę dla zjadliwych ataków jego obrońców. Podobnie jak pragnąłem zostać absolutnym ateistą, czytając książki ojca, tak teraz studiowałem „nauki surrealistyczne” z taką sumiennością, że wkrótce stałem się jedynym „surrealistą integralnym”. Konsekwencją tego było wykluczenie mnie z grupy, gdyż okazałem się zbyt surrealistyczny. Argumenty, jakie mi przedstawiono, przypominały mi powody, dla których wykluczono mnie z rodziny. Gala Gradiva, „Krocząca naprzód”, „Niepokalana intuicja” jeszcze raz miała rację. Dziś już mogę powiedzieć, że spośród wszystkich prawd, których nie jestem w stanie zakwestionować, jedynie dwie nie dadzą się wyjaśnić dzięki mojej woli mocy: jedną jest Wiara, którą odzyskałem w 1949 roku, drugą zaś to, że Gala będzie miała zawsze rację, co się tyczy mojej przyszłości.

Kiedy Breton odkrył moje malarstwo, zaszokowany był szpecącymi je elementami skatologicznymi. Zaskoczyło mnie to. Zaczynałem od g..., co z psychoanalitycznego punktu widzenia mogło w przyszłości być uznane za pomyślną wróżbę — groźbę złotej fali, co miała mnie na szczęście zalać! Chytrze przekonywałem surrealistów, że elementy skatologiczne mogą jedynie przynieść ruchowi powodzenie. Na próżno

powoływałem się na ikonografię trawienną ze wszystkich epok i cywilizacji: kura o złotych jajach, jelitowe delirium Danae, osioł o złotych ekskrementach... Nie dawano mi wiary. Toteż rychło podjąłem odpowiednią decyzję. Skoro wzgardzili g..., które tak wspaniałomyślnie im ofiarowałem, zachowam te skarby i to złoto dla siebie. Słynny anagram, stworzony z tak wielkim mozolem dwadzieścia lat później przez Bretona: Avida Dollars ⁶ już wówczas można było proroczo lansować.

Wystarczył mi tydzień działalności w grupie surrealistycznej, by dojść do wniosku, że Gala miała rację. Moje elementy skatologiczne w pewnym stopniu tolerowano, natomiast szereg innych rzeczy zakwalifikowano jako „tabu”. Napotykałem tu te same trudności co w domu rodzinnym. Krew mogłem prezentować. Mogłem doń dorzucić odrobinę gówienka. Ale już nie miałem prawa eksponować samego gówienka. Zezwolono mi na przedstawianie genitaliów, ale fantazje analne były już zabronione. Na odbyt spoglądano bardzo niechętnym okiem! Lesbijki nawet im się podobały, ale pederacji już nie. Z marzeń sennych można było do woli czerpać elementy sadystyczne, posługiwać się parasolami i maszynami do szycia, ale jakiegokolwiek treści religijne, nawet zabarwione mistycyzmem, były niedozwolone (chyba że na użytek laików). Nawet jeśli śniła się Madonna Rafaela bez widocznych bluźnierczych treści, nie można było tego prezentować...

Jak już wspominałem, stawałem się stuprocentowym surrealistą. Pełen najlepszych chęci, postanowiłem doprowadzić swój eksperyment aż do ekstremalnych granic, do niemalże absurdalnych rozmiarów. Czułem, że jestem gotów do działania, pełen owej śródziemnomorskiej i paranoicznej obłądy, do czego — jak sądzę — tylko ja jestem zdolny w swej perwersyjności. W tamtych czasach liczyło się dla mnie popełnianie jak największej ilości grzechów, mimo że zdążyła już mnie oczarować poezja świętego Jana od Krzyża. Znałem ją wówczas jedynie ze słyszenia, dzięki egzaltowanej interpretacji Garcii Lorki. Już wtedy miałem przecucie, że problemy religijne będą dla mnie czymś ważnym. Tak jak święty Augustyn, który oddając się rozpuście i orgiastycznym hulankom prosił Boga, by zesłał nań Wiarę, wzywałem niebiosy, dodając: „Tak, ale nie od razu. Dopiero za jakiś czas... „Zanim moje życie stanie się tym, czym jest dzisiaj, a mianowicie przykładem ascetyzmu i cnoty, pragnąłem kurczowo trzymać się swego iluzorycznego surrealizmu polimorficznego zbrojeńca, choćby o trzy minuty dłużej, tak jak śpiący, który usiłuje przedłużyć ostatnie chwile dionizyjskiego snu. Wszędzie towarzyszył mi nietzscheański Dionizos, niczym cierpliwa piastunka, i wkrótce nie omieszkałem zauważyć, że rośnie jej koki że jej rękaw zdobi opaska ze swastyką. Zdaje się, że zacząłem wtedy faszyzować — o przepraszam! — faszerować zidiociale umysły niestrawną dla nich papką.

Moja płodna i jakże elastyczna wyobraźnia zawsze miała dostęp do najdoskonalszych technik badawczych, które jedynie spotęgowały me wrodzone wariactwo. Tak więc otoczony ze wszystkich stron surrealistami, każdego ranka zachodziłem w głowę, co by tu zrobić, aby zaakceptowano ideę lub obraz mimo ich całkowitej sprzeczności z „surrealistycznym gustem”. Wszystko, co wnosiłem, kłóciło się z ich oczekiwaniami. Nie podobały im się skojarzenia analne! Chytrze podsuwałem im tedy całe masy odbytów, inteligentnie zakamuflowanych, najchętniej zaś odbyty makiaweliczne. Jeżeli tworzyłem

przedmiot surrealistyczny, w którym nie pojawiało się żadne tego typu skojarzenie, symbolika tego przedmiotu odpowiadała dokładnie funkcji odbytu. Tak więc czystemu i biernemu automatyzmowi przeciwstawiłem dynamiczne koncepcje swojej słynnej metody paranoiczno-krytycznej. Entuzjastom dla Matisse'a i tendencji abstrakcyjnych przeciwstawiłem ponadto ultrareakcyjną i wywrotową technikę Meissoniera. Aby pognać sztukę prymitywną lansowałem ultracywilizowane przedmioty secesji, które kolekcjonowałem wspólnie z Diorem, a które miały kiedyś stać się znów modne wraz z pojawieniem się tendencji new-look.

Kiedy Breton nie chciał już słyszeć o religii, usiłowałem oczywiście stworzyć nową, która będzie sadystyczna, masochistyczna, oniryczna i paranoiczna zarazem. Na ten pomysł wpadłem dzięki lekturze dzieł Augusta Comte'a. Być może grupa surrealistyczna zdoła w końcu osiągnąć to, czego filozof ten nie był w stanie dokończyć. Przedtem jednak należało zainteresować Mistyką przyszłego arcykapłana, Andre Bretona. Zamierzałem mu wyjaśnić, że jeżeli to, czego bronimy, jest słuszne, powinniśmy doń dodać trochę elementów mistycznych i religijnych. Przyznaję, że już wtedy przeczuwałem, iż skończy się to powrotem do prawd religii katolickiej, apostoelskiej i rzymskiej, która stopniowo olśniewała mnie swoją chwałą. Moje wyjaśnienia Breton przyjmował z uśmiechem, powracając przy tym niezmiennie do Feuerbacha. Dzięki temu ostatniemu wiemy dzisiaj, że filozofia ma swoje idealistyczne przebliski, o czym wówczas nie wiedzieliśmy.

Podczas gdy czytałem Augusta Comte'a, pragnąc swą nową religię oprzeć na solidnych podstawach, Gala okazała się z nas dwojga najbardziej pozytywna. Całe dni spędzała u handlarzy farb, antykwariuszy i restauratorów obrazów, by zakupić dla mnie pędzle, lakiery i wszelkie materiały, które pozwolą mi malować naprawdę. Nastąpiło to w dniu, kiedy zdecyduję się nie przyklejać już na swych płótnach kolorowych litografii i skrawków papieru. Naturalnie nie chciałem słyszeć o żadnej technice, w chwili gdy tworzyłem kosmogonię Dalego z jej miękkimi zegarami przepowiadającymi dezintegrację materii, jajkami Sadzonymi bez talerza, przygotowującymi o halucynacje anielskimi błyskami w uciskanych przez powieki oczach — reminiscencją mojego wewnątrzmacicznego raju utraconego w dniu narodzin⁷. Nawet nie miałem czasu wszystkiego malować jak należy. Ważne było, aby rozumiano, co chcę wyrazić. Wykańczaniem i wygładzaniem mego dzieła zajmie się następne pokolenie. Gala była jednak odmiennego zdania. Niczym matka zachęcająca dziecko do jedzenia, nalegała:

— No, mój Daliczku, wypróbuj tego oryginalnego materiału. To rozpuszczony bursztyn, bursztyn, którego nie poddano prażeniu. Powiadają, że używał go Vermeer do malowania.

A więc próbowałem, ze zde gustowaną i nostalgiczną miną:

— Tak! Ten bursztyn to chyba dobra rzecz. Ale przecież wiesz, że nie mam czasu zajmować się takimi szczegółami. Mam coś o wiele lepszego. Mam pomysł! Pomysł, który zgorszy wszystkich, a w szczególności surrealistów. Nie można się z tym zdradzić: dwa razy śnił mi się ten nowy Wilhelm Tell! Chodzi o Lenina. Chcę go namalować z pośladkiem trzymetrowej długości podtrzymywanym przez szczudło. W tym celu musiałbym mieć płótno o szerokości 5 i pół metra... Namaluję Lenina wraz z jego

lirycznym atrybutem, nawet jeżeli zostanę wykluczony z grupy surrealistycznej. W ramionach będą trzymał małego chłopczyka, którym będę ja. Spoglądać na mnie będzie krwiożerczym wzrokiem, ja zaś będę krzyczał: „On chce mnie zjeść...!”

— Tego to ja Bretonowi nie powiem! — dodałem, pogrążony w medytacjach osiągających taki stopień spekulatywnej wzniosłości, że często zdarza mi się w tym stanie zmoczyć kalesony!

— No już dobrze — powtarzała Gala łagodnie. — Jutro dostarczę ci bursztynu rozpuszczonego w olejku lawendowym. To warte fortunę. Mimo wszystko chciałabym, byś zastosował go do malowania twojego nowego Lenina.

Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu liryczny pośladek Lenina wcale nie wywołał zgorszenia wśród moich przyjaciół surrealistów. Rozczarowanie to dodało mi jednak odwagi. A więc mogłem posunąć się dalej... próbować tego, co niemożliwe. Jedynie Aragon wyraził oburzenie z powodu mojej maszyny do myślenia, obwieszanej kubkami ciepłego mleka.

— Dość już tych dziwactw Dalego! — krzyczał ze złością. — Odtąd mleko będzie dla dzieci bezrobotnych rodzin.

Breton stanął po mojej stronie. Aragon wyszedł na idiotę. Nawet w moim domu śmiano by się z mojego pomysłu, ale on oddany już był niezłomnym ideom politycznym, które miały go doprowadzić tam, gdzie znajduje się obecnie, to znaczy — z grubsza rzecz biorąc — nigdzie.

W tym czasie Hitler już hitleryzował i pewnego dnia namalowałem dziergającą na drutach hitlerowską niańkę, która przez nieuwagę usiadła w wielkiej kałuży. Wobec nacisków niektórych spośród najbliższych mi kolegów surrealistów musiałem usunąć widniejącą na jej ramieniu opaskę ze swastyką. Nigdy bym nie przypuszczał, że symbol ten wywoływać będzie tak wielkie emocje. Wpędził on mnie w takie obsesje, że przedmiotem mych delirycznych uniesień stała się osobowość Hitlera, który zawsze pojawiał mi się pod postacią kobiety. Szereg obrazów, jakie wówczas namalowałem, zostało zniszczonych, kiedy armie niemieckie najechały na Francję. Zafascynowany byłem delikatnymi i pulchniutkimi plecami Hitlera, zawsze elegancko opiętymi mundurem. Jak tylko zaczynałem malować koalicijkę, która wychodziła tradycyjnie od pasa przechodząc przez przeciwległe ramię, owa miękkość hitlerowskiego ciała, wciśniętego w bluzę wojskową, wprawiała mnie w stan smakowitej ekstazy — mleczej, odżywczej i wagnerowskiej, co sercu memu nadawała gwałtowny rytm. Podobnych emocji nie doznawałem nigdy, nawet kiedy się kochałem. Pulchniutkie ciało Hitlera, które wyobrażałem sobie jako najbardziej boskie ciało kobiety o nieskazitelnie białej skórze, fascynowało mnie niepomierne. Świadom, mimo wszystko, psychopatologicznego charakteru takiej serii upojeń, powtarzałem z lubością do własnej małżowiny usznej:

— Tak, tym razem sądzę, że wreszcie zbliżam się do prawdziwego szaleństwa!

Do Gali zaś zwracałem się tymi oto słowy:

— Przynieś mi bursztynu rozpuszczonego w olejku lawendowym i najcieńsze pędzle na świecie. Żadna technika nie będzie na tyle precyzyjna i odpowiednia, by oddać w ultrareakcyjnym stylu Meissoniera superodżywcze delirium, mistyczną i cielesną ekstazę, w jaką wpadam, kiedy mam zamiar przedstawić na płótnie ślad, jaki ta

wykonana z delikatnej skóry koalicyjka pozostawia na ciele Hitlera.

Na próżno powtarzałem sobie, że moje hitlerowskie szaleństwa są apolityczne, że rodzące się dzieło, którego źródeł należy doszukiwać się w sfeminizowanym wizerunku führera, jest skandalizująco dwuznaczne, że podobne wyobrażenia są w tym samym stopniu zabarwione czarnym humorem, co w wypadku Wilhelma Tella lub Lenina. Na próżno wszystko to powtarzałem przyjaciółom; nic nie pomagało. Ten kolejny kryzys, przez jaki przechodziło moje malarstwo, stawał się w oczach surrealistów coraz bardziej podejrzany. Sprawy przybrały zły obrót, kiedy rozeszła się nowina, że Hitlerowi przypadły ponoć do gustu widoczne na niektórych moich obrazach takie elementy jak łabędzie, samotność, megalomania, wagneryzm, hieronimo-boschizm.

Zważywszy na moją wrodzoną przekorę, mogły z tego wszystkiego wyniknąć jeszcze większe komplikacje. Poprosiłem Bretona, by w trybie natychmiastowym zwołał zebranie naszej grupy, na którym przedmiotem dyskusji miała być mistyka hitlerowska z punktu widzenia irracjonalności nietzscheańskiej i antykatolickiej. Miałem nadzieję, że antykatolicki aspekt dyskusji oczaruje Bretona. Tak naprawdę uważałem Hitlera za kompletnego masochistę, owładniętego obsesją rozpętania wojny, by następnie przegrać ją bohatersko. W sumie sposobił się on do dokonania jednego z owych *actes gratuits*⁸ bardzo wówczas cenionych przez naszą grupę. Mój upór, aby analizować mistykę hitlerowską z surrealistycznego punktu widzenia, a sadystyczne treści surrealizmu interpretować w duchu religijnym, nasilający się jeszcze, w miarę jak coraz częściej sięgałem do swej metody paranoiczno-krytycznej, dążącej do unicestwienia automatyzmu wraz z nieodłącznym narcyzmem, doprowadził do serii nieporozumień między Bretonem a jego zwolennikami. Zresztą ci ostatni zaczęli już się wahać pomiędzy nim a mną, co było sygnałem ostrzegawczym dla przywódcy grupy.

Namalowałem proroczą wizję śmierci führera. Obraz zatytułowany został Zagadka Hitlera. Konsekwencją tego była klątwa ze strony nazistów i brawa antynazistów, mimo że obraz ten—jak zresztą cała moja twórczość, co głosić będę do końca swoich dni — pozbawiony był jakichkolwiek treści politycznych. W chwili gdy piszę te słowa, przyznaję, że ja sam nie odszyfrowałem jeszcze tej słynnej zagadki.

Pewnego wieczoru zwołano zebranie grupy surrealistycznej, na którym miano zająć oficjalne stanowisko odnośnie do mojego rzekomego hitleryzmu. Było to nadzwyczajne posiedzenie, Niestety, większość szczegółów ze spotkania uleciała mi już z pamięci. Jeżeli jednak Breton zechce się kiedyś ze mną spotkać, chciałbym, by zapoznał mnie z protokołem, który zapewne zredagowano po zebraniu. Właśnie kiedy miano mnie wykluczyć z grupy surrealistycznej, zaatakowała mnie angina. Jak zawsze, trzęsąc się tchórzliwie, kiedy tylko poczuję się chory, przyszedłem na zebranie trzymając termometr w ustach. Sądzę, że co najmniej cztery razy mierzyłem temperaturę podczas tego „procesu”. Trwał on do późna w nocy. Gdy powróciłem do domu, nad Paryżem wstawał świt.

Podczas swojej mowy obrończej pro domo kilkakrotnie rzucałem się na klęczki: nie po to by błagać o pozostawienie mnie w grupie, jak to fałszywie interpretowano, lecz aby przekonać Bretona, że moja hitlerowska obsesja jest typowo paranoiczna i z gruntu apolityczna. Wyjaśniłem im również, że nie mogę być nazistą, ponieważ jeżeli Hitler

podbije Europę, nie omieszka wysłać na drugi świat wszystkich histeryków mojego pokroju, co uczynił już w Niemczech, traktując ich jak degeneratów. Wreszcie cechy żeńskie i nieodparcie groteskowe, jakie przypisywałem osobowości Hitlera, wystarczyłyby, aby naziści widzieli we mnie obrazobórcę. Podobnie mój fanatyzm podsycany przez Freuda i Einsteina, których Hitler wygnał z Niemiec, wyraźnie wskazywał, że ten ostatni interesuje mnie wyłącznie jako przedmiot mych delirycznych uniesień, tym bardziej że objawiał się w aspekcie wybitnie katastroficznym.

W końcu przekonano się o mojej niewinności, musiałem jednak podpisać dokument, w którym między innymi oświadczyłem, że nie jestem wrogiem proletariatu. Podpisałem go jak najchętniej, gdyż co się tyczy tej ostatniej kwestii, nigdy nie żywiłem szczególnych uczuć, ani pro, ani tym bardziej contra.

Prawda, jedyna i niepodważalna, wychodziła na jaw z całą ostrością: nie sposób być surrealistą integralnym w grupie, która we wszystkich dziedzinach kierowała się wyłącznie pobudkami politycznymi, niezależnie czy chodziło o zwolenników Bretona, czy o zwolenników Aragona.

Nie mógł dla nich istnieć ktoś taki jak ja, ktoś kto twierdzi, że jest prawdziwym szaleńcem, organicznym i metodycznym, o pitagorejskiej precyzji w najbardziej nietzscheańskim tego słowa znaczeniu. Stało się to, co musiało się stać: Dali, surrealista integralny, domagający się zniesienia wszelkich ograniczeń estetycznych i psychologicznych, ożywiony nietzscheańską wolą mocy, oświadczył, że każdy eksperyment można bezustannie doprowadzać do ostatecznych granic. Domagałem się, aby pozwolono mi domalować Leninowi trzymetrowe pośladki, upaćkać jego portret hitlerowskimi galaretami, udekorowanymi nawet w razie potrzeby rzymskim katolicyzmem. Każdy miał prawo stać się (lub zezwolić na to samo osobie trzeciej) pederastą, koprofagiem, uosobieniem cnoty lub ascetyzmu w stanie ekstatycznego uniesienia, spowodowanego zaburzeniami trawiennymi lub omamami wzrokowymi. Moja polimorficzna perwersja, dająca już znać o sobie w wieku młodzieńczym, osiągnęła histeryczne apogeum: moje szczęki miażdżyły Galę, zakochiwałem się w najbardziej transcendentalnie amoniakalnych, rozkładających się ciałach osłów. Zapachy ludzkich ciał, naturalnym biegiem rzeczy, stały się dla mnie świętością. Humanitarne uczucia okazały się przeszkodą, by zaprezentować całą gamę fotorów, ekstaz analnych (bez odbytu), płynnych i suchych, tudzież labiryntowych splotów jelitowych, podwójnych, potrójnych, poczwórnych lub pogmatwanych jeszcze bardziej. A ponad wszystkim unosiły się ogromne, wycieńczone i wodniste oblicza dumnych i wielkich Masturbatorów, przystrojonych szarańczami o twarzach komunistów, napoleońskich brzuchach i hitlerowskich kobiecych udach, które czepiały się moich ust. To wszystko dopiero się zaczynało!

Ale Breton powiedział Dalem „nie”! I w gruncie rzeczy miał trochę racji, ponieważ z całej tej mieszaniny pragnął przynajmniej wybrać dobro lub zło, dobro i zło... Z drugiej jednak strony, popełnił błąd, gdyż pomimo możliwości wyboru należało delectować się całym proponowanym przez Dalego asortymentem, równie soczystym, co wyrazistym... Jeżeli nie miał całkowitej racji, to dlatego, że Dali —jako absolutny racjonalista— chciał poznać wszystkie możliwe aspekty irracjonalności, nie dlatego, by wydobyć zeń

pierwiastki literackie lub humanitarne, lecz aby ograniczyć i podporządkować sobie ową irracjonalność, której podbój przygotowywał. Cyklotron filozoficznych szczęk Dalego odczuwał głód, pragnąc wszystko miażdżyć, kruszyć i zasypywać pociskami swych neutronów wewnątrzatomowych, aby nikczemny konglomerat trzewiowy i amoniakalny biologii, który jawi nam się dzięki surrealistycznym marzeniom sennym, został przekształcony w czystą energię mistyczną. Kiedy całą tę pulsującą, rozkładającą się masę nasyci ostatecznie i nieodwołalnie pierwiastek duchowy, spełniona będzie misja człowieka na Ziemi, a jego racja bytu —usprawiedliwiona. Wszystko to nabierze nieocenionej wartości.

To właśnie chwila, kiedy syrena Kierkegaarda śpiewa jak mały, cuchnący słowik. A wszystkie egzystencjalistyczne szczury wędrowne, uprawiające nierząd w piwnicach podczas okupacji, rzygały zimnymi resztkami surrealistycznej uczt, które pozostawiliśmy w nich jak w pojemnikach na śmieci. Wszystko było cudownie odrażające; sam człowiek okazywał się tu niepotrzebny!

Nie! — wykrzykiwał do nich Dali. — Niech najpierw wszystko będzie ujęte w racjonalne ramy! Niech najpierw wszystkie nasze lubieżne lęki staną się szlachetne i wzniosłe dzięki nieskończonemu pięknu śmierci, jeśli chcemy wkroczyć na drogę prowadzącą do doskonałości duchowej i ascetyzmu. Tę misję tylko Hiszpan mógł wypełnić, dokonując jednego z najbardziej odrażających i demonicznych odkryć wszystkich czasów. W pierwszym rzędzie chodziło o nadanie temu przedsięwzięciu właściwego wymiaru, o stworzenie dlań geometrii metafizycznej.

Należało skierować swoje oblicze ku godności mającej barwę tlenku srebra, oliwkowej zieleni Velasqueza i Zurbarrana; należało powrócić do realizmu i mistycyzmu, których podobieństwa i współzależność właśnie odkrywaliśmy, zespolić rzeczywistość transcendentalną z jakimkolwiek fragmentem rzeczywistości czystej, tak jak tego dokonał absolutny imperializm wizualny Velasqueza. To jednak zakłada niekwestionowaną obecność Boga, który jest jedyną i najdoskonalszą rzeczywistością!

Te podjęte przez Dalego próby ujęcia rzeczywistości w racjonalne ramy, jakże jeszcze nieśmiałe i nie w pełni świadome, można już było dostrzec w czasopiśmie Minotaure. Picasso poprosił był Skirę, wydawcę tego periodyku, abym mógł opracować ilustracje do Pieśni Maldorora. Któregoś dnia Gała zaprosiła Skirę i Bretona na obiad. Czasopismo miało redagować pod jej kierownictwem i tak oto narodził się Minotaure, którego żywot nie wydawał się pewny. Dzisiaj, już w innym aspekcie, najbardziej uporczywymi próbami ujęcia rzeczywistości w racjonalne ramy wydają się poczynania zespołu redagującego przepiękne wydawnictwo Etudes carmelitaines. Pracami kieruje ojciec Bruno, którego tak bardzo podziwiam. Pomińmy milczeniem nieszczęsną spuściznę po Minotaurze, który obecnie skubie sobie trawkę na materialistycznych pastwiskach periodyku Verve. Później jeszcze dwukrotnie spotkałem się z Bretonem, aby perfidnie poruszyć przy nim kwestie dotyczące mojej przyszłej religii. Nic z tego nie rozumiał, wobec tego przestałem nalegać. Nasze kontakty stały się rzadsze. Kiedy w 1940 roku Breton pojawił się w Nowym Jorku, zatelefonowałem do niego w dniu przyjazdu, pragnąc go powitać i prosić o spotkanie. Wyzначzył mi je na dzień następny. Wcześniej oświadczyłem mu, że ideologia naszego ruchu ma być oparta na nowych podstawach. Mieliśmy propagować

wielki ruch mistyczny, mający w pewnym sensie wykazać doniosłość eksperymentu surrealistycznego i ostatecznie uwolnić go od wpływów materializmu dialektycznego! Jednak tego samego wieczoru dowiedziałem się od znajomych, że Breton po raz kolejny mnie oczernił, głosząc, że jestem hitlerowcem. Jak na owe czasy oskarżenie takie było zbyt daleko posunięte i zbyt niebezpieczne, abym zechciał ponownie się z nim zobaczyć. Odtąd już się nie spotkaliśmy.

Niemniej, minione lata oraz moja wrodzona intuicja najprawdziwszego detektora uranu sprawiły, że odnoszę dziś wrażenie, iż Breton jest mi bliższy, niż mi się wydawało. Jego aktywność intelektualna, wbrew pozorom, warta jest więcej niż działalność egzystencjalistów mających na swym koncie teatralne, niewiele znaczące sukcesy.

W dniu kiedy nie udałem się na spotkanie, które wyznaczył mi Breton, tradycyjny, zdefiniowany przez nas surrealizm przestał istnieć. Gdy nazajutrz któryś z wielkonakładowych dzienników poprosił mnie o definicję surrealizmu, odpowiedziałem: „Surrealizm to ja”. Ja w to wierzę, jestem bowiem jedynym jego kontynuatorem. Niczego się nie wyparłem — wręcz przeciwnie: wszystko potwierdzałem, uszlachetniałem, hierarchizowałem, uracjonaliniałem, dematerializowałem, uduchowiałem. Za sprawą Ducha Świętego mój obecny mistycyzm nuklearny okazał się owocem demonicznych i surrealistycznych doświadczeń z początkowego okresu mego życia.

Breton w pocie czoła układał mściwy anagram, zawierający owo budzące podziw, należące do mnie nazwisko. Przekształcił je w Avida Dollars. Być może nie jest to osiągnięcie poetyckie wysokich lotów, niemniej jako autobiograf muszę przyznać, że dość dokładnie odpowiadało to moim ówczesnym, nie sięgającym daleko ambicjom. W owym czasie Hitler żegnał się ze światem w iście wagnerowskim stylu, umierając w Berlinie w ramionach Ewy Braun. Jak tylko dotarła do mnie ta wiadomość, zastanawiałem się przez siedemnaście minut⁹, nim podjąłem nieodwołalną decyzję: Salvador Dali stanie się największą kurtyzaną naszych czasów. I stałem się nią. Podobnie jest ze wszystkim, co postanawiam zrealizować, owładnięty paranoiczną pasją.

Po śmierci Hitlera nowa era mistyczno-religijna miała unicestwić wszystkie ideologie. Przedtem jednak miałem do spełnienia misję. Sztuka nowoczesna, nędzna, zapleśniała pozostałość materializmu odziedziczonego po Rewolucji Francuskiej, przeciwstawić mi się miała co najmniej przez dziesięć lat. Tak więc musiałem malować dobrze, mimo że nikt nie przykładał do tego większej wagi. Niemniej należało malować dobrze, ponieważ mój mistycyzm nuklearny zatriumfuje, jak wspomniałem, tylko wtedy, gdy ucieleśniać będzie najdoskonalsze piękno.

Wiedziałem, że sztuka abstrakcjonistów, co to nie wierzą w nic i w konsekwencji nie malują nic, posłuży za dumny piedestał, na którym pojawi się Salvador Dali, osaczony dziś ze wszystkich stron materialistycznym dekoratywizmem i amatorem egzystencjalizmem naszej nędznej epoki. Wszystko to było pewne, jednak aby odpierać padające zewsząd ciosy, trzeba było mieć więcej sił niż kiedykolwiek, posiadać pieniądze, gromadzić fortunę, szybko i skutecznie, jeśli chciało się przetrwać. Pieniądze i zdrowie! Przestałem pić i pełen paroksystycznego zapału postanowiłem dbać o siebie. Równocześnie starałem się o to, aby Gala jaśniała promiennym blaskiem;

uszcześliwiałem ją do granic możliwości, dbając o nią jeszcze bardziej niż o siebie, gdyż bez niej wszystko byłoby stracone. Pieniądze miały pomóc nam realizować ideały piękna i dobroci. Anagram Avida Dollars nie był znów aż tak szkodliwy... Dowód tego jest dziś widoczny w całej okazałości.

Najbardziej z całej filozofii Augusta Comte'a podoba mi się fragment, w którym czytam, że przed stworzeniem nowej „religii pozytywistycznej” na wierzchołku swojej hierarchii społecznej umieszcza bankierów, którym przypisuje szczególną rolę. Być może daje tu o sobie znać fenicki składnik mojej krwi z Ampurdan, ale złoto fascynowało mnie zawsze, i to obojętnie w jakiej postaci. Kiedy jako młodzieniec dowiedziałem się, że Miguel de Cervantes, napisawszy ku wiekuiestej chwale Hiszpanii nieśmiertelnego Don Kichota, umarł w skrajnej nędzy, że Krzysztof Kolumb po odkryciu Ameryki również pożegnał się ze światem w podobnych okolicznościach, i do lego w więzieniu, to już wówczas — powiadam — roztropność zaczęła mi uporczywie podszeptywać te oto rady:

1. Znaleźć się w więzieniu możliwie jak najszybciej. Tak też się stało.
2. Stać się, możliwie jak najmniejszym kosztem, multimilionerem. I to także nastąpiło.

Najprostszy sposób, aby nie czynić żadnych ustępstw na rzecz złota — to mieć je samemu. Mając złoto, nie trzeba się w nic „angażować”. Bohater nigdzie się nie angażuje! Jest on całkowitym przeciwieństwem służącego. Jak słusznie zauważył kataloński filozof, Francesco Pujols: „Największym pragnieniem człowieka ze społecznego punktu widzenia jest najświętsza wolność istnienia bez konieczności pracy”. Dali uzupełnia ten aforyzm, dodając, że z kolei wolność jest warunkiem wielkości człowieka. Wszystko napełnić złotem — oto jedyny sposób uduchowienia materii.

Jestem synem Wilhelma Tella, który zamienił na lite złoto jabłko „kanibalistycznej” ambiwalencji. Ojcowie jego, najpierw Andre Breton, potem zaś Pablo Picasso, ostrożnie umieszczali je na jego głowie. Na tej jakże delikatnej i ukochanej głowie Salvadora Dali! Tak, wierzę, że jestem zbawcą sztuki nowoczesnej, jedynym człowiekiem mogącym w stopniu najdoskonalszym uwzniościć, zintegrować i osadzić w racjonalnych ramach wszystkie rewolucyjne doświadczenia naszych czasów, wiemy wielkiej, klasycznej tradycji realizmu i mistycyzmu, które są najwyższym i chwalebnyim posłannictwem Hiszpanii.

W wielkim ruchu „mistyki nuklearnej”, ruchu, który winien okazać się znamienny dla naszej epoki, decydująca rola przypadnie mojemu krajowi. Ameryka, dzięki niespotykanemu postępowi technicznemu, dostarczy dowodów empirycznych (a nawet fotograficznych lub mikrofotograficznych) na istnienie nowego mistycyzmu.

Geniusz narodu żydowskiego, dzięki Freudowi i Einsteinowi, automatycznie zdynamizuje jego rozwój i nada mu charakter antyestetyczny. Francja odgrywać będzie rolę wybitnie dydaktyczną. Zasługą błyskotliwego intelektu francuskiego okaże się prawdopodobnie opracowanie aktu konstytucyjnego „mistycyzmu nuklearnego”, ale — powtarzam raz jeszcze — posłannictwem Hiszpanii będzie uwznioślenie rzeczywistości poprzez wiarę religijną i piękno.

Anagram Avida Dollars był dla mnie talizmanem. Sprawił, że deszcz dolarów stał się płynny, przyjemny i ciągły. Kiedyś przedstawię całą prawdę o tym, jak można potęgować ową błogostawioną rozwiązość Danae¹⁰. Traktować o tym będzie rozdział mojej kolejnej

książki, która prawdopodobnie okaże się arcydziełem: Życie Salvadora Dali jako dzieło sztuki.

Tymczasem chciałbym opowiedzieć pewną anegdotę. Po kolejnym, wielkim sukcesie w Nowym Jorku powracałem wieczorem do swego apartamentu w hotelu „San Regis”. Zapłaciwszy za taksówkę usłyszałem nagle metaliczny odgłos w trzewikach. Zdjąłem półbuty i w każdym z nich znalazłem monetę półdolarową.

Gala, która właśnie się obudziła, krzyknęła do mnie z sypialni:

— Daliczku, śniło mi się, że przez niedomknięte drzwi widzę cię w towarzystwie jakichś mężczyzn... Odważaliście złoto! ...

Przeżegnałem się w ciemnościach i wyszeptalem uroczyście:

— Niech tak się stanie!

Po czym zbliżyłem się do łóżka...

Czerwiec

Port Lligat, 20 Czerwca

Dzieci nigdy szczególnie mnie nie interesowały, a już najmniej interesują mnie malowidła dziecięce. Dziecko-malarz wie, że jest to namalowane źle, natomiast dziecko-krytyk wie ponadto, że wie, że jest to namalowane źle. A zatem dziecko-malarz-krytyk, które wie, że wie, że wie, że jest to namalowane źle, ma tylko jedno wyjście: powiedzieć, że jest to namalowane bardzo dobrze.

29 Czerwca

Dzięki Bogu! — obecnie śpię i maluję lepiej i z większym zadowoleniem niż zazwyczaj. Muszę jednak pamiętać, by nie doprowadzać do powstawania pęknięć, jakie zdają się tworzyć w kącikach ust, co jest nieuchronną fizyczną konsekwencją nagromadzonej tam śliny, a to na skutek rozkoszy, jakiej doznaję dzięki dwu czynnościom, w których bogowie znajdują odprężenie: spaniu i malowaniu. Tak... Kiedy śpię i maluję, cieknie mi ślina rozkoszy. Oczywiście szybkim lub leniwym mchem dłoni mógłbym ją wytrzeć podczas któregoś z mych niebiańskich przebudzeń lub którejś z moich niemniej boskich przerw w pracy, ale fizjologiczne oraz intelektualne przyjemności pochłaniają mnie do tego stopnia, że nie robię tego! Oto dylemat moralny, którego jak dotąd nie rozstrzygnąłem. Czy pozwolić na to, aby moje rozkoszne pęknięcia uwydatniały się coraz bardziej, czy też zmusić się do wycierania śliny odpowiednio wcześniej? Na razie, czekając na odpowiedź, opracowałem nową metodę na sen; metodę, która winna znaleźć się kiedyś w antologii moich wynalazków. Na ogół ludzie biorą środki nasenne, kiedy mają problemy ze spaniem. Ja zaś postępuję dokładnie na odwrót. Otóż w okresie gdy sen mój staje się maksymalnie regularny, osiągając stan roślinnego paroksyzmu, postanawiam sięgać po pigułki nasenne, co czynię z niejaką kokieterią. Mogę wówczas naprawdę powiedzieć, nie widząc w tym nawet cienia metafory, że śpię jak suseł, by

obudzić się całkowicie odmłodzony, czując jak z mego błyskotliwego umysłu emanuje niezmordowanie nowa energia, stanowiąca załączek najbardziej urokliwych pomysłów. Przytrafiło mi się to właśnie dziś rano, gdyż wczoraj wieczorem zażyłem pigułkę, aby przepelniła się czara mojej obecnej równowagi duchowej. Jakież to było przebudzenie! —o jedenastej trzydzieści, na tarasie pod bezchmurnym niebem spożywałem kawę z mlekiem i słoneczny miód, przy czym nie przeszkadzała mi najmniejsza nawet erekcja!

Odbywałem sjęstę od drugiej trzydzieści do piątej, a pigułka z poprzedniej nocy w dalszym ciągu przepelniała czarę i toczyła ślinę, ponieważ kiedy otworzyłem oczy, odkrywając zmoczoną poduszkę, doszedłem do wniosku, że musiałem obficie się ślinić.

— Nie! — powiedziałem sobie twardo — dziś jeszcze nie zaczniesz się wycierać; dopiero w niedzielę! Tym bardziej, jeśli postanowisz, że te tworzące się ranki mają być ostateczne. Do tego czasu powinny stać się jeszcze wyraźniejsze, abyś mógł rozkoszować się tą biologiczną pomyłką, badając w warunkach naturalnych wszystkie tego implikacje.

Tak więc obudzono mnie o godzinie piątej. Czekał już na mnie Prignau, majster murarski. Prosiłem go, aby przyszedł pomóc mi wyznaczyć współrzędne geometryczne mojego obrazu, Zamknęliśmy się w pracowni aż do godziny ósmej. Siedząc, wydawałem polecenia:

— Niech pan wykreśli jeszcze jeden ośmiościan, ale bardziej pochyły; a teraz następny, koncentryczny, itd.

On zaś wykonywał wszystko zręcznie i gorliwie, niczym skromny uczeń z pracowni florenckiej, a ruchy jego były prawie tak szybkie jak moje myśli. W obliczeniach pomylił się trzy razy. Wówczas to, po długich oględzinach, za każdym razem wydawałem przenikliwy okrzyk „kikiriki”, co go, jak sądzę, nieco zaintrygowało. Wrzeszcząc „kikiriki” uzewnętrzniam swe najgłębsze emocje. Te trzy pomyłki okazały się boskie. Z miejsca wydobyły na światło dzienne wszystko to, czego mój umysł uporczywie poszukiwał. Kiedy Prignau wyszedł, zostałem w półmroku sam. Ogarnęły mnie refleksje. Potem zaś napisałem węglem na brzegu obrazu te oto słowa, które cytuję w Dzienniku. Czyniąc to, odnoszę wrażenie, że jeszcze bardziej zyskały na wartości:

„Błędy są prawie zawsze rzeczą świętą. Nigdy nie próbuj ich naprawiać. Co więcej: uzasadniaj je racjonalnie, staraj się w pełni je zrozumieć. A wtedy będziesz mógł je uszlachetnić. Dylematy geometryczne prowadzą do utopii i nie sprzyjają erekcji. Zresztą, geometrom rzadko staje”

30 czerwca

Kolejny dzień poświęcony w pierwszym rzędzie gromadzeniu i wydzielaniu śliny. Skończyłem śniadanie o szóstej rano, a ponieważ czułem, jak rozpiera mnie energia, by malować wielkie sklepienie Wniebowzięcia, zmusiłem się najpierw do precyzyjnego wykonania łuski złowionego wczoraj ptaszora, co prawda tylko jednej, ale za to nieprawdopodobnie błyszczącej i srebrzystej. Pracę przerwałem dopiero w chwili, gdy spostrzegłem, że łuska rzeczywiście błyszcząca, jak gdyby wypełniała ją światło płynące z czubka mego pędzla. Podobnie Gustave Moreau utrzymywał, że widzi blask złota pojawiający się na końcu jego pędzla.

Technika ta okazuje się szczególnie pomocna przy produkowaniu śliny. Czułem, jak

zaognione pęknięcia warg piekły mnie, błyszcząc i iskrząc się podobnie jak łuska służąca za wzór. Po południu malowałem niebo aż do zmroku. To głównie ono sprawia, że ślinię się tak obficie. Pęknięcia wywołują uczucie gwałtownego pieczenia. Można by rzec, iż mitologiczny robak toczy kąciki mych ust. Przywołuje mi to na myśl jedną z postaci alegorycznych Primavera Botticellego o fascynującej, mrocznej roślinności. Ta sama roślinność rozwija się i rozkłada, podobnie jak moja ranka, w rytm kantaty Bacha, którą nie omieszkając puściłem na fonografie nastawionym prawie na cały głos.

Zjawił się Juan, mój dziesięcioletni model, abym poszedł z nim na nabrzeże pograć w piłkę. Pragnąc mnie oczarować, chwycił pędzel i dyrygował zakończenie kantaty, wykonując tak anielskie ruchy, jakich nigdy w życiu nie widziałem. Zeszliśmy obaj na nabrzeże. Dzień miał się ku końcowi. Gala, w nieco melancholijnym nastroju, ale bardziej opalona, piękniejsza i cudniej rozczesana niż kiedykolwiek, dostrzegła nagle robaczka świętojańskiego, który błyszczał jak moja poranna łuska.

Przypomniało mi to mój pierwszy w życiu utwór literacki. Miałem wówczas siedem lat, a opowiadanie było następującej treści. Matka przechadza się z dzieckiem w czerwcową noc. Widać spadające gwiazdy. Dziecko łapie jedną z nich, chowając ją w dłoni. Po przyjsciu do domu kładzie ją na stoliku nocnym i zamyka w odwróconej szklance. Rankiem, budząc się wydaje przeraźliwy okrzyk: jego gwiazdę przez całą noc toczył robak!

Mego ojca — niech Bóg ma go w swojej opiece! — opowiadanie to poruszyło do głębi. Odtąd powtarzał z lubością, że jest o wiele lepsze niż Szczęśliwy książę Oskara Wilde'a.

Dziś wieczór usnę ukołyszany pełnią dalinowskiej trwałości, pod wielkim sklepieniem Wniebowzięcia, namalowanym poniżej błyszczącej łuski zepsutej ryby — mojej ranki...

Należy dodać, że wszystko to zbiega się w czasie z kolarskim wyścigiem dookoła Francji, którego przebieg komentowany w radiu przez Georges Briqueta śledzę w najdrobniejszych szczegółach. Lider wyścigu, Bobet, zwichnął sobie kolano, z nieba leje się żar. Chciałbym, aby cała Francja wsiadła na rowery, aby wszyscy pedałowali w pocie czoła, wspinając się niczym bezsilni szaleńcy po stokach nie do pokonania, podczas gdy boski Dali w sybaryckiej ciszy Port Lligat maluje najrozkoszniejsze okropieństwa. O tak, kolarski wyścig dookoła Francji sprawia mi ustawiczną satysfakcję, do tego stopnia, że niedostrzegalnie, lecz uporczywie gromadzi się ślina pielęgnująca w kącikach mych ust przekrwione, strupowate, kretyńskie, chrześcijańskie, pokryte bliznami ranki mojej duchowej rozkoszy!

Lipiec

Port Lligat,
1 Lipca

W lipcu ani kobiety, ani ślimaka nie uświadczysz¹¹

Budzę się o szóstej rano i natychmiast obmacuję pęknięcie końcem języka. Ranka

zdążyła wyschnąć podczas nocy, która była wyjątkowo upalna i upojna. Dziwię się zresztą, że tak szybko wysycha. wydając się przy dotknięciu językiem twardym ciałem, które za chwilę oderwie się jak strup. Mówię do siebie — a teraz się zabawimy. Nie oderwę go od razu, gdyż byłoby to niefrasobliwe marnotrawienie przyjemności żmudnego i pracowitego dnia, kiedy to będę zabawiać się wyschniętym strupem. W tym zresztą dniu miało nastąpić jedno z najbardziej intrygujących wydarzeń w moim życiu, ponieważ stałem się RYBA! Warto to opowiedzieć.

Po niecałym kwadransie pracy, którą narzuciłem sobie podobnie jak poprzedniego ranka, a której błyszczącym efektem na obrazie miało być kilka oślepiających łusek ptaszora, musiałem przerwać czynności z powodu roju wielkich much (niektóre z nich były brązowo złociste) zwabionych cuchnącym trupim zapachem. Muchy te krążyły wokół zgnilizny, siadały mi na twarzy i rękach, zmuszając mnie do wzmożonej uwagi i wyjątkowej zręczności, gdyż — pomijając sam stopień trudności przedsięwzięcia — należało nie zważać na ich łaskotanie i spokojnie, wystudionymi ruchami pędzla, bez poruszenia powieką, cały czas malować kontur łuski, do której przykleiła się właśnie jakaś szalona mucha, zasłaniając mi pole widzenia, a trzy inne spoczęły na modelu. Musiałem wykorzystywać najdrobniejsze poruszenia much, by móc kontynuować pracę. Przy tym wszystkim drobiazgiem wydawała się obecność jeszcze jednej muchy, która zdecydowanie upodobała sobie moją rankę. Mogłem ją przegonić tylko w ten sposób, że w regularnych odstępach czasu poruszałem kącikami ust, które zapamiętałe przy tym wykrzywiałem, czyniąc gwałtowne, lecz na tyle harmonijne grymasy, że nie zakłócało to pociągnięć pędzla, wykonywanych przy wstrzymanym oddechu. Czasem zdarzało mi się nawet zatrzymać ją na dłużej, odganiając dopiero gdy poczułem, jak trzepocze się na rance.

Było to niebywale męczeństwo; nie ono jednak spowodowało przerwanie pracy. Wręcz przeciwnie: ów nadludzkiej trudności problem techniki malowania, gdy jest się pożerany przez muchy, fascynował mnie niepomierne, dzięki czemu dokonywałem cudów zręczności, co byłoby nie do pomyślenia bez udziału much, o nie! Przyczyną tej decyzji był zapach ryby, tak odrażający, że musiałem wymiotować. Poleciałem więc usunąć model i zabrałem się do malowania Chrystusa. W tej samej chwili wszystkie muchy, które dotychczas krążyły między rybą a mną, zgromadziły się wyłącznie na moim ciele. Byłem całkowicie nagi, skórę miałem zroszoną utrwalaczem z przewróconej butelki. Przypuszczam, że zwabiał je ten płyn, gdyż — jeśli o mnie chodzi — bywam raczej czysty. Oblepiony muchami malowałem dalej; szło mi to coraz lepiej. Rankę chroniłem dmuchnięciami i językiem, którym jednocześnie obluźniałem i rozmiękczałem jej zewnętrzny, grożący odpadnięciem nabłonek. Wysuszałem go powietrzem z ust, dostosowując wydech do rytmu pociągnięć pędzla. Był on tak bardzo wyschnięty, że interwencja języka, aby oderwać tę delikatną błonkę nie na wiele by się zdała, gdybym nie pomagał sobie konwulsyjnym grymasem (pojawiającym się za każdym razem, jak nabierałem na pędzel farbę z palety). Otóż ta delikatna błonka posiadała wszystkie właściwości rybiej łuski! Powtarzając operację w nieskończoność, mogłem odrywać całą masę rybich łusek. Moja ranka była prawdziwym składem łusek przypominających łyszczyk. Jak tylko odłupywało się jedną, w kąciku ust pojawiała się następna.

Wyplułem pierwszą łuskę na kolana. Było to coś nieprawdopodobnego: poczułem superdelikatne ukłucie, jakby przyklejała mi się do ciała. Nagle przestałem malować i zamknąłem oczy. Całym wysiłkiem woli starałem się nie poruszyć, gdyż twarz miałem dosłownie oblepioną arcyaktywnymi muchami. Ogarnął mnie niepokój, serce zaczęło bić jak szalone i nagle zrozumiałem, że identyfikuję się z zepsutą rybą. Czułem, że staje się bezwładny podobnie jak ona.

—O mój Boże, przemieniam się w rybę!!! - wykrzyknąłem. Dowody potwierdzające tę tezę pojawiły się niemal natychmiast. Łuska z ranki paliła mi kolano i rozmnażała się. Czułem, jak najpierw jedno udo, potem drugie, następnie brzuch pokrywają się łuskami. Pragnąłem rozkoszować się do głębi tym nadzwyczajnym zjawiskiem, toteż nie otwierałem oczu przez blisko kwadrans.

— A teraz — powiedziałem sobie, jeszcze nie dowierając —otworzę oczy i ujrzę siebie zamienionego w rybę.

Spływał po mnie pot, a łagodne ciepło zachodzącego słońca zalewało moje ciało. Wreszcie uniosłem powieki...

Ach! Byłem pokryty lśniącoymi łuskami!

Zaraz jednak domyśliłem się, jaka była tego przyczyna: po prostu były to wyschnięte plamy po utrwalaczu, który uległ krystalizacji. Akurat w tym momencie nadeszła gosposia, przynosząc mi podwieczorek — grzanki nasączone oliwą. Dostrzegając mnie, z miejsca oceniła sytuację:

— Jest pan mokry jak kura! A poza tym nie rozumiem, jak pan może malować, skoro muchy pana tak maltretują!

Pozostałem sam, zatopiony w myślach, aż do zapadnięcia zmroku.

O Salvadorze, któryś przez muchy cierpiał katusze, twoje przemienienie w rybę, symbol chrześcijaństwa, nie było niczym innym, jak typową dla Dalego, wariacką formą identyfikacji z Chrystusem, którego właśnie malowałeś!

Czubkiem języka nadwerężonym przez całodzienną pracę udało mi się wreszcie oderwać cały strup, a nie tylko jeden cieniuteńki nabłonek. Pisząc jedną ręką, drugą z jak największą ostrożnością chwytam strupek między kciuk a palec wskazujący. Jest miękki, ale gdybym go zgiał, pękłby. Przytykam go do nosa, by wyczuć zapach. Okazuje się bezwonny. W zamyśleniu trzymam go przez chwilę między nosem a uniesioną górną wargą, robiąc przy tym grymas, który całkowicie oddaje mój stan skrajnego wyczerpania. Błogie znużenie ogarnia wszystkie moje członki...

Odsunąłem się od stołu. Spadający strup zdołałem schwytać na talerz znajdujący się na kolanach. To jednak w niczym nie zmieniło mojego męczeńskiego wyglądu i w dalszym ciągu wykrzywiałem usta, jak gdybym miał już tak pozostać nieruchomo przez całą wieczność. Na szczęście, emocje wywołane zaginięciem strupka wyrwały mnie z wszechogarniającego odrętwienia. W panice szukałem go na talerzu, gdzie był jeszcze jedną brunatną plamką wśród niezliczonych grudek pieczonego chleba. Zdawało mi się, że go odnalazłem: ująłem go w palce, by skończyć wreszcie tę zabawę. Wtem ogarnęły mnie potworne wątpliwości: nie byłem pewien, czy jest to poszukiwany strup. Owładnęło mną przemożne pragnienie refleksji. Oto kolejna zagadka, podobnie jak w wypadku

poprzednich nabłonków spadających spod nosa. Ponieważ rozmiary, wygląd i brak zapachu są takie same, jaka różnica, czy jest to, czy też nie jest, prawdziwy strupek? Powyższe porównanie doprowadza mnie do szału, gdyż znaczyłoby to ni mniej, ni więcej, że ów boski Chrystus, którego maluję, cierpiąc „musze” katusze, nigdy nie istniał!

Wściekły, wykrzywiam usta w szaleńczym grymasie, co powoduje — nie bez udziału mojej woli mocy — krwawienie ranki. Duża, czerwona, owalna kropla ścieka mi aż na brodę.

Tak, swoje wariactwa podpisuję zawsze w hiszpańskim stylu! Krwią — jak pragnął lego Nietzsche!

3 Lipca

Jak zawsze kwadrans po śniadaniu wtykam za ucho kwiat jaśminu i udaję się w ustronne miejsce. Natychmiast po zajęciu stosownej pozycji, oddaję prawie całkowicie bezwonny stolec, tak że perfumowany papier toaletowy tudzież gałązka jaśminu całkowicie panują nad sytuacją. Właściwie można się było tego spodziewać, a to dzięki błogim i niezmiernie przyjemnym snom, które w moim wypadku zwiastują rozkoszne i bezwonne wypróżnienia. Dzisiejszy stolec jest czystszy niż zazwyczaj (jeśli przymiotnika tegoż można użyć w odniesieniu do takiej sytuacji), co należy bezwzględnie przypisać mojemu absolutnemu wręcz ascetyzmowi. Z obrzydzeniem, niemal ze zgrozą wspominam stolec z okresu madryckich szaleństw wraz z Lorcą i Bunuelem, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat. W porównaniu z dniem dzisiejszym była to nie dająca się wyrazić cuchnąca, nieciąglą, rozbryzgująca, konwulsyjna, spazmatyczna, diaboliczna, dytyrambiczna, egzystencjalistyczna, piekąca i krwawa sromota. Ta niemal płynna ciągłość przez cały dzień kojarzyła mi się z miodem pracowitych pszczół.

Miałem ciotkę, którą wszelkiego rodzaju skatologia napawała obrzydzeniem. Na samą myśl, że mogłaby pierdnać, w jej oczach pojawiały się łzy. Była niezmiernie dumna, że nigdy w życiu nie pierdziała. Dzisiaj wydaje mi się to szachrajstwem mniej zdumiewającym niż kiedyś. Zauważam mianowicie, że w okresie ascetyzmu lub intensywnego życia duchowego prawie wcale nie pierdę. Teza formułowana często na podstawie starych tekstów, że święci pustelnicy nie wydalają ekskrementów, wydaje mi się coraz bardziej prawdopodobna, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę stanowisko Filipa, Aureolusa, Teofrasta, Honoriusza Bombastusa von Hohenheim¹², którzy utrzymują, że usta nie są ustami, lecz żołądkiem i że organizm zaopatrzone jest w niezbędne substancje, nawet jeśli wypluje się pokarm po bardzo długim przeżuwanu bez połykania. Pustelnicy żują i wypluwają korzonki oraz szarańczę. Wiara a także naiwne przeświadczenie, że żyją już w niebiańskiej przestrzeni, wprawiają ich w stany euforyczne.

Połykanie — owa konieczność, którą analizowałem już dawno temu w ramach studiów nad kanibalizmem — związane jest nie tyle z potrzebą odżywiania się, co raczej z nieodzownymi funkcjami natury afektywnej i etycznej. Połykanie ma na celu całkowite, absolutne wręcz utożsamienie się z istotą, którą miłujemy. I tak połykamy hostię nie przeżuwając jej — oto antagonizm między żuciem a połykaniem. Święty pustelnik stara

się oddzielić te dwie rzeczy. Aby najpełniej utożsamić się ze swą ziemską i przeżywającą (w pewnym sensie filozoficzną) egzystencją, pragnąłby posługiwać się jedynie szczękami w celu przeżycia. W ten sposób przywilej połknięcia zarezerwowany byłby wyłącznie dla Boga.

4 Lipca

Życie moje reguluje precyzyjny zegarek. Wszystko jest rozplanowane. Właśnie gdy skończyłem malować, zjawili się dwaj interesanci z osobami towarzyszącymi. Jednym z nich jest L.L., barceloński wydawca Dalego z heroicznych czasów młodości. Oznajmia mi (kiedy wspominam właśnie wszystkich jego znanych przyjaciół), że przybywa specjalnie z Argentyny, aby się ze mną spotkać. Drugim interesantem jest Pla. L..., który pojawił się wcześniej. Dzieli się ze mną swymi planami. W Argentynie mają się ukazać jego staraniem cztery nowe książki, bądź to mojego autorstwa, bądź też poświęcone mojej osobie.

1. Opasłe tomisko Ramona Gomeza de la Serna, do którego obiecuję mu jakiś nie opublikowany jeszcze i oczywiście niebywały dokument.

2. Moje resekretne życie „ które piszę w tej chwili.

3. Ukryte twarze de la Serny, które akurat kupił w Barcelonie.

4. Tajemnicze rysunki mojego autorstwa do tekstów literackich de la Serny.

Ten ostatni domaga się moich ilustracji. Postanawiam, że to nie ja, ale on zilustruje moją własną książkę.

Pla, jak tylko się pojawił, przywołał kwestię z naszego ostatniego spotkania: „Te wasy zdobędą kiedyś rozgłos!” Następuje wymiana serdeczności między nim a L. Pragnąc to zakończyć mówię, że Pla napisał ostatnio artykuł, z niezmierną wnikliwością traktujący o moich wariactwach. Odpowiada mi na to:

— Opowiedz mi jeszcze więcej rzeczy, a napiszę tyle artykułów, ile będziesz chciał.

— Napisałbyś o mnie książkę, jakiej nikt nie jest w stanie napisać.

— Napiszę ją!

— A ja ją wydam! — wykrzykuje L. — Ramon kończy już jedną o Dalim.

— Ale Ramon nawet nie zna Dalego osobiście — odzywa się Pla oburzonym głosem¹⁵

Tymczasem dom mój wypełnił się nieoczekiwanie przyjaciółmi Pla. Jego przyjaciele są niezliczeni i trudno ich wszystkich opisać. Cechują ich dwa osobliwe szczegóły: na ogół mają gęste brwi, a ponadto każdy z nich wygląda jak kawiarniany bywalec, którego oderwano od stolika na tarasie, gdzie tkwił od dziesięciu lat.

Odprawiając Pla, zwracam się do niego:

— Te wasy zdobędą kiedyś rozgłos! Oto w ciągu niecałych trzydziestu minut zapada decyzja o publikacji pięciu książek napisanych przeze mnie lub poświęconych mojej osobie! Dzięki odpowiedniej strategii pojawiają się niezliczone publikacje dotyczące mojej osobowości, przy czym ważne jest to, że moje antynietzscheańskie wasy wznoszą się zawsze ku niebu, niczym wieże katedry w Burgos. To ja sprawię, że zajmowanie się moją twórczością stanie się pewnego dnia czymś nieuniknionym. Taka metoda jest o wiele skuteczniejsza, niż nieudolne próby doszukiwania się osobowości poprzez analizę twórczości. Mnie na przykład pasjonowałoby poznawanie wszystkich szczegółów o

osobie Rafaela.

5 Lipca

W dniu kiedy poeta Loten, ów poczcwiwiec, któremu niejednokrotnie wyświadczyłem przysługę, sprawił mi galaretowaty prezent w postaci mojego ukochanego rogu nosorożca, rzekłem do Gali:

— Ten róg uratuje mi życie!

Dzisiaj tamto przypuszczenie zaczyna się potwierdzać. Malując Chrystusa spostrzegam, że składa się on z rogów nosorożca. Niczym opętaniec maluję każdy fragment anatomii, jak gdyby chodziło o róg nosorożca. Gdy róg jest już doskonały, wtedy— i tylko wtedy — anatomia Chrystusa jest równie doskonała i boska. Zauważając następnie, że każdy róg wymaga odpowiednika w odwrotnej pozycji, zaczynam malować ich płataninę. I nagle wszystko stało się jeszcze doskonalsze i bardziej boskie. Owo odkrycie wprawia mnie w zachwyty — padam na kolana, by podziękować za to Chrystusowi, przy czym nie jest to wcale metafora. Wystarczy spojrzeć, jak rzucam się w pracowni na klęczki — całkiem jak wariat.

Od dawien dawna łamano sobie głowę, w jaki sposób można uchwycić formę, sprowadzając ją do podstawowych brył geometrycznych. Leonardo da Vinci usiłował zbudować jajka, które — zdaniem Euklidesa — mają najdoskonalszą formę. Ingres dawał pierwszeństwo kuli, a Cezanne sześcianom i walcom. Ale jedynie Dali — poprzez chytre zabiegi swojej hipokryzji, osiagającej paroksyzm, dzięki któremu nosorożcowa mania o władnęła nim całkowicie — zdołał odkryć prawdę. Wszystkie nieco zakrzywione powierzchnie ciała ludzkiego mają wspólne miejsce geometryczne: widoczne jest ono w owym stożku o zaokrąglonym czubku wygiętym ku niebu lub ziemi, stożku anielskiej inspiracji unicestwienia w absolutnej doskonałości — w rogu nosorożca!

6 Lipca

Odurzający upał przez cały dzień. Mało tego — puszcza Bacha na adapterze nastawionym na cały regulator. Myślałem, że mi głowa pęknie. Trzykrotnie padłem na kolana, aby podziękować Bogu, że obraz Wniebowzięcia rośnie w oczach. O zmierzchu zaczyna wiać ciepły, południowy wiatr; wzgórze naprzeciwko skapane są w ogniu. Gala powraca z połowu langust i daje mi znać przez gosposię, abym oglądał lunę, która barwi morze na kolor ametystowy, zaś potem na intensywną czerwień. Z okna dają jej znak, że zauważyłem to. Gala siedzi na dziobie łodzi pomalowanej na żółć neapolitańską. Nigdy nie była tak piękna, jak tego właśnie dnia. Znajdujący się na plaży rybacy patrzą na płonący krajobraz. Po raz kolejny klękam, by podziękować Bogu, że Gala jest istotą równie piękną jak postaci Rafaela. Zaklinam się, że piękno to jest niepojęte i że nikogo, tak jak mnie, nie oczarowała jego witalna siła, co zawdzięczam swym wcześniejszym stanom ekstatycznym w obecności rogów nosorożca.

7 Lipca

Gala jest jeszcze piękniejsza!

Otrzymuję zaproszenie na misterium w Elche¹⁶ 14 sierpnia.

Kopuła kościoła otworzy się automatycznie i aniołowie uniosą Matkę Boską do nieba. Być może pojedziemy. Z Nowego Jorku otrzymuję zamówienie na artykuł o Damie z Elche. W tym samym czasie zbiegają się wszystkie ważne fakty dotyczące tej niewielkiej miejscowości, szczytającej się swą niepowtarzalną Damą, oraz jedynym w swoim rodzaju niebotycznym misterium, które miało być zniesione, lecz właśnie niedawno papież ostatecznie je zatwierdził. Jeśli o mnie chodzi, też wszystko zbiega się w tym samym czasie, przez co każdy mój dzień nabiera głębszego znaczenia. Równocześnie dociera do mnie mój artykuł na temat Wniebowzięcia, ukazujący się właśnie w Etudes Carmelitaines. Numer ten Ojciec Bruno dedykuje mojej osobie. Czytam tekst powtórnie i muszę przyznać, że stronice te ogromnie mi się podobają. Wspominając krew ze swojej ranki, mówię do siebie:

— Co postanowiłem, to zrobiłem!

Wniebowzięcie stanowi apogeum żeńsko-nietzscheańskiej woli mocy — oto nadkobieta unosi się ku niebu dzięki niespożytej energii swych antyprotonów!

8 Lipca

Złożyło mi wizytę dwóch durnowatych panów inżynierów. Słyszałem już ich rozmowę, jak schodzili po zboczach. Jeden dawał do zrozumienia drugiemu, że uwielbia jodły.

— Port Lligat jest zbyt wypalony—ciągnął—lubię jodły, ale raczej nie z powodu cienia, z którego nigdy nie korzystam. Lubię po prostu ich widok. Lato bez jodły nie byłoby dla mnie latem.

Mówię sobie w duchu — czekaj no, ty! Już ja ci pokażę te twoje jodły!

Przyjmuję owych panów bardzo uprzejmie, zmuszając się do konwersacji wypełnionej w stu procentach frazesami. Są mi za to niezmiernie wdzięczni. Nagle, wchodząc na taras, dokąd ich odprowadzam, zauważają moją monumentalną czaszkę słonia.

— Co to jest? — pyta jeden z nich.

— Czaszka słonia — odpowiadam. — Bardzo lubię czaszki słoni. Zwłaszcza latem. Byłoby mi trudno się bez nich obejść. Nie wyobrażam sobie lata bez czaszki słonia.

9 Lipiec

Dzień rozkosznej udręki wywołanej pragnieniem tworzenia jeszcze piękniejszych i bardziej nadzwyczajnych rzeczy. To boskie niezadowolenie jest sygnałem, że w duszy mej dojrzewa twórczy impuls, który przyniesie mi ogromną satysfakcję.

zmierzchu przez okno obserwuję Galę, która wydaje mi się jeszcze młodsza niż poprzedniego dnia. Kieruje się ku nowiutkiej łodzi. Po drodze usiłuje pogłaskać dwa nasze łabędzie, stojące na niewielkiej barce. Niestety jeden z nich odlatuje, a drugi chowa się pod dziób¹⁸

10 Lipca

Otrzymuję list od Arturo Lopeza. Pisze, że spośród wszystkich przyjaciół mnie lubi

najbardziej. Przyplynie własnym jachtem, którego wystrój zmienił, wstawiając porfirowe stoliki oraz chińskie bibeloty w stylu Ludwika XV. Pojedziemy do Barcelony, aby tam się z nim spotkać, następnie zaś powrócimy do Port Lligat na pokładzie jego jednostki, prawdopodobnie siedząc przy porfirowych stolikach. Wizyta ta będzie miała znaczenie historyczne, gdyż mamy podjąć decyzje w sprawie wykonania złotego kielicha, zdobionego emalią i drogimi kamieniami, a przeznaczonego dla Tempietto di Bramante w Rzymie. A zatem 2 sierpnia opiszę jego pamiętną wizytę, niczym kronikarz wielkiego formatu, do czego jestem całkowicie zdolny jeśli tylko zechcę¹⁹

12 Lipca

Przez całą noc miałem „twórcze” sny. Zaprojektowałem na przykład kompletny zestaw odzieży, dzięki czemu mógłbym, jako krawiec, opływać w bogactwa przez co najmniej siedem sezonów. Sen ów wyleciał mi z pamięci, co równało się utracie tego niewielkiego skarbu. Zdołałem jedynie odtworzyć dwie suknie, jakie tej zimy nosić będzie Gala w Nowym Jorku. Za to ostatni sen tej nocy był niezmiernie wyrazisty. Chodziło w nim o metodę fotograficznego „wnoszenia” Technika tą posłużę się w Ameryce. Choć jestem już całkowicie przebudzony, owa wizja jest dla mnie równie cudowna co podczas snu. A oto moja receptura: zaopatrujesz się w pięć torebek ciecierzycy, którą przesypujesz do większej torby mogącej ją pomieścić, po czym wysypujesz ziarenka z wysokości dziesięciu metrów. Za pomocą snopu światła odpowiedniej mocy rzutujesz na spadające ziarenka ciecierzycy wizerunek Matki Boskiej. Każde ziarenko oddzielone od sąsiedniego przestrzenią, podobnie jak cząsteczki atomowe, zarejestruje niewielki fragment obrazu. Następnie wyświetlisz wizerunek do góry nogami. Dzięki przyspieszeniu ziemskiemu „odwrotne” spadanie ciecierzycy da efekt wnoszenia. W ten sposób otrzymasz obraz unoszący się do góry, absolutnie zgodny z prawami fizyki. Nie muszę dodawać, że podobne doświadczenie jest jedyne w swoim rodzaju.

Wrażenie będzie jeszcze większe, jeśli każde ziarenko ciecierzycy powleczone zostanie substancją, która nada mu cechy ekranu kinowego.

13 Lipca

Dziś piszę do Pla ten oto list:

Drogi Przyjacielu.

L. wyjechał, mówiąc mi na odchodnym, że pańska książka poświęcona mojej osobie odniesie w Argentynie ogromny sukces i będzie przetłumaczona na kilka języków. Ponieważ wiem, że pisze Pan teraz wiele książek, uważam, że jest to odpowiedni moment, by napisać jeszcze jedną. Cała rzecz w tym, aby znaleźć sposób na pisanie, nie wkładając w to wysiłku; innymi słowy — książka musi pisać się sama. Problem ten rozwiązałem dzięki tytułowi: Atom Dale go. Prolog jest już prawie gotowy, a to dzięki niniejszemu listowi, w którym zgodnie stwierdzamy, że przynajmniej w regionie Ampurdan²⁰ jedynym atomem, który się obecnie otrzymuje, jest atom Dalego. Już ten fakt stanowi o wartości książki. Tak więc kiedy wszyscy gubią się dzisiaj w rozlicznych

specjalizacjach, Pan skoncentruje się na pojedynczym atomie Dalego. Studia takie będą całkowicie wystarczające. W trakcie naszych spotkań przekazywać będę Panu informacje o swoim atomie, zdjęcia i dokumenty na ten temat. Pana zadaniem będzie jedynie stworzenie odpowiedniego klimatu, co wcale nie okaże się trudne, zważywszy na Pański nadzwyczajny dar opisywania. Mój atom jest tak aktywny, że bez ustanku pracuje. Powtarzam: to on, a nie my, stworzy książkę. Dla atomu — co więcej: atomu Dalego — książka jest czymś naturalnym, podobnie jak potrzeba fizjologiczna. Powiem wręcz, że odpoczywa przy pisaniu książki. Książki poświęconej czemuś, czego jeszcze nie mogę dokładnie sprecyzować, nie wiedząc, o co chodzi. Zresztą dla mnie, fanatyka zarażonego imperialistyczną precyzją, nie ma na świecie nic tak miłego, przyjemnego i odprężającego, a nawet urokliwego, jak transcendentalna ironia, którą implikuje zasada nieoznaczoności Heisenberga

Zapraszam Pana na obiad. Przygotujemy to, co Pan lubi lub co wskazane jest przy Pańskiej diecie.

Pański Dali

14 Lipca

Śnią mi się dwaj rycerze. Zarówno jeden, jak i drugi, są nadzy. Za chwilę wjadą w dwie absolutnie symetryczne ulice. Każdy z ich rumaków, z uniesioną tą samą nogą, wkracza w odpowiednią ulicę. Jedną zalewa przenikliwe światło obiektywizmu, drugą wypełnia jasność, jak w Zaślubinach Panny Marii Rafaela, horyzont zaś jest jeszcze bardziej krystaliczny. Nagle jedną z ulic zasnuwa jakby mgła, która stopniowo gęstnieje, aż tworzy się — nieprzenikniona niczym ołów — otchłań. Dwaj rycerze to Dali. Jeden jest rycerzem Gali, drugi jest tym, któremu nie było dane jej posiadać.

15 Lipca

Nie staraj się być nowoczesny.

To jedyna rzecz, która — cokolwiek byś nie uczynił —niestety cię nie ominie.

Salvador Dali

I znów dziękuję Zygmuntowi Freudowi wysławiając, jak nigdy dotąd, jego wiekopomne prawdy. Ja, Dali, zatopiony w nieustannej introspekcji i drobiazgowej analizie swych najbardziej ulotnych myśli, nagle odkryłem, że przez całe życie, nie zdając sobie z tego sprawy, malowałem wyłącznie rogi nosorożców. W wieku dziesięciu lat, jako dziecko-szarańcza, modliłem się już na czworakach przed stołem z rogu nosorożca. Tak, dla mnie to już był nosorożec! Przeglądając wszystkie swoje obrazy, zdumiony jestem wielką ilością nosorożców, jakie charakteryzują moją twórczość. Nawet ów słynny chleb jest już rogiem nosorożca, starannie ułożonym w koszyku. Teraz rozumiem, dlaczego ogarnął mnie entuzjazm, kiedy Arturo Lopez sprezentował mi kiedyś moją słynną dziś laskę z rogu nosorożca. Odkąd wszedłem w jej posiadanie, stanowiła dla mnie źródło absolutnie irracjonalnych idei. Moje przywiązanie do niej cechował nieprawdopodobny fetyszyzm, graniczący z obsesją. Było to tak silne, że pewnego dnia w Nowym Jorku uderzyłem fryzjera, którzy

przez nieuwagę omal mi jej nie złamał, obniżając zbyt gwałtownie fotel, na którym ostrożnie ją położyłem. Wściekły, uderzyłem go brutalnie laską w ramię, aby dać mu nauczkę, po czym, rzecz jasna, wręczyłem mu czym prędzej sowity napiwek, pragnąc go udobruchać.

Nosorożcu, nosorożcu, kimże jesteś?

16 Lipca

Podstawą wszelkich zwycięstw jest strój. W moim życiu było bardzo niewiele sytuacji, kiedy zhańbiłem się cywilnym ubraniem. Zawsze mam na sobie uniform Dalego. Przyjąłem dzisiaj podstarzałego raczej młodzieńca, który zaczął mnie błagać, bym udzielił mu stosownych rad przed podróżą do Ameryki. Sprawa ta wzbudza moją ciekawość. Przywdziewam zatem strój Dalego i schodzę na dół, aby go przyjąć. Jego problem jest następujący: pragnie wyjechać do Ameryki, ponieważ chce odnieść sukces obojętnie w jakiej dziedzinie — niemniej pragnie odnieść sukces. Skromna egzystencja w Ameryce jest dla niego czymś niepojętym.

Pytam go:

— Czy ma pan jakieś upodobania? Lubi pan dobrą kuchnię?

Odpowiada gorliwie:

— Mogę żyć jedząc byle co! Fasole i chleb codziennie przez całe lata!

— To niedobrze! — odpowiadam w zamyśleniu, przybierając zatroskany wyraz twarzy.

Dziwi się, wobec tego spieszę z wyjaśnieniem:

— Codzienne jedzenie fasoli i chleba bardzo drogo kosztuje. Trzeba na to zarabiać, pracując bez przerwy. Natomiast jeśli przyzwyczai się pan do kawioru i szampana, to nie kosztuje nic.

Uśmiecha się jak kretyn, sądząc, że żartuję.

— Nigdy w życiu nie żartowałem! — wykrzykuję autorytatywnie.

Od razu zaczyna mnie słuchać w największej pokorze.

— Kawiozem i szampanem raczą pana za darmo niektóre bardzo dystygowane damy, cudownie uperfumowane i żyjące w najpiękniejszych wnętrzach na świecie. Ale żeby na to zasłużyć, trzeba być absolutnym przeciwieństwem pańskiej osoby: oto przybywa panna spotkanie z Dalim, mając żalobę za paznokciami, podczas gdy ja przyjąłem pana w uniformie. Niech pan wraca do domu rozpracowywać problem fasoli. To pańska sprawa. Jest pan zresztą z gatunku przedwcześnie pomarszczonej fasoli. A jeśli chodzi o szpinakową zieleń pańskiej koszuli, jest to bezsprzecznie kolor typowy dla przedwcześnie podstarzałych facetów i nieudaczników.

17 Lipca

Nie obawiaj się doskonałości.

Nigdy jej nie osiągniesz!

Salvador Dali

Żywię niezmiennie przekonanie, że wszystko to, co ma związek z moją osobą i życiem, jest jedyne w swoim rodzaju i zawsze nacechowane czymś ekspresywnym,

wyjątkowym, absolutnym. Jedząc śniadanie obserwuję, jak słońce wznosi się nad horyzontem, i dochodzę do wniosku, że ponieważ Port Lligat jest najbardziej na wschód wysuniętym punktem Hiszpanii, jestem każdego ranka pierwszym Hiszpanem mającym kontakt ze słońcem. Nawet w Cadaques, oddalonym o dziesięć minut drogi stąd, słońce pojawia się później.

Poza tym zastanawiają mnie barwne przydomki rybaków z Port Lligat: markiz, minister, Afrykanin; jest nawet trzech Jezusów Chrystusów. Jestem przekonany, że niewiele istnieje na świecie miejsc — i to tak niepozornych — gdzie spotkać można trzech Jezusów Chrystusów!

18 Lipca

Quien madruga, Dios ayuda²²

Przysłowie hiszpańskie

Mimo że praca nad chwalebny Wniebowzięciem posuwa się rażno do przodu, z przerażeniem stwierdzam, że mamy już osiemnasty lipca. Czas przemyka obok mnie z każdym dniem coraz szybciej i chociaż moje życie wyznacza sześciusetsekundowy rytm, chociaż rozkoszuję się każdą minutą, przekształcając kwadransy w zwycięskie batalie, heroiczne osiągnięcia i duchowe czyny zbrojne, a wszystkie godne wiekopomnej pamięci, tygodnie przeciekają mi przez palce, mnie zaś ogarnia szaleńcza żądza, by całym swym biologicznym jestestwem kurczowo chwytać się każdego fragmentu mojego arcy cennego i ubóstwanego czasu.

Nagle pojawia się Rosita ze śniadaniem. Przynosi wiadomość, która wprawia mnie w radosną ekstazę. Jutro będzie dziewiętnasty lipca: jest to dzień Państwa przyjazdu z Paryża w roku ubiegłym. Wydaję histeryczny okrzyk:

—A więc jeszcze nie przyjechałem! Jeszcze nie przyjechałem! Dopiero jutro przybędę do Port Lligat. W zeszłym roku o tej porze jeszcze nawet nie rozpocząłem malować Chrystusa!

A teraz, zanim jeszcze zdążyłem przyjechać, Wniebowzięcie jest już prawie gotowe, strzelające ku niebu!

Czym prędzej biegnę do pracowni i maluję aż do kompletnego wyczerpania, udając, że jeszcze mnie tu nie ma, wykorzystując tę okoliczność, by w chwili przyjazdu efekt mych poczynań odpowiadał absolutnemu maksimum moich maksymalnych możliwości. Wszyscy w Port Lligat dowiadują się, że jeszcze mnie nie ma, wieczorem zaś, gdy schodzę na wieczerzę, mały Juan pokrzykuje wesoło:

— Jutro wieczorem przyjedzie pan Dali! Jutro wieczorem przyjedzie pan Dali!

A Gala posyła mi opiekuńcze i miłosne spojrzenie, jakie tylko Leonardo potrafił, jak dotychczas, oddać na płótnie. Właśnie jutro przypada pięćsetna rocznica narodzin Leonarda.

Pomimo różnorodnych forteli, do jakich się uciekam, pragnąc rozkoszować się do szaleństwa ostatnimi chwilami swej nieobecności, jestem tu, przyjechałem ostatecznie do Port Lligat. Zresztą ogromnie się z tego cieszę!

20 Lipca

Rosita wprawia mnie w stan kolejnych upojeń czasowych, przypominając mi, że w roku ubiegłym rozpocząłem Chrystusa cztery dni po przyjeździe. Po raz drugi wydałem okrzyk, i to jeszcze bardziej histeryczny niż przedwczoraj, tak iż rybacy — mimo że wypłynęli barką daleko na morze — zamarli na moment w bezruchu, unosząc głowy i kierując wzrok ku mojemu domowi. Sądziłem, że jestem już całkowicie w szponach czasu, a teraz stwierdzam, że mogę wyrwać się z nich jeszcze na cztery dni. Myślę, że gdybym codziennie otrzymywał tego rodzaju wiadomość, mógłbym płynąć pod prąd rzeki czasu. Tak czy inaczej, uważam się za odmłodzonego i, jak nigdy dotąd, czuję, że rozsądza mnie piekielna energia, która pozwoli mi ukończyć moje dzieło, moje Wniebowzięcie.

21 Lipca

Jakże mógłbym wątpić, że wszystko to, co mi się przytrafia jest w najwyższym stopniu wyjątkowe! O piątej po południu studiowałem figury ośmiokątne wykreślone przez Leonarda da Vinci. Moim zdaniem, winny one rządzić niepodzielnie dogmatem Wniebowzięcia. Nagle unoszę głowę, aby kontemplować jedną z najbardziej charakterystycznych form mego dzieła: uroczystą, gigantyczną i niebotyczną ósemkę. Dopiero teraz sobie to uświadomiłem. W tej właśnie chwili Rosita przynosi mi pocztę. Otrzymuję między innymi list od mera Elche. Przysyła mi program misterium liturgicznego, lirycznego, a nawet akrobatycznego, które po raz pierwszy od czasów eleuzyńskich²³ odbędzie się czternastego sierpnia. Na jednej z fotografii widać zjeżdżający spod sklepienia kopyły otwarty owoc granatu, wykonany ze złota. Mieści on aniołów mających unieść Matkę Boską. Natychmiast zaczynam liczyć: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem i OSIEM! Owoce granatu jest ośmiokątne! Otwór zaś pośrodku sklepienia zachowuje się mniej więcej tak jak na moim obrazie. Kiedy przybędzie Arturo, zaproponuję mu, aby skrzyknął tych wszystkich, którzy łatwo wpadają w ekstatyczny zachwył. Popłyniemy wszyscy statkiem do Elche.

22 Lipca

Matka Boska nie wznosi się ku niebu zatopiona w modlitwie. Unosi się dzięki energii swych antyprotonów. Dogmat Wniebowzięcia jest dogmatem nietscheańskim. W przeciwieństwie do świętej niemocy, jak je nazywa pomyłkowo oraz na skutek własnej niemocy wielki a podziwiany filozof Eugenio d'Ors, Wniebowzięcie jawi się jako paroksyzm woli mocy żeńskiej nieśmiertelności, co zamierzali osiągnąć uczniowie Nietzschego. Jeżeli nie sposób uwierzyć w Chrystusa jako nadczłowieka, Matka Boska jest bezsprzecznie nadkobietą, która — tak jak we śnie o pięciu torebkach ciecierzycy — spadać będzie do nieba. Dowodzi to, że matka Boga jest duszą i ciałem w raju dzięki własnemu ciężarowi, który równa się ciężarowi samego Boga— ojca. Podobnie jak Gala, która miałaby powrócić do domu mego ojca!

23 Lipca

Trzy tysiące czaszek słońi!

Pod wieczór składa mi wizytę pewien francuski pułkownik. Kiedy rozpoczynamy rozmowę na temat czaszki słońia, zwracam się do niego:

— Mam ich już pięć!

— Po co aż tyle czaszek słońi?! — wykrzykuje.

— Muszę ich mieć trzy tysiące. I będę je miał! Myślę, że Maharadża, jeden z moich przyjaciół, dostarczy mi ich mnóstwo. Rybacy wyładują je dokładnie naprzeciw nas, na tamtym małym pomoście. Każę pokryć nimi geologię planetarną Port Lligat.

— To będzie piękne! Godne Dantego! — wykrzykuje pułkownik.

— Przede wszystkim będzie to najwłaściwsze posunięcie. Niczego nie można tu posadzić bez uszczerbku dla krajobrazu. Zwłaszcza nie powinny tu rosnąć jodły. Dałoby to oplakany efekt. Właśnie czaszki słońi będą najbardziej odpowiednie.

25 Lipca

Mamy dziś świętego Jakuba. Jest to święto Cadaques. Kiedy byłem dzieckiem, moja maleńka babunia, jak zawsze starannie ubrana, nie omieszkała z tej okazji recytować następującego wierszyka:

W dniu świętego Jakuba,
Dniu dwudziestym piątym,
Było wielkie święto
Na arenie.
Kiepskie były wszystkie byki
I to wystarczyło,
Aby podpalać klasztory.

Wiersz ten wydaje się ujmować istotę, jakże pełnego sprzeczności, charakteru Hiszpana.

Dziś wieczór czuliśmy, a to dzięki bardzo długiemu i bardzo uroczystemu zmierzchowi, że nadchodzą owe zimne i „pełne”, letnie noce. Z kampingowego namiotu, rozbitego niedaleko domu, dochodziły odgłosy wykonywanych kolejno znanych piosenek, od El Solitero de la Cardina począwszy.

Tacy śpiewacy-amatorzy sprawiają, że nagle ogarnia mnie fala rozkoszy, niezrównanej rzewności i tęsknoty. Dzięki tym piosenkom emocjonalnie i wizualnie przeżywam swoje młode lata, kiedy również podczas letnich miesięcy oddawałem się kampingowym przyjemnościom i śpiewałem wraz z przyjaciółmi. Za sprawą tych anonimowych wycieczkowiczów przeżyłem naprawdę cudowne chwile. Gdybym był wszechmocny, wymierzyłbym im karę chłosty! Albowiem oni są inni, niż ja byłem w ich wieku. Zdaję sobie sprawę, że są głupkowaci, wysportowani, poczciwi. Mając tyle lat co oni, zabierałem Nietzschego pod namiot i już wtedy suszyłem głowę sobie i innym.

26 Lipca

Jeśli jesteś przeciętny, nawet jeżeli usiłujesz malować bardzo, ale to bardzo źle, twoja przeciętność zostanie dostrzeżona.

Salvador Dali.

Po wyczerpującym dniu pracy otrzymuję telegraficzne potwierdzenie, że sto dwie ilustracje do Boskiej Komedii dotarły już do Rzymu. Wydawca Janes dostarcza mi książkę *Nagi Dali*. Spożywamy kolację i pijemy wspaniałego szampana, którym delektuję się z paroksytyczną rozkoszą. Są to dwa pierwsze kieliszki szampana, jakie piję od ośmiu lat.

27 Lipca

Dziś rano wyjątkowe wypróżnienie: dwa niewielkie ekskrementy w formie rogu nosorożca. Tak mała ilość stolca niepokoi mnie. Sądziłem, że szampan, do którego niezbyt nawykłem, powinien działać przeczyszczająco. Jednak po niecałej godzinie znów muszę udać się do toalety, gdzie wreszcie oddaję normalny stolec. A zatem moje dwa rogi nosorożca stanowiły zakończenie innego procesu. Jeszcze powrócę do tej kwestii o kapitalnym znaczeniu.

28 Lipca

Cały dzień padał deszcz na moją czaszkę słonia i gdzie indziej także. Podczas sjeisty dalekie odgłosy burzy. Gdy byłem mały, tłumaczono mi: piętro wyżej przesuwają meble. Dzisiaj wiem, jak pożyteczną rzeczą jest piorunochron na dachu. Wieczorem dostrzegam w kuchni wielką, glinianą misę wypełnioną ślimakami. Na widok tych wilgotnych delicji dnia zaiskrzyły mi się oczy Te szare stworzenia, skulone pośród skał, zdają się teraz spoczywać w szarawym, napęczniałym i jedwabistym krochmalu. Popielate tony tłumią ostrygową czerń. mlecznobiałe zaś kojarzą się z podbrzuszem kuropatw.

29 Lipca

Piet²⁴ mniej niż pierdnięcie,
więcej niż genialna pchła

Wydając po przebudzeniu bardzo długie, ale to bardzo długie i— powiedzmy sobie szczerze — melodyjne pierdnięcie, przypomniałem sobie Michała z Montaigne. Autor ten informuje, że słynnym pierdzielem był święty Augustyn, który potrafił wygrywać całe kompozycje.²⁵

30 Lipca

Cóż to była za radość, kiedy uwierzyłem w fałszywą informację gosposi, że dziś

kończy się miesiąc. Przed kolacją dowiaduję się, że jutro będzie nadal trzydziesty pierwszy. Oznacza to, że do tego czasu skończę malować twarz Gali widoczną na Wniebowzięciu, twarz, która będzie najpiękniejsza i najbardziej znajoma spośród wszystkich twarzy, których natchnieniem była moja Gala rediviva i niebotyczna!

Sierpień

1 sierpnia

Dziś wieczór, po raz pierwszy od co najmniej roku spoglądam na gwieździste niebo. Moim zdaniem jest ono małe. Czy to ja rosnę, czy też wszechświat się kurczy? A może jedno i drugie? Jak wiele się zmieniło w porównaniu z latami młodzieńczymi, kiedy kontemplacje przestrzeni gwiezdnych wprawiały mnie w kompleksy. Moja romantyczna wiara w niepojęty bezmiar wszechświata była wówczas dla mnie czymś przytłaczającym. Dręczyła mnie melancholia, ponieważ nie potrafiłem określić swych stanów emocjonalnych. Obecnie rzecz ma się całkiem inaczej: moje emocje są tak bardzo zrozumiałe, że mógłbym wykonać ich odlew. I właśnie teraz postanawiam zamówić gipsowy odlew obrazujący z maksymalną dokładnością emocje, jakich przysparza mi kontemplacja sklepienia niebieskiego.

Wdzięczny jestem fizyce współczesnej za to, że dzięki przeprowadzonym w jej ramach badaniom naukowym utrwaliło się przekonanie, iż „przestrzeń jest skończona”. Moje emocje mają doskonałą formę continuum czteropośladowego, są delikatne niczym sama materia wszechświata. Nawet kładąc się spać, wyczerpany całodzienną pracą, staram się je podtrzymywać. Równocześnie ogarnia mnie spokój, gdy tłumaczę sobie, że ostatecznie wszystko we wszechświecie — mimo że jest on rozciągliwy dzięki materii, która wydaje się niezmierna — sprowadza się po prostu do liczenia ziaren bobu²⁶. To, że kosmos zredukowany jest do tych rozsądnych proporcji, sprawia mi taką radość, że mógłbym zacierać ręce, gdyby ten ohydny gest nie był antytezą Dalego. Przed zaśnięciem, miast zacierać ręce, ucałuję je w geście najprawdziwszej radości, powtarzając sobie, że wszechświat—jak każda rzecz materialna — wydaje się okropnie nędzny i niepozorny, jeśli porównać go, na przykład, z wielkością czoła namalowanego przez Rafaela.

20 sierpnia

Otrzymuję wreszcie gipsowy odlew własnych emocji i postanawiam sfotografować owo continuum czteropośladowe. Wszyscy zaproszeni zebrali się już na dole w ogrodzie; wtem jakaś elegancka nieznajoma wchodzi do mnie na taras, Patrę na nią — patrę zresztą na wszystkie kobiety - i nagle doznaję olśnienia: stojąca przede mną kobieta, kiedy obraca się do mnie plecami, ma właśnie dwa spośród czterech pośladowek mojego continuum. Zwracam się do niej z prośbą, by zbliżyła się do odlewu, wyjaśniając, że moją wizję wszechświata zawartą ma tam, gdzie kończą się plecy. Czy pozwoli mi ją sfotografować? Nieznajoma najnormalniej w świecie przystaje na tę propozycję: odpina

suknię i przechylając się przez murek, by gawędzić ze znajomymi — którzy znajdują się na dolnym tarasie, niczego się nie domyślając — prezentuje mi pośladki, abym mógł porównać odlew z jego właściwą naturą.

Gdy zakończyłem czynności, poprawia sobie suknię i podaje mi czasopismo, które przechowywała dla mnie w torebce. Jest to stary, brudny i podniszczony periodyk, w którym dostrzegam, zachwycony (możecie to sobie wyobrazić), reprodukcję figury geometrycznej identycznej z moim odlewem: powierzchnię o stałej krzywiznie, jaką otrzymuje się w doświadczeniach mechanicznego rozbijania kropli Oliwy.

Tak wielka liczba wydarzeń utożsamiających świat Dalego i następujących w tak krótkim czasie utwierdza mnie w przekonaniu, że Osiągnąłem apogeum geniuszu.

Wrzesień

1 września

Wniebowzięcie jest windą,
która unosi się dzięki ciężarowi
martwego Chrystusa

Jestem pierwszą osobą, którą wprawiają w osłupienie rzeczy nadzwyczajne i jedyne w swoim rodzaju, jakie codziennie mi się przytrafiają. Jednak dziś po południu, kiedy odbyłem piętnastominutową, krzepiącą sjestę, spotkało mnie coś najzupełniej wyjątkowego, czego jeszcze w życiu nie zaznałem.

Usiłując obniżyć Wniebowzięcie przed malowaniem jego górnych partii, a widząc, że bloki nie działają jak należy, szarpnąłem ostro, na skutek czego zerwało się płótno i spadło z hukiem z co najmniej trzymetrowej wysokości w pustą przestrzeń wewnątrz rusztowania, gdzie wędruje do góry lub na dół stosownie do moich potrzeb. Przez chwilę sądziłem, że płótno okaże się porysowane, a nawet podziurawione i moje trzy miesiące pracy pójdą na marne, w najlepszym zaś wypadku trzeba będzie poświęcić sporo czasu na żmudne próby renowacji. Nadbiegła gosposia zaalarmowana moim krzykiem, zastając mnie bladego jak trup! Oczyma wyobraźni widziałem już, jak moją nowojorską wystawę przekłada się na termin późniejszy albo wręcz odwołuje. Należało wezwać kogoś, kto zejdzie do dziury, aby zebrać strzępy mojego nieukończonego arcydzieła. Niestety o tej porze wszyscy w Port Lligat odbywali sjestę. Jak szalony wpadłem do hotelu. Po drodze zgubiłem pantofel, po który nawet nie raczyłem się schylić. Z rozwichrzoną czupryną i rozczapierzonymi wąsami musiałem przedstawiać sobą straszny widok. Widząc mnie wpadającego do hotelu, jakaś młoda Angielka wydała przeraźliwy okrzyk i uciekła w popłochu. Udało mi się w końcu odnaleźć Raphaela, właściciela hotelu, którego poprosiłem o pomoc. Blady i przerażony jak ja, zszedł do dziury i z największą ostrożnością zdołaliśmy wydostać płótno. Cud! Obraz był nienaruszony. Ani jednego zadrapania, ani odrobiny kurzu! Wszyscy, którzy próbowali później odtworzyć tamto wydarzenie, nie mogli pojąć jak to było możliwe, jeżeli wykluczyć interwencję aniołów²⁷

Doszedłem wówczas do wniosku, że dzięki temu, iż obraz spadł, zyskałem cały sierpień! Tak, doskonałość tego dzieła paraliżowała mnie: właściwie cały czas zwalniałem tempo pracy, dreptałem w miejscu. Po tym upadku, który —jak mi się wydawało — spowodował zniszczenie płótna, pracowałem już szybko i bez obaw. Jeszcze tego samego dnia narysowałem obie stopy, prawą nawet namalowałem, i ukończyłem kulę wyobrażającą świat. W trakcie pracy cały czas myślałem o Matce Boskiej, która spada do nieba dzięki własnemu ciężarowi. To samo spotkało moją Matkę Boską, która zeszła w głąb własnego grobowca. Tak więc dane mi było przeżyć jej chwalebny wzlot - fizycznie, psychicznie i symbolicznie. Jestem przekonany, że tego rodzaju cuda na świecie są wyłącznie udziałem jednej tylko osoby, a mianowicie Salvadora Dali. Dziękuję za to pokornie Bogu i Jego aniołom.

2 września

Najgorszym malarzem na świecie, i to
pod każdym względem, jest bez mglistego
wątpienia Turner.
Salvador Dali

I znów olśniła mnie genialna myśl, kiedy przesiadywałem dziś rano w toalecie. Mój stolec był zresztą tego ranka nieprawdopodobnie osobliwy — płynny i bezwonny. Otóż, zaabsorbował mnie problem długowieczności, a to za sprawą pewnego osiemdziesięciolatka zajmującego się tą kwestią. Wyskoczył on niedawno nad Sekwaną na spadochronie z czerwonego płótna.

Intuicja mi mówi, że gdyby można było wydalać ekskrementy tak płynne jak ciągnący się miód, życie człowieka byłoby dłuższe. ekskrementy bowiem (według Paracelsusa) stanowią nic życia. każda zaś przerwa lub pierdnięcie oznacza ulatującą minutę życia. Jest to czasowy odpowiednik nożyc Park, które przecinają nic życia, kawałkując je i niszcząc.

Nieśmiertelności czasowej powinno się doszukiwać w odpadach. w ekskrementach. a nie gdzie indziej... A ponieważ najważniejszym posłannictwem człowieka na Ziemi jest nasywanie wszystkiego pierwiastkiem duchowym. właśnie ekskrementy najbardziej tego potrzebują. Tak więc odczuwam coraz większy wstręt do rozmaitych dowcipów skatologicznych, tudzież wszelkich innych form frywolności z tym związanych. Co więcej, zdumiony jestem, że umysł ludzki przejawiał tak małe zainteresowanie ową fundamentalną kwestią, jaką jest analiza ekskrementów z filozoficznego i metafizycznego punktu widzenia. Jakież niestosowne jest stwierdzenie, że spośród tak wielkiej liczby inteligentnych ludzi jakże wiele załatwia swą potrzebę tak jak wszyscy. W dniu kiedy napiszę rozprawę naukową na ten temat, zadziwię, jako żywo, cały świat. Praca ta będzie zresztą przeciwieństwem traktatu Swifta o latrynach.

3 września

Dziś przypada rocznica balu Beistegui²⁸. Wspomnienie tamtego, spędzonego w Wenecji dnia, wzbudza we mnie arcysubtelny niepokój, niemniej mówię sobie, że muszę ukończyć lewą stopę i zacząć „radioluar”²⁹, globus ziemski nosorożcowego niepokoju. Za dwa dni rozpocznę malowanie „nisoidów”³⁰ z uwzględnieniem perspektywy. Pozwolę sobie wtedy na luksus wyczerpujących dywagacji retrospektywnych, związanych z balem Beistegui. Jest to niezbędne, abym mógł się zatracić w świetlistych i wenecjańskich korpuskułach boskiego ciała Gali.

4 września

Sam ze sobą toczyć muszę boje — rozliczne i heroiczne — aby bał Beistegui nie zdołał owoładnąć lepkiem biegiem moich myśli. Udaje mi się w końcu odrzucić wspomnienia z balu, co przypomina sytuację, kiedy jako dziecko krążyłem całą godzinę wokół stołu, umierając z pragnienia, zanim wypilem szklanekę orzeźwiającej wody, rozpalwszy uprzednio w sobie niepohamowaną żądzę, by wychylić ów kielich rozkoszy mych delirycznych i nienasyconych pragnień.

5 września

Nadal powstrzymuję się od dywagacji na temat balu Beistegui — co przypomina tym razem powstrzymywanie moczu — drepcząc w miejscu i wymyślając przy okazji nową choreografię przed swoim obrazem. Powstrzymuję się także od malowania „nisoidów”

6 września

Miałem właśnie pozwolić jakże umiłowanemu i ukochanemu umysłowi Salvadora, by wreszcie rozpoczął swoje dywagacje na temat balu Beistegui, gdy oznajmiono mi, że przyszedł jakiś notariusz. Polecilem, aby mu grzecznie wytłumaczono, że pracuję i że będę mógł go przyjąć o godzinie ósmej. Ustalanie terminu spotkania kolidującego z planowanymi dywagacjami budzi we mnie bunt. I oto wraca gosposia, mówiąc, że notariusz nalega, żeby się ze mną zobaczyć, ponieważ przyjechał taksówką. Powód ten wydaje mi się nedorzeczny, gdyż taksówki to nie pociągi — mogą zaczekać.

Powtarzam Rosicie, że przed ósmą wieczór moich dywagacji tudzież korpuskuł boskiego ciała Gali nie można niczym zakłócić. Notariusz jednak twierdzi, że jest moim wielkim przyjacielem, zakrada się do biblioteki, odsuwa na bok unikatowe albumy o sztuce, msza z miejsca moje obliczenia matematyczne, wykonane przeze mnie rysunki. tak cenne, że nikt nie ma prawa ich ruszać, i zaczyna redagować akt notarialny. w którym stwierdza, że nie zgodziłem się go przyjąć. Następnie proponuje gosposi, by go podpisała. Ta odmawia i — pełna podejrzeń — przychodzi powiadomić mnie, co się dzieje. Schodzę na dół, drę wszystkie papiery, które miał czelność rozłożyć na stole³¹, po czym wyrzucam tego notariusza za drzwi kopniakiem w tytek, kopniakiem nader symbolicznym, gdyż nawet go nie dotknąłem.

7 września

Pograżam się w ekstatycznych predywagacjach będących wstępem do właściwych

dywagacji na temat balu Beistegui.

Widzę już oczyma wyobraźni istic proustowską korespondencję między Port Lligat a Wenecją. O godzinie szóstej obserwuję, jak na wzgórzu, na którym znajduje się wieża, rysuje się cień. Jego wędrówka jota w jotę przypomina mi przemieszczanie się cienia stanowiącego przedłużenie bocznych okien kościoła Santa Maria della Salute przy Canal Grande. Wszystko ma odcień tego samego różu, co w dniu balu około godziny szóstej, niedaleko urzędu celnego.

Jest pewne, że jutro rozpocznę „nisoidy” oraz pozwolę sobie na luksus dywagacji związanych z balem Beistegui.

8 września

Stało się! Rozpocząłem „nisoidy”. Dzięki barwom dopełniającym emanuje z nich paroksytyczna wzniosłość, Są tu barwy zielone, pomarańczowe, róż łososiowy. Wreszcie rodzą się moje piękne, korpuskularne „nisoidy”. Przyjemności jest aż nadto, dlatego też odraczam dywagacje na temat balu Beistegui na następny dzień. Rano malować będę „nisoidy”, nie pograżając się w marzycielstwie, zachowując całkowitą jasność umysłu, za to po południu oddam się słodkim szaleństwom, dywagując na temat balu. Całą duszą oddam się rzewnym wspomnieniom — aż do kompletnego wyczerpania.

9 września

Dziś pograżyłbym się zapewne w dywagacjach na temat balu Beistegui, gdyby nie przeszkodziło mi w tym wezwanie na policję na jedenastego. To konsekwencja incydentu z notariuszem. Dowiaduję się, że może mnie to kosztować dwanaście miesięcy więzienia. Odkładam dywagacje na później, wsiadamy do cadillaca i udajemy się do G., by spotkać się z ambasadorem M..., którego proszę o radę. Ambasador okazuje się bardzo życzliwy i bardzo mi oddany — telefonujemy do co najmniej dwóch ministrów.

10, 11, 12, 13, 14 września

Nie przerywając zajęć, któregoś popołudnia słucham lektury dokumentu urzędowego. Wszystkie te dni poszły na marne, gdyż musiałem zająć się sprawą notariusza! W przyszłości będę się płaszczył jak pluskwa ponaddwiekowa przed wszelkimi urzędnikami państwowymi lub też innymi biurokratami. Zresztą moja opinia na ten temat zawsze była taka sama. Jeśli tym razem tego nie uczyniłem, to dlatego że moje boskie „nisoidy” pobudzały mnie podobnie jak kość psa. Nie, nawet o wiele bardziej! Moje natchnienie było natury kosmicznej i jest rzeczą oczywistą, że pierwszy lepszy notariusz nie jest w stanie nic z tego zrozumieć. Kiedy mi przeszkodzono, czułem już bliskość korpuskularnych konturów ekstazy.

15 września

Lęk, jaki odczuwam na myśl o ewentualnych dwunastu miesiącach więzienia z powodu tej historii z notariuszem, sprawia, że rozkoszuje się chwilą obecną. Uwielbiam

Galę jeszcze bardziej, niż mogłem się tego spodziewać. Dlatego też zacząłem malować, tak jak śpiewa słowik. Nieoczekiwanie dały się słyszeć trele mojego kanarka: ciekawa rzecz, bo przecież w ogóle już nie śpiewał. Mały Juan śpi w naszej sypialni. Ma w sobie coś z Rafaela i Murilio. Wykonałem ołówkiem hematytowym trzy rysunki przedstawiające nagą, modlącą się Galę. W wielkim kominku sypialni od trzech dni rozpalamy ogień. Kiedy gasimy światło, pada na nas blask płonących bierwion! Jak to dobrze nie być jeszcze w więzieniu... tak dobrze, że wyznaczam sobie na jutro jeszcze jeden dzień wakacji, zanim pogrążę się w słynnych, wyczerpujących, wzniosłych, upajających dywagacjach na temat balu Beistegui. Kończę malowanie rąk i ramion Matki Boskiej.

16 września

Rozpocząłem pracę nad pierwszymi korpuskułami Wniebowzięcia. Jak na razie cisza na temat więzienia, co pozwala mi zaznawać paroksystycznej rozkoszy bycia dobrowolnym więźniem w moim domu w Port Lligat. Przygotowuję się duchowo do rozpoczęcia w dniu jutrzejszym, dokładnie O trzeciej trzydzieści, dywagacji na temat balu Beistegui.

17 września

Nic z tego! Nie było dywagacji na temat balu Beistegui. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że owe trudności związane z rozpoczęciem dywagacji, które — wystarczy, że o nich pomyślę — sprawiają mi tak wielką przyjemność, rodzą coś paradoksalnego, typowo „daliniańskiego” i naprawdę wyjątkowego. Otóż wydaje mi się, że mam lekkie bóle wątroby, co tłumaczę sobie lękiem wywołanym tą historią z notariuszem. W końcu jednak zauważam, że mam po prostu brudny język. Nie przytrafiło mi się to od tak wielu lat, że jestem tym zaskoczony. Zażyłem połowę normalnej dawki Środka przeczyszczającego. Okazuje się on wyjątkowo łagodny. W takiej sytuacji nie jestem pewny, czy dywagacje odbędą się jutro. Tak czy inaczej podejrzewam, że nie byłem w stanie rozpocząć słynnych, oszalamiających i umiłowanych dywagacji dlatego, że miałem brudny język, co w mojej sytuacji jest czymś wyjątkowym. Dolegliwości gastryczne w żadnym wypadku nie sprzyjają euforycznym uniesieniom, jakie winny fizjologicznie poprzedzać każdy wielki akt wyobraźni — szaleńczy i ekstatyczny.

Zjawia się Gala, by mnie pocałować przed zaśnięciem. To najśłodszy i najrozkoszniejszy pocałunek w moim życiu.

Listopad

Port Lligat, 1 Listopada

Kiedy umiera jakaś bardzo ważna lub nawet nie tak ważna osoba, doznaję gwałtownego, osobliwego, a zarazem kojącego uczucia, że ów zmarły całkowicie zasymilował się ze światem Dalego, gdyż odtąd czuwać będzie nad moim rodzącym się dziełem.

Salvador Dali

Jest to dzień pamięci o zmarłych i o mnie. Dzień, w którym pamięta się śmierć Federico Garcii Lorki rozstrzelanego w Granadzie, samobójstwo Rene Crecela w Paryżu i Jean-Michela Francka w Nowym Jorku. Śmierć surrealizmu. Księcia Mdivaniego, który został zgilotynowany przez własnego rolls royce'a. Śmierć księżniczki Mdivani i będącego na wygnaniu w Londynie Zygmunta Freuda. Samobójstwo popełnione wspólnie przez Stefana Zweiga i jego żonę. Śmierć księżnej de Faucigny-Lucinge. Śmierć Christiana Berarda i Louisa Jouveta w teatrze. Śmierć Gertrudy Stein i Jose-Marii Seta. Śmierć Misi³² i lady Mendl. Roberta Desnosa i Antonina Artauda. Egzystencjalizmu. Śmierć mojego ojca. Paula Eluarda.

Jestem przekonany, że znajomością psychoanalizy i psychologii przewyższam Marcela Prousta. I to nie tylko z tej racji, że wśród licznych metod, którymi się posługuję, a które były mu obce, jest także psychoanaliza, ale przede wszystkim dlatego, że umysł mój jest typu wybitnie paranoicznego, a więc najbardziej przystosowany do tego rodzaju badań. Natomiast struktura jego umysłu była charakterystyczna dla neurotycznego cierpiénika, czyli osobnika najmniej zdolnego do takiej działalności. Można to z łatwością rozpoznać po jego wąsach — przygnębiających i jakby nieobecnych— które podobnie jak jeszcze bardziej przygnębiające wąsy Nietzschego są absolutnym przeciwieństwem zawadiackich i radosnych wąsisk Velazqueza lub tym bardziej ultranosorożcowych wąsów waszego genialnego i pokornego sługi.

To prawda, że zawsze lubiłem się posługiwać owłosieniem, mając na względzie już to aspekt estetyczny—w celu dokonania złotego podziału, który zależy od naturalnego układu włosów —już to aspekt psychopatologiczny wąsów, owej tragicznej stałej charakteru, bezsprzecznie najbardziej wyrazistej cechy męskiej twarzy. Jest jeszcze większą prawdą, że skoro już tak bardzo lubię się posługiwać terminami gastronomicznymi pragnąc serwować swoje skomplikowane i ciężkostrawne idee filozoficzne, dbam zawsze o to, by idee te charakteryzowała nieubłagana przejrzystość aż do najdrobniejszego szczegółu. Nie zniósłbym nawet cienia niejasności.

Dlatego właśnie z lubością powtarzam, że Marcel Proust, posługując się swą masochistyczną introspekcją oraz uciekając się do analnego i sadystycznego obnażania społeczeństwa, zdołał przyrządzić coś w rodzaju zadziwiającej zupy rakowej — impresjonistycznej, superdelikatnej i niemal muzycznej. Brakuje w niej tylko raków, które mają to do siebie, że stanowią jej istotę. Natomiast Salvador Dali, dzięki wszystkim najbardziej nawet nieuchwytnym esencjom i kwintesencjom własnych oraz cudzych ekshibicjonizmów, które zawsze się od siebie różnią, potrafi zaserwować wam na przepięknym talerzu, i to bez szczypty erudycji, ni mniej ni więcej tylko autentycznego raka w bulionie - konkretnego, lśniącego, mającego człony niczym prawdziwie jadalny pancerz rzeczywistości, jakim faktycznie jest.

Proustowi z raka udaje się tworzyć muzykę, Dali zaś z muzyki potrafi wyczarować raka.

Przejdźmy teraz do śmierci współczesnych mi osób, które znałem i które były mi bliskie. Przede wszystkim doznaję kojącego uczucia, że wszystkie one tak bardzo

zasymilowały się ze światem Dalego, iż będą dla mnie natchnieniem w działalności twórczej. Jednocześnie pojawia się inne niepokojące i paradoksalne uczucie: mam wrażenie, że to ja spowodowałem ich śmierć!

Dzięki narzucającej się instynktownie interpretacji paranoiczno-delirycznej otrzymuję szczegółowe dowody własnej odpowiedzialności karnej. Ponieważ jednak z obiektywnego punktu widzenia jest to absolutnie błędne. a w dodatku dzięki prawie nadludzkiej inteligencji wzlątnę ponad szczyty, sprawy się w końcu jakoś układają. Tak więc mogę wam wyznać z pewną dozą melancholii i bez najmniejszych skrupułów, że następujące kolejno zgony wszystkich moich przyjaciół, układając się cieniutkimi warstwami „falszywego poczucia winy”, tworzą coś w rodzaju miękkiej poduszki, na której zasypiam wieczorną porą. odmłodzony i spokojniejszy niż kiedykolwiek.

Rozstrzelany w Granadzie, poeta tragicznej śmierci, Federico Garcia Lorca!

Ole!

Tym oto typowo hiszpańskim okrzykiem przyjąłem w Paryżu wiadomość o zamordowaniu Lorki, najlepszego przyjaciela burzliwych lat mojej młodości.

Ten właśnie okrzyk, jaki wydaje instynktownie miłośnik corridy za każdym razem, gdy matadorowi udaje się piękne pase lub jaki wydobywa się z gardła tych, co towarzyszą pieśniarzom flamenco, wydałem na wiadomość o śmierci Lorki wyrażając przez to tragiczny i jakże hiszpański triumf, kończący jego ziemską egzystencję.

Co najmniej pięć razy dziennie Lorca wspominał o swojej śmierci. W nocy nie mógł zasnąć, jeśli cała grupa nie przychodziliśmy go „ukołysać”. Kiedy już znalazł się w łóżku, odnajdywał jeszcze pretekst, aby w nieskończoność przedłużać najbardziej transcendentalne rozmowy o poezji, jakie odbywały się w tym stuleciu. Pod koniec prawie zawsze wszczynął dyskusję o śmierci, zwłaszcza zaś o własnej.

Lorca naśladował i opiewał to, o czyni mówił, a szczególnie własny zgon. Reżyserował go za pomocą mimiki. — Oto — powiadał — jak będę wyglądał w chwili śmierci! Po czym wykonywał coś w rodzaju horyzontalnego baletu, odzwierciedlającego nieskoordynowane ruchy ciała podczas własnego pogrzebu, gdy trumna znoszona będzie po stromym zboczku w Granadzie. Następnie demonstrował wygląd swojej twarzy kilka dni po śmierci: oblicze jego, które w zasadzie nie odznaczało się szczególną urodą, otaczał nagle nimb nieznanego piękna, a nawet niezwykłego uroku. Wówczas to, świadom wrażenia, jakie na nas wywarł, uśmiecha się promieniejąc triumfem, bowiem poprzez swój liryzm całkowicie podporządkował sobie obserwatorów.

Pisał kiedyś:

El rio Guadalquivir tiene las barbas granates

Granada tiene dos rios, uno llanto, el otro sangre³³

A w zakończeniu Ody do Salvadora Dali (po dwakroć nieśmiertelnej) Lorca czyni niedwuznaczną aluzję do własnej śmierci i zwraca się do mnie z apelem, abym nie ustawał w działaniu, jak długo pozwolą mi na to siły i talent.

Ostatni raz widziałem Lorcę w Barcelonie. dwa miesiące przed wojną domową. Galę, która dotychczas go nie знаła, do głębi poruszył ów absolutnie liryczny fenomen. Uczucie to było zresztą odwzajemnione: oczarowany Lorca przez trzy dni rozprawiał wyłącznie o Gali. Podobnie Edward James, poeta niezmiernie bogaty i subtelny niczym

najdrobniejsza ptaszyna. zaintrygowany był osobowością Federica. James paradował w tyrolskim stroju składającym się z krótkich spodni i koronkowej koszuli z nadmierną ilością haftów. Lorca mówił o nim, że jest to koliber ubrany w strój żołnierski z czasów Swifta. W trakcie posiłku w restauracji „Canari de la Garriga” maleńki, niezwykle strojny insekt przemierzał obrus paradnym krokiem. Lorca natychmiast go zauważył, wydał okrzyk i przytrzymując palcem zataił przed Jamesem z jakimż to stworzeniem ma do czynienia. Gdy cofnął dłoń, po owadzie nie było już śladu. Otóż ten mały insekt, również poeta przystrojony w koronki tyrolskie, mógłby być jedynym stworzeniem zdolnym odmienić los Lorki.

James wynajął wówczas pałacyk Cimbrone w pobliżu Amalfi. Willa ta zainspirowała Wagnera do napisania Parsifala. Zapraszał Lorcę i mnie, byśmy zamieszkali u niego tak długo, jak zechcemy. Przez trzy dni mój przyjaciel zmagał się z dramatycznym dylematem: jechać czy nie jechać? Co kwadrans zmieniał zdanie. W Granadzie cierpiący na serce ojciec czuł zbliżającą się śmierć. W końcu Lorca obiecał, że przyjedzie do nas, jak tylko zobaczy się z ojcem, by pozbyć się obaw. Tymczasem wybuchła wojna domowa. Rozstrzelano go, a ojciec żyje do dziś.

Wilhelm Tell? Jestem przekonany, że gdyby nie udało nam się namówić Federica, aby dołączył do nas, jego psychopatologicznie niespokojny i chwiejny charakter nigdy nie pozwoliłby mu zobaczyć się z nami w Villa Cimbrone. Właśnie wtedy zaczęło we mnie kielkować wyraźne poczucie winy. Niezbyt energicznie nalegałem, aby wyrwać go z Hiszpanii. Gdybym naprawdę tego chciał, mógłbym go zabrać do Włoch. Ale pisałem wtedy wielki poemat liryczny Spożywam Galę i zdałem sobie właściwie sprawę, że jestem z powodu Lorki zazdrosny.

Pragnąłem być we Włoszech sam, otoczony tarasami cyprysów i drzew pomarańczowych, dumnymi świątyniami Paestum, które na szczęście wcale mi się nie podobały, co jedynie potęgowało moje pragnienie samotności oraz megalomańskie zapędy. (Tak, owo odkrywanie Włoch przez pryzmat osobowości Dalego oraz moje ówczesne stosunki z Lorcą i nasza gwałtowna korespondencja dziwnym zrzędzeniem losu przypominały sławetne niesnaski między Nietzschem a Wagnerem. Był to również okres, kiedy zachwyciałem się Aniołem Pańskim Muleta, kiedy pisałem swoją najlepszą książkę, która jeszcze nie została wydana: Tragiczny mit Anioła Pańskiego Milleta³⁴ oraz swój najlepszy balet, również jak dotychczas nie wystawiony, a który zatytułowany jest Anioł pański Milleta. Pragnąłem, by towarzyszyła mu muzyka z Arleżjanki Bizeta i nie znana jeszcze muzyka Nietzschego. Nietzsche osobiście napisał tę kompozycję będąc bliskim szaleństwa, przechodził bowiem któryś ze swych kryzysów antywagnerowskich. Hrabia Etienne de Beaumont wygrzebał ją, jak sądzę, w jakiejś bibliotece w Bazylei, ja zaś nie wysłuchawszy jej nawet odniosłem wrażenie, że jedynie ta muzyka mogłaby pasować do mego dzieła.

Czerwoni, półczerwoni, różowi, a nawet bladofiołkowi skwapliwie posłużyli się haniebną i demagogiczną propagandą związaną ze śmiercią Lorki, przystępując do podłego szantażu, usiłowali i usiłują dziś jeszcze zrobić z niego bohatera politycznego. Ja jednak, jego najlepszy przyjaciel, gotów jestem wyznać przed Bogiem i Historią, że Lorca, ten najbardziej natchniony poeta był także najbardziej apostołską istotą, jaką kie-

dykolwiek znałem. Okazał się po prostu ofiarą prześlągalną w kontekście stosunków osobistych, ultrasobistych, regionalnych, przede wszystkim zaś niewinną ofiarą wszechwładnej, spazmatycznej i kosmicznej anarchii wojny domowej w Hiszpanii.

Tak czy inaczej jedno jest pewne. Za każdym razem jak z głębi samotności dzięki wysiłkowi mego intelektu rodzi się jakaś genialna myśl, za każdym razem jak udaje mi się cudowne pociągnięcie pędzla, zawsze słyszę ochryply i lekko przytłumiony głos Lorki, który krzyczy do mnie: ole!

Śmierć Rene Crevela to odrębna historia. Aby rzecz całą przedstawić od początku, muszę pokrótce opowiedzieć dzieje A.E.A.R., czyli Association des Ecrivains et Artistes Revolutionnaires³⁵. Ów ciąg wyrazów ma tę zaletę, że nie oznacza, z grubsza rzecz biorąc, nic. Surrealiści, kierujący się wówczas wielce szlachetnymi i idealistycznymi pobudkami oraz zachęteni dwuznacznością tej nazwy, zapisywali się gremialnie, stanowiąc większość owego stowarzyszenia przeciętnych biurokratów. Jak wszystkie nękanie immanentnym debilizmem organizacje tego rodzaju, których przeznaczeniem jest pograżać się w nicości, A.E.A.R. miało przede wszystkim ambicje zwołania „Wielkiego Kongresu Międzynarodowego”. Mimo że cel takiego kongresu łatwo było przewidzieć, okazałem się jedyną osobą, która zawczasu ośmieliła się to ujawnić: chodziło w pierwszym rzędzie o pozbycie się wszystkich pisarzy i artystów reprezentujących jakąkolwiek wartość, głównie zaś wszystkich tych, którzy mogliby hołdować choćby najbardziej ulotnej idei rzeczywiście wywrotowej, a więc rewolucyjnej. Kongresy to dziwaczne monstra, których nieodłącznym atrybutem są kulisy, gdzie przemykają osobnicy najbardziej tu na miejscu, innymi słowy osoby ugodowe. Co się tyczy Bretona, cokolwiek by o nim nie powiedzieć, należy się zgodzić z jednym: jest to w pierwszym rzędzie człowiek nieskazitelny, a także twardy jak krzyż świętego Andrzeja. Za każdym kulisami, zwłaszcza zaś za kulisami kongresowymi, rychło staje się najbardziej kłopotliwy i najbardziej nieprzejednany ze wszystkich „ciał obcych”. Ugodowość czy też płaszczenie się są mu całkowicie obce. Była to jedna z zasadniczych przyczyn, dla których kampania surrealistyczna nie zdołała nawet przekroczyć progu kongresu Stowarzyszenia Pisarzy i Artystów Rewolucyjnych, co bardzo inteligentnie przeczuwałem, nie uciekając się do najmniejszego wysiłku umysłowego.

Jedynym członkiem grupy, który wierzył w skuteczność interwencji surrealistów na forum kongresu A.E.A.R., był Rene Crevel. Rzecz niesłychana i dająca wiele do myślenia: nie wybrał on sobie imienia Paul lub Andre tak jak wszyscy, ani w ostateczności Salvador podobnie jak ja. W języku katalońskim Gaudi³⁶ i Dali znaczą „radować się” oraz „pragnąć”, Crevel miał natomiast na imię Rene, w czym można się doszukiwać imiesłowu czasownika renaître³⁷. Z kolei nazwisko jego brzmiało Crevel, co kojarzyło się z „katowaniem się”³⁸ lub —jak powiedzieliby filozofowie o zacięciu filologicznym — z „pędem życiowym do katowania się”. Jedynie Rene wierzył w możliwości A.E.A.R., stając się żarliwym rzecznikiem tej organizacji, gdzie miał nadzieję w pełni rozwinąć swą aktywność. Obdarzony był morfologią embrionu lub dokładniej morfologią młodego pędu paproci, w chwili gdy rozwija się i zaczyna ukazywać spirale swych rodzących się

listków. Z pewnością już widzieliście zasępione oblicze, jak twarz upadłego anioła, ciemiste i beethovenowskie oblicze spiralnego pędu paproci. Jeśli się jeszcze tym nie zainteresowaliście, obserwujcie je uważnie, a będziecie mieli dokładny obraz tego, z czym mogła się kojarzyć owa wypukła, jak u opóźnionego w rozwoju niemowlęcia, twarz drogiego Rene Crevela. W tamtym czasie uosabiał on w moich oczach żywy symbol embriologii; dziś jest dla mnie ponadto znakomitym przykładem ilustrującym najnowszą gałąź wiedzy zwana feniksologią, z którą zapoznam wszystkich szczęściarzy mogących mnie czytać. Prawdopodobnie nic z tej dziedziny nie jest wam jeszcze niestety znane. Feniksologia informuje nas, śmiertelników, że mamy nieprawdopodobną szansę stać się nieśmiertelni jeszcze za naszego życia, a to dzięki tkwiącym w nas tajemniczym możliwościom powrotu do stanu embrionalnego, by w ten oto sposób móc się odrodzić z popiołów po wieczne czasy niczym Feniks, legendarny ptak, którego imieniem ochrzczono tę najnowszą dyscyplinę, uważającą się za wielce osobliwą pośród najbardziej osobliwych nauk naszych czasów.

Nikt nie był równie często „skonany” jak nasz Rene Crevel i nikt tak jak on nie odzyskiwał energii życiowej. Jego egzystencja upływała na nieustannych wędrówkach po sanatoriach.

Udawał się tam skrajnie wyczerpany, aby być na powrót odrodzony, „odnowiony”, lśniący, kwitnący i euforyczny jak niemowlę. Trwało to jednak niedługo. Ponownie ogarniała go gorączka samozniszczenia i znów zadreślał się, palił opium, walczył z nierozwiązalnymi problemami ideologicznymi, etycznymi, estetycznymi i uczuciowymi; bezsenne noce i łzawe udręki wyczerpywały go do granic możliwości. Wówczas to, jak opętany, przyglądał się swemu odbiciu we wszystkich możliwych zwierciadłach dla maniaków i pobudliwców, zwierciadłach przynębiającego, proustowskiego Paryża tamtych lat, powtarzając w kółko: „Wyglądam jak zdechłak, mam minę skonanego”, by w stanie skrajnego wyczerpania wyznać grupce przyjaciół:

„Już wolę zdechnąć, niż przeżyć jeszcze jeden taki dzień”. Wysyłano go do sanatorium na kurację odwykową i po kilku miesiącach intensywnego leczenia Rene odradzał się na powrót.

I znów pojawiał się w Paryżu pełen życia, niczym radosne dziecko, wystrojony jak żigolo, promieniejący, w superondulacji, tryskający optymizmem, jaki uzewnętrzniał się w prawdziwie rewolucyjnych i wielkodusznych postępkach, by następnie, po raz kolejny, stopniowo lecz nieodwołalnie wracać do palenia i psychicznych tortur, kurcząc się i zwijając w pół jak spiralny pęd paproci niezdolny do życia!

Najtrudniejsze dla siebie okresy euforii i „odkatowywania się” Rene spędzał w owym prawdziwie homerowskim Port Lligat będącym wyłącznie Gali i moją własnością. Jak pisał w swoich listach, były to jego najpiękniejsze miesiące życia. Dzięki tym wizytom życie to było dłuższe o ten właśnie okres. Pozostawał pod wrażeniem mego ascetyzmu i przez cały czas pobytu w Port Lligat żył jak pustelnik, starając się mnie naśladować. Wstawał wcześniej niż ja, przed wschodem słońca, i całe dnie spędzał kompletnie nagi na plantacji oliwek, pod ostrym, najbardziej lazurowym niebem Morza Śródziemnego, najbardziej południowo ekstremistycznym niebem krańcowo ekstremistycznej Hiszpanii. Lubił mnie bardziej niż kogokolwiek innego, ale jeszcze bardziej Galę, którą podobnie jak

ja nazywał Oliwką, powtarzając, że jeśli nie znajdzie dla siebie jakiejś Gali, jakiejś Oliwki, jego życie może się skończyć tragicznie. Nie gdzie indziej jak w Port Lligat Rene napisał Stopy na półmisku, Klawesyn Diderota oraz Dali i antyobskurantyzm.

Ostatnio Gala zaczęła go wspominać i porównując go z niektórymi żyjącymi współcześnie młodymi ludźmi, wykrzyknęła w zadumie: „Dziś już nie rodzą się tacy chłopcy jak on!”

Razu pewnego było więc coś, co nazywało się A.E.A.R. Crevel zaczął zastraszająco źle wyglądać. Miał nadzieję, że właśnie na forum Kongresu Pisarzy i Artystów Rewolucyjnych będzie mógł bezgranicznie oddawać się wszelkiego rodzaju ekscytującym i wyczerpującym szaleństwom udręk i sprzeczności ideologicznych. Jako surrealista był święcie przekonany, że będziemy mogli kroczyć wspólną drogą z komunistami, nie uciekając się do jakichkolwiek ustępstw. Tymczasem już przed otwarciem kongresu wystąpiły najpodlejsze intrygi i najokropniejsze donosy, mające na celu zdyskredytowanie platformy ideologicznej, stanowiącej podstawę działania naszej grupy. Crevel lawirował między komunistami a surrealistami, usiłując doprowadzić do porozumienia poprzez wyczerpujące i rozpaczliwe negocjacje, katując się i odradzając na przemian. Każdy wieczór przynosił dramat i nadzieję. Największą tragedią było ostateczne zerwanie z Bretonem. Crevel, jak dziecko, ze łzami w oczach, przyszedł do mnie, by mi o tym opowiedzieć. Nie zachęcałem go do światopoglądu komunistycznego — wręcz przeciwnie. Uciekając się do klasycznej taktyki Dalego, w każdej sytuacji starałem się prowokować możliwie jak najwięcej nierozwiązywalnych konfliktów, aby ze wszystkich tego rodzaju sprzyjających okoliczności uzyskać maksimum irracjonalnego ekstraktu. Wtedy właśnie moja obsesja „Wilhelm Tell-fortepian-Lenin” ustąpiła miejsca obsesji „wielkiego paranoika jadalnego”, czyli Adolfa Hitlera. Na lamenty Crevela odpowiedziałem, że jedyną możliwą i praktyczną konkluzją obrad kongresu A.E.A.R. będzie przegłosowanie uchwały stanowiącej, że spojrzenie i tłuściutkie plecy Hitlera cechuje nieodparty liryzm poetycki, co w niczym nie powinno przeszkadzać w walce z nim na płaszczyźnie politycznej — a wręcz przeciwnie. Przy okazji dzieliłem się z Crevelem swymi wątpliwościami dotyczącymi kanonu Polikleta³⁹, dochodząc do wniosku, że jest rzeczą prawie pewną, iż Poliklet był faszystą. Rene opuścił mnie przybity. Ponieważ w trakcie wizyt w Port Lligat mógł się o tym codziennie przekonać, to spośród moich przyjaciół właśnie Crevel najgoręcej wierzył, że moje najbardziej nawet szalone i tragiczne fanaberie zawierają w gruncie rzeczy, jak mawiał Raimu, głębię prawdy. Po upływie tygodnia poczułem się bardzo winny. Należało zatelefonować do Crevela, gdyż w przeciwnym razie mógłby sądzić, że podzielał punkt widzenia Bretona, jakkolwiek ten Ostatni podchodził do mego hitlerowskiego liryzmu z takim samym dystansem jak kongres. Tymczasem, na skutek zakulisowych intryg kongresu, oznajmiono Bretonowi, że nie ma możliwości choćby nawet odczytania sprawozdania grupy surrealistycznej. Na jego miejsce wyznaczono Paula Eluarda, który miał przedstawić bardzo okrojoną i o wiele łagodniejszą wersję. Teraz nie było już chyba minuty, w której Crevel nie pozostawałby rozdarty między obowiązkami partyjnymi a dyscypliną grupy surrealistycznej. Gdy wreszcie zdecydowałem się do niego zadzwonić, w słuchawce odezwał się z olimpijskim spokojem jakiś obcy głos. — Jeżeli jest pan choć trochę

przyjacielem Crevela - usłyszałem — niech pan bierze taksówkę i przyjeżdża natychmiast. On umiera. Chciał popełnić samobójstwo.

Wskoczyłem do taksówki i kiedy zajechaliśmy na ulicę, przy której mieszkał, zdziwienie moje wzbudziły obecne tam tłumy. Przed jego domem stał wóz strażacki. Absolutnie się nie domyślałem, jaki może istnieć związek między strażakami a samobójstwem. Na podstawie typowego dla Dalego skojarzenia uznałem, że pożar i samobójstwo miały miejsce w tym samym domu. Wszedłem do sypialni Crevela, w której było pełno strażaków. Z zachłannością oseska Rene wdychał tlen. Nigdy w życiu nie widziałem osoby, która by tak kurczowo trzymała się ziemskiej egzystencji.

„Skatowawszy się” paryskim gazem, usiłował odrodzić się za pomocą tlenu z Port Lligat. Przed Samobójstwem umocował na lewym nadgarstku kawałek tektury, na której napisał bardzo wyraźnymi drukowanymi literami: RENE CREVEL. Ponieważ nie potrafiłem jeszcze wtedy posługiwać się swobodnie telefonem, pobiegłem do wicehrabiostwa de Noailles, wielkich przyjaciół Crevela. skąd mogłem już— czyniąc to możliwie z jak największym taktem i w jak najodpowiedniejszej formie — poinformować o wydarzeniu, które miało wstrząsnąć Paryżem i o którym ja pierwszy się dowiedziałem. W salonie lśniącym od pozłacanych brązów, na czarnym i oliwkowym tle obrazów Goi, z ust Marie-Laure wyrwały się pod adresem Crevela wielce natchnione słowa, które rychło zostały zapomniane. Jean-Michel Franek, kolejny przyszły Samobójca, był najbardziej poruszony tą śmiercią i w następnych dniach przechodził serię kryzysów nerwowych. W dniu śmierci Crevela, przechadzając się wieczorem bulwarami, postanowiliśmy obejrzeć film o Frankensteinie. Podobnie jak wszystkie filmy, które oglądam, wiemy metodzie Paranoiczno-krytycznej ukazywał on w najdrobniejszych nekrofilskich Szczegółach obsesję śmierci Crevela. Frankenstein był do niego podobny nawet fizycznie. Cały scenariusz filmu oparto zresztą na idei umierania i odradzania się, co stanowiło jak gdyby pseudonaukowy przedsmak naszej nowo narodzonej feniksologii.

Mechaniczna rzeczywistość wojny miała usunąć w cień wszelkiego rodzaju udręki ideologiczne. Crevel należał do tych pędów paproci, które mogą się rozwijać jedynie nad lśniącymi, niespokojnymi i leonardowskimi wodami, kryjącymi ideologiczną otchłań. Od czasu Crevela nikt już poważnie nie dyskutował ani o materializmie dialektycznym, ani o materializmie mechanistycznym, ani o czymkolwiek. Dali jednak oświadczą wam w tym miejscu, że już w niedalekiej przyszłości, kiedy duch odnajdzie swe najmisterniej cyzelowane zdobniki; słowa „Monarchia”, „mistycyzm”, „morfologia”, „feniksologia nuklearna” na powrót wstrząsną światem.

Crevelu krwawiący, oto wzywam cię! Rene, odródź się! Ty zaś, w sposób hiszpański, odpowiadasz mi po kastyljsku:

— Presente!⁴⁰

Razu pewnego było coś, co nazywało się A.E.A.R.!

Maj

Port Lligat, 1 maja

Zimę spędziłem jak zwykle w Nowym Jorku, odnosząc niebywałe sukcesy w najrozmaitszych dziedzinach. Od miesiąca jesteśmy w Port Lligat i dziś, tak samo jak w roku ubiegłym, postanawiam kontynuować Dziennik. Przystępuję do działania 1 maja daliniańskiego i pracuję jak szaleniec, pobudzony słodkim niepokojem twórczym. Moje wąsy nigdy nie były tak długie. Całe moje ciało ukryte jest pod odzieżą. Wystają tylko wąsy.

2 maja

Uważam, że najrozkoszniejsza wolność, jaką cieszy się człowiek na Ziemi, polega na tym, że może żyć, jeśli tylko tego pragnie, nie potrzebując pracować.

Od wschodu słońca aż do nocy rysowałem sześć anielskich twarzy, matematycznych, eksplodujących, tak wielkiej piękności, że aż mnie to znużyło i wyczerpało. Gdy kładłem się spać, przypomniał mi się Leonardo porównujący śmierć, która następuje po intensywnym życiu, ze snem, co nadchodzi po długim dniu pracy.

3 maja

W czasie pracy snuję nie kończące się dywagacje na temat „feniksologii”. Właśnie odradzałem się po raz trzeci, gdy usłyszałem w radiu informację na temat wynalazku zaprezentowanego na konkursie Lepine’a. Odkryto ponoć środek zmieniający kolor włosów bez użycia farb, które są zazwyczaj dość ryzykownym preparatem. Drobnieutki proszek o ładunku elektrycznym przeciwnym niż potencjał włosów powoduje zmianę ich barwy. W razie potrzeby mógłbym zachować najpiękniejszą czerń swego owłosienia, czekając aż zrealizują się moje „feniksologiczne” utopie. Przekonanie to wprawiło mnie w nieklamana, prawdziwie dziecięcą radość, zwłaszcza tej Wiosny, kiedy czuję się odmłodzony pod każdym względem.

4 maja

W pobliżu Cadaques Gala odkryła Owczarnię. Chciałaby ją kupić, by ją następnie przebudować, i rozmawiała na ten temat Z pasterzem.

5 maja

Na początku mojej książki poświęconej rzemiosłu⁴¹ Widnieją słowa: „Van Gogh uciał sobie ucho; zanim utniesz swoje, przeczytaj tę książkę. Przeczytaj ten dziennik”.

6 maja

Wszystko może być wykonane dobrze albo źle. Podobnie jest z moim malarstwem!

7 maja

Wiedźcie, że nawet najbardziej zadziwiająca wizję, jaka może się zrodzić w waszym umyśle, można oddać na płótnie dzięki rzemieślniczym talentom Leonarda lub Vermeera.

8 maja

Malarzu, nie jesteś mówcą! Maluj więc i milcz!

9 maja

Jeśli nie macie zamiaru studiować anatomii, sztuki rysunku i perspektywy, matematyki i estetyki oraz nauki o barwach, pozwólcie, że powiem wam, iż jest to bardziej objaw lenistwa niż geniuszu.

10 maja

Lekce sobie ważę leniwe arcydzieła!

11 maja

Zacznijcie rysować i malować tak jak dawni mistrzowie, apotem postępujcie zgodnie z własnym przekonaniem: będziecie zawsze cieszyli się szacunkiem.

12 maja

Zazdrość innych malarzy zawsze była termometrem moich sukcesów.

13 maja

Malarze! Bądźcie raczej bogaci niż biedni. I w tym celu idźcie za moimi radami.

14 maja

Uczciwie..., nie malujcie nieuczciwie!

15 maja

Henry Moore to Anglik!

16 maja

Z Brakiem jest podobnie jak z Wolterem i Panem Bogiem: pozdrawiamy się, lecz nie rozmawiamy ze sobą!

17 maja

Matisse: triumf mieszczańskiego gustu i ludzkiej zbieraniny.

18 maja

Piero della Francesca: triumf monarchii absolutnej i niewinności.

19 maja

Breton: jakże wiele nieustępliwości. by spaść z tak małej wysokości!

20 maja

Aragon: jakiż brak moralnej bariery dla tak niepozornej kariery!

21 maja

Eluard: jakże wiele zamieszania, by pozostać tak czystym.

22 maja

Rene Crevel: odrenekrewelrodi się wraz z bonapartystycznym trockizmem.

23 maja

Kandinsky? To rzecz nieunikniona: nigdy nie będzie rosyjskiego malarza. Kandinsky mógłby co najwyżej wyrabiać cudowne, zdobione emalią komórkową rączki do lasek, podobne do tej, jakiej ja używam i którą Gala sprezentowała mi na Boże Narodzenie.

24 maja

Pollock: „Marsylianin” sztuki abstrakcyjnej. To romantyk fetes galantes⁴² i sztucznych ogni, podobnie jak pierwszy sensualny taszysta — Monticelli. Nie jest tak beznadziejny jak Turner. Ponieważ jest jeszcze większą miernotą.

25 maja

Wydobywanie na światło dzienne sztuki afrykańskiej, lapońskiej, bretońskiej, łotewskiej. majorkańskiej lub kreteńskiej —czyż nie jest tylko nowoczesnym ogłupianiem? To nic innego jak chińszczyzna, a Bóg jedyny wie, czy choć trochę lubię sztukę chińską!

26 maja

Już od najmłodszych lat mój spaczony charakter mówi mi, że jestem inny niż ogół śmiertelników. Tu również odnoszę sukcesy.

27 maja

Pierwsi: Gala i Dali.

Drugi: Dali.

Następni z kolei: wszyscy pozostali, oczywiście wliczając w to po raz drugi nas dwoje.

28 maja

29 maja

30 maja

Najgorszy okres dla Meissoniera już minął.

Czerwiec

1 czerwca

Tydzień temu odkryłem, że jeśli chodzi o wszystkie moje dokonania za życia, nie wyłączając kina, jestem spóźniony o mniej więcej dwanaście lat. Mija właśnie jedenaście lat, jak noszę się z zamiarem zrealizowania filmu integralnie, totalitarnie, w stu procentach „hiperdaliniańskiego”. Z moich obliczeń wynika, że prawdopodobnie film ten zostanie nakręcony w roku przyszłym.

Jestem absolutnym przeciwieństwem bohatera bajki La Fontaine’a Wilk i pasterze. Mimo że w swoim życiu, i to już w latach młodzieńczych, dokonałem tylu wyjątkowych rzeczy, obecnie zdarza się, że cokolwiek ogłoszę - jak na przykład liturgiczną corridę, kiedy to dzielni księża będą musieli paradować przed bykiem, którego helikopter uniesie ku niebu po zakończeniu gonitwy — wszyscy oprócz mnie wierzą w ten projekt, który — co jest najbardziej zdumiewające — mimo wszystko doczeka się w końcu nieuchronnej realizacji.

W wieku dwudziestu siedmiu lat, po przyjeździe do Paryża, zrealizowałem wraz z Luisem Bunuelem dwa filmy, które będą miały wartość historyczną: Pies andaluzyjski i Złoty wiek. Od tego czasu Bunuel pracował już samodzielnie jako reżyser następnych filmów, wyświadczając mi tym samym nieocenioną przysługę, gdyż publiczność mogła ocenić, kto reprezentuje genialność, a kto prymitywizm w Psie andaluzyjskim oraz Złotym wieku.

Jeśli przystąpię do realizacji filmu, muszę mieć pewność, że od początku do końca będzie on jednym pasmem wspaniałości gdyż nie warto zadawać sobie trudu, by Chodzić na spektakle, które nie reprezentują nic nadzwyczajnego Im liczniejsza będzie moja Widownia, tym większe dochody zapewni film jego twórcy, który w pełni zasłużył sobie na przydomek Avida Dollars. Aby jednak film wydał się widzom niezwykle, muszą oni przede wszystkim uwierzyć w te wszystkie cuda, które ukażą się na ekranie. Jedynym środkiem Prowadzącym do tego celu wydaje się porzucenie tradycyjnej techniki kręcenia, zerwanie z tym idiotycznym rytmem filmu, z ową konwencjonalną i ogłupiającą retoryką ruchu kamery. Jak można wierzyć choćby przez sekundę w najbanalniejszy nawet melodramat jeżeli kamera śledzi mordercę w każdym miejscu, włącznie z toaletą, dokąd się udaje, by obmyć krew plamiącą mu ręce? Toteż Salvador Dali, tuż przed rozpoczęciem pracy nad filmem, zatroszczył się o to, aby kamera została unieruchomiona przymocowana do podłoża ćwiekami jak Jezus na krzyżu. Jeśli akcja umyka z kadru — trudno! Zaniepokojona, zirytowana, zatrwożona dysząca, tupiąca, podekscytowana, a może raczej stęskniona publiczność oczekiwać będzie chwili, gdy akcja na powrót wejdzie w pole widzenia kamery. Chyba że przepiękne, nie mające najmniejszego związku z akcją obrazy ukażą się na ekranie, by rozbawić widzów, przesuając się przed nieruchomym, ujarzmionym, hiperstatycznym obiektywem kamery Dalego, mogącej wreszcie pełnić swą właściwą funkcję, podporządkowaną bez reszty mojej cudownej wyobraźni.

Mój następny film będzie absolutnym przeciwieństwem awangardowego filmu eksperymentalnego zwłaszcza zaś przeciwieństwem tego, co uznawane jest dzisiaj za „twórcze”: nie oznacza to nic innego, jak służalcze podporządkowanie się wszystkim komunalom żalosnej sztuki współczesnej. Przedstawię oto prawdziwą historię kobiety paranoika, zakochanej w taczce upodabniającej się stopniowo do osoby kochanej, której trup posłużył za środek transportu. Taczka ulegnie w końcu Reinkarnacji i stanie się ciałem. Dlatego też film ten nosić będzie tytuł: Mięsna taczka. Wszyscy widzowie, zarówno ci przeciętni, jak i wymagający, będą musieli uczestniczyć w tym bałwochwalczym delirium, albowiem chodzi tu o jak najprawdziwszy przypadek, jakiego żaden film dokumentalny nie zdołałby wierniej przedstawić. Pomimo skrajnie realistycznego charakteru moje dzieło zawierać będzie sceny tak cudowne, że już teraz nie mogę się powstrzymać, by kilku z nich nie opowiedzieć swoim czytelnikom, jedynie po to, ażeby pociekła im ślinka. Sekwencja bardzo zwolnionych zdjęć następujących jedno po drugim zgodnie z zasadą absolutnej archanielskiej harmonii ukaże im pięć białych łabędzi eksplodujących kolejno. Ptaki będą nafaszerowane najprawdziwszymi granatami wypełnionymi takim materiałem wybuchowym, aby można było dokładnie obserwować wylatujące w powietrze wnętrzności ptaków oraz rozpryskujące się wachlarzowato odłamki granatów. Odłamki napotkają chmurę piór, tak jak widzi się to w snach — lub raczej marzeniach — podobnie jak zderzają się cząsteczki światła, dzięki czemu w moim doświadczeniu odłamki będą wyglądały równie realistycznie jak na obrazach Mantegni, pióra zaś cechować będzie owa zwiewność, jaka przyniosła rozgłos Eugene’owi Carriere⁴³.

W filmie tym będzie można również ujrzeć scenę przedstawiającą fontannę Trevi w Rzymie. Okna stojących przy placu domów otworzą się na oścież i do wody spadnie kolejno sześć nosorożców. W końcowej fazie lotu każdego z nich otworzy się czarny parasol wynurzający się z dna fontanny.

Inny fragment filmu ukaże plac de la Concorde o świcie.

Przemierzać go będzie powoli, we wszystkich kierunkach, dwa tysiące księży na rowerach, którzy unosząc będą transparent z wypłowiałą, lecz wyraźną podobizną Georgija Malenkowa.

Przy okazji zaprezentuję jeszcze stu hiszpańskich Cyganów zabijających i ćwiartujących słonia na jednej z ulic Madrytu. Pozostawią tylko sam szkielet, podobnie jak w jakiejś afrykańskiej scenie znanej mi z lektury. Kiedy ukażą się żebra zwierzęcia, dwóch spośród Cyganów, którzy mimo że owładnięci dzikim szałem, nie przestają ani na moment śpiewać w stylu flamenco, dostanie się do szkieletu, aby przywłaszczyć sobie najlepsze kąski — serce, nerki itd. Zaczną o nie walczyć posługując się nożami, gdy tymczasem pozostali na zewnątrz w dalszym ciągu będą ćwiartować słonia, przy okazji raniąc walczących, którzy wypełniają przerażającą i „ostrą” radością wnętrze zwierzęcia zamienione w wielką, krwawą klatkę.

Nie sposób też nie wspomnieć o scenie wokalne, kiedy to Nietzsche, Freud, Ludwik II Bawarski i Karol Marks z niezrównaną wirtuozerią wyśpiewywać będą kolejno swoje doktryny przy akompaniamencie muzyki Bizeta. Tłem dla tej sceny będzie jezioro de

Vilabertran, pośrodku którego trzęsąca się z zimna — od powierzchni wody aż do pasa — starowina, odziana w najprawdziwszy strój toreadora, trzymać będzie omlet z ziołami na wygolonej głowie. Za każdym razem jak omlet zsunie się do wody, Portugalczyk nałoży jej kolejny.

Pod koniec filmu ukaże się klosz latarni ulicznej, zwężający się i grubiejący na przemian, pokrywany się ozdobami, więdnący i odżywiający, rozpływający się, ponownie twardniejący itd... Już prawie rok nie daje mi spokoju ta synteza historii politycznej człowieka materialistycznego, którego symbolizują zmiany morfologiczne olbrzymiej dyni, jaką da się z łatwością rozpoznać, obserwując klosz latarni ulicznej. Ta jakże drobiazgowa i czasochłonna analiza trwa w moim filmie dokładnie jedną minutę i odpowiada wizji oślepiętego słońcem człowieka, zamykającego oczy i przyciskającego je dłońmi aż do bólu.

To wszystko może się udać tylko mnie i jest to niepowtarzalne, ponieważ tylko mnie i Gali znany jest sekret, dzięki któremu mogę realizować ten film bez konieczności cięć lub miksowania. Wystarczy to, aby przed kinami, w których wyświetlane będzie moje dzieło, pojawiły się olbrzymie kolejki. Albowiem, wbrew złudnym nadziejom naiwnych, Mięsna taczka okaże się nie tylko genialnym, ale również najbardziej komercyjnym filmem naszych czasów i wszyscy stwierdzą zgodnie, że zachwyciło ich tylko jedno: jego cudowność!

Sierpień

1 sierpnia

Posadziłem brzydotę na kolanach i prawie od razu się zmęczyłem.

2 sierpnia

Wszyscy jesteśmy zlaknieni i spragnieni konkretnych obrazów. Pomocna w tym okaże się sztuka abstrakcyjna, która w pełni przywróci prestiż sztuce figuratywnej.

3 sierpnia

Dumam nad metodą, która by leczyła wszystkie choroby, a w każdym razie psychiczne.

6 sierpnia

Lato prześlizguje się cieniutką wstęgą między moimi zaciśniętymi szczękami, jakby chwycił mnie skurcz tężcowy. Mamy już 6 sierpnia. Ponieważ boję się rozpocząć coś nowego (do tego stopnia doskonały jest wizerunek mojego Corpusa Hypercubica⁴⁴), przychodzi mi do głowy bardzo typowy dla Dalego pomysł. Moje obawy wynikają z tego, że brakuje tu jąder. Natomiast rzecz, która jawi się w nadmiarze,

to zaciśnięte zęby. Dlatego też po południu pracowałem nad dwiema jakże różnymi, lecz mającymi ze sobą związek, rzeczami: pierwszą z nich były jądra z torsu Fidiasza, drugą zaś— pępek z tego samego torsu. Rezultat: już się prawie nie boję! Brawo, brawo Dali!

7 sierpnia

Przypływa „Gaviota”, jacht Arturo Lopeza, z Alexisem i jego przyjaciółmi na pokładzie. Wstałem późno, po czym długo kąpałem się w morzu, które drgało jak gaj oliwny. Kiedy zamknąłem oczy, wydawało mi się, że unoszę się na powierzchni płynu z liści oliwkowych. Ostatniej nocy, ponieważ oczekiwałem na jacht, śniło mi się morze pokryte najprzeróżniejszymi akwarelowymi plamami. Dzięki radarowi mojej wyobraźni układałem je tak długo, aż powstał przepiękny obraz „na falach radaru”. Delektowałem się do głębi każdą chwilą tego dnia, który przynosi następującą reminiscencję: jestem tą samą osobą, co ów młodzieniec, który kiedyś był tak wstydlivy, że nie śmiał przejść przez ulicę lub taras swych rodziców. Jakże się rumieniłem, spostrzegając damy lub panów, których uważałem za nad-zwyczaj eleganckich, do tego stopnia, że często popadałem w stan oszołomienia i byłem bliski omdlenia. Dziś, jako superprzebierańcy, pozujemy do zdjęć. Arturo paraduje w stroju perskim. Na szyi ma grubą, diamentową kolię z emblematem swego jachtu. Ja — jako ultrarewizjonista — paraduję w tureckich szarawarach koloru turkusowego oraz arcybiskupiej mitrze. Tureckie szarawary otrzymuję w prezencie, jak również fotel będący kopią sań w stylu Ludwika XIV, z wykonanym z żółwiego pancerza oparciem zwieńczonym złotym półksiężycem. Wszyto ma związek z orientalną atmosferą, którą przepojona każda z tysiąca i jednej nocy biologicznej obecności Gali w naszym domu: są w nim południowe kwiaty i meble z Olot⁴⁵, i nasze podwójne łóżce, i unikatowy samowar. Ekspedycja Katalończyków na Wschód święci triumf w tym domu, gdzie śnieżnobiały król, imieniem Arturo Lopez, przybywa uświetnić nasz wspólny dzień. Obiad, który spożywaliśmy w samym centrum portu (punkt został bardzo dokładnie określony przez mój radar), uszlachetniały najlepsze gatunki szampana; wokół iskrzyły się diamenty i emaliowane złoto. Arturo narysował przepiękny pierścień barona de Rede. Przypomniałem sobie, że przedmiot ten już widziałem w którymś ze swoich megalomaniakalnych snów.

Po wyjeździe Arturo skały Cadaques przez pół godziny oblane były światłem Vermeera. Po tym wszystkim doszedłem do wniosku, że Katalończycy będą musieli powrócić na Wschód, dlatego też zaproponowałem wyprawę do Rosji na pokładzie „Gavioty”. Dzięki ostatnim wydarzeniom politycznym osiemdziesiąt dziewcząt domagać się będzie, bym opuścił jacht. Dani się prosić, lecz one okażą się nieustępliwe. Wreszcie zejść na ląd przy akompaniamencie potężnej eksplozji braw.

8 sierpnia

Przeżuwam wczorajszy obiad i przygotowuję się do dziewiczej pracy, która czeka mnie pojutrze, w poniedziałek. Nigdy jeszcze nie malowałem z tak wielką przyjemnością. Jakby było to pierwszy raz w życiu. Udamy się do Junquet, aby zażyć kąpieli. Coraz chętniej wchodzę do wody. To dowód, że moja technika malarska jest na właściwej drodze, ponieważ potrafię nawet pływać, a dla filozofa pływanie równoznaczne jest z za-

biciem własnego syna. Toteż jak tylko zaczynam pływać, identyfikuję się z Wilhelmem Tellem. Jakiż piękny byłby widok stu pływających filozofów, usiłujących dostosować ruchy żabki do melodii z Wilhelma Tella Rossiniego!

Niedzielną drogą do doskonałości. Wszystko musi być LEPSZE! Tego lata dwukrotnie zobaczymy się z państwem Lopez. Mój Chrystus jest najpiękniejszy. Już nie czuję się tak zmęczony. Moje wąsy są boskie. Gala i ja kochamy się coraz bardziej. Wszystko musi być lepsze! Z każdym kwadrantem umysł mój staje się coraz bardziej przenikliwy i czuję coraz więcej doskonałości między zaciśniętymi zębami! Będę Dalim! Będę Dalim! Od dziś sny moje muszą obfitować w coraz to piękniejsze i błogie wizje, które za dnia ożywiać będą moje myśli.

Vivat ja i Gala!

Czy przeznaczeniem moim jest realizowanie wspaniałości?

Tak, tak, tak, tak i jeszcze raz tak!

10 sierpnia

Spoglądam na wykonane z żółtawego pancerza oparcie fotela, który otrzymaliśmy w prezencie od Arturo Lopeza. Wieńczący go mały złoty sierp księżyca może oznaczać tylko jedno: za rok będziemy mogli pojechać do Rosji, gdyż w przeciwnym razie z jakiej racji ten fotel-sanie z półksiężycem miałby znaleźć się w naszej sypialni?

Malenkow ma wygląd, konsystencję oraz właściwości gumki do zmywania marki Elephant. Kontury komunizmu się rozmyślają. Galatka przygotowuje cadillaca przed podróżą do Rosji; „Gaviota” przygotowuje się także. Stalin, całkowicie wymazany... Kimże on jest?

I gdzie jest jego mumia?

11 sierpnia

Właśnie jałem przygotowywać się do pracy w przeświadczeniu, iż powinienem wykorzystywać każdą wolną chwilę, jako że malowanie obrazu przebiegało z opóźnieniem, gdy nagle Gala mówi mi, że byłaby bardzo zawiedziona, gdybym przypadkiem nie udał się z nią na wycieczkę na przylądek Creus. To najspokojniejszy, najpiękniejszy dzień lata i Gala pragnie, bym coś z niego miał. Najpierw mówię, że to niemożliwe, ale później — z tego właśnie powodu, a także by jej sprawić radość — przystaję na to. Kiedy najbardziej nam spieszą, wtedy właśnie pojawia się pragnienie słodkiej beczynności! Potem nabiorę jeszcze większej chęci do malowania. Już czuję, jak po tej nieprzewidzianej przerwie praca nad obrazem wchodzi niepostrzeżenie w końcową fazę.

Spędzamy popołudnie godne bogów. Wszystkie te skały są rodzącymi się torsami Fidiasza. Najpiękniejszy zakątek nad Morzem Śródziemnym znajduje się dokładnie między przylądkiem Creus a Orłem z Tudeli. Nieziemskie piękno Morza Śródziemnego kojarzy się z pięknem śmierci. Paranoiczne skały Cullero i Francalos są najbardziej martwymi skałami na świecie. Żadna z ich form nigdy nie była ani żywa, ani obecna.

Po powrocie z tej filozoficznej wycieczki mamy wrażenie, jakbyśmy przeżyli „martwe” popołudnie.

Ów historyczny dzień nazwę powrotem z krainy miękkich, olbrzymich posągów, które są twarde.

12 sierpnia

Wieczorem wielka gala balonowa. Jeden z balonów przypomina sylwetką katalońskiego wieśniaka, Staje niemal w ogniu, po czym ginie w przestworzach. Kiedy jest już wielkości szpilki, jedni mówią: „Widzę go jeszcze!”, inni zaś: „Zniknął!”. Komuś wydaje się, że znów go dostrzega! Kojarzy mi się to z dialektyką Hegla, która jest rozpaczliwie smutna, gdyż wszystko w niej ginie w nieskończoności. Przestrzeń skończona z każdym dniem będzie nam coraz bardziej potrzebna.

Widzimy mknący po niebie meteoryt o barwie zieleni Veronesego, największy jaki kiedykolwiek obserwowałem, i porównuję go z Galą, która była dla mnie gwiazdą spadającą, najłatwiej rozpoznawalną i najdoskonalszą!

13 sierpnia

Philips jest młodym malarzem kanadyjskim, fanatykiem Dalego. Sam anioł mi go zesłał. Urządziłem mu barak na pracownię. Z wielką sumiennością rysuje wszystko to, czego potrzebuję. Dzięki temu z mniejszym poczuciem winy mogę bez końca dopracowywać szczegóły, które interesują mnie najbardziej: Od szóstej rano Philips tkwi już u podnóża domu, rysując łódź Gali w taki sposób, jak go o to prosiłem. Port Lligat jest żółty i wysuszony. Najbardziej kocham Galę wtedy, gdy czuję, jak wzbierają we mnie atawistyczne i arabskie pragnienia.

14 sierpnia

Dzięki temu, że boję się zacząć twarz Gali, nauczę się wreszcie malować! Należy malować szybko, czekać aż kontrastujące tony upodobnią się w rombów o wyrazistych konturach, i kłaść farbę na jasne partie w celu uzyskania półtonów.

Muszę zdobyć się na odwagę malowania niezłomnego oblicza Gali.

15 sierpnia

Upajam się owym popołudniem w dniu Wniebowzięcia. Słysząc grzmoty i pada deszcz. Rozpaczam supermalowanie lewego uda. Pracę muszę przerwać z powodu niedostatecznego oświetlenia. Myślałem, jak niezbędną rzeczą wydaje się sformułowanie dogmatów dających niezachwianą pewność istnienia życia wiecznego. Intuicja mi mówi, że przekonywające dowody w tej materii odnajdę pewnego dnia w dziele Raimundusa Lullusa. Na razie jednak moja technika malarska jest tak zaawansowana, że nawet w myślach nie mogę sobie pozwolić na to, bym choćby dla kawału rozstał się z tym światem. Nawet w bardzo zaawansowanym wieku.

Siwe włosy, zniknijcie! Siwe włosy, zniknijcie!

Wynalezione przez Dalego słynne jaja sadzone bez talerza pozwalają wysnuć wniosek, że jestem obecnie „Antyfaustem bez talerza”.

16 sierpnia

Dzisiejszej niedzieli odkryłem orzechowo-niebieski kolor oczu Gali, kolor, który wraz z barwą nadmorskich drzew oliwkowych roztkliwia mnie przez cały dzień. Bez przerwy pragnę kontemplować te oczy, które podobnie jak w wypadku Gradivy, Galariny, Ledy, Gali Placidy stanowią prześwietny element wielkiej na metr kwadratowy głowy mojego przyszłego obrazu zatytułowanego Septembrenel. Będzie to najweselszy obraz na świecie. Pragnę osiągnąć bezprzykładne i bezsporne mistrzostwo w malowaniu obrazów, które dzięki obecnym w nich elementom ironicznym momentalnie wywoływać będą potężne salwy śmiechu.

Philips maluje mi obraz z drobiazgową dokładnością. Pozostaje mi tylko wszystko zniszczyć, by go ukończyć.

Czuję w sobie heroiczną moc, którą pragnę spotęgować tak bardzo, że w końcu niczego już nie będę się obawiał!

17 sierpnia

Przez zbytnią ostrożność kładę tak mało farby na prawe udo, że chcąc wzmocnić kolor brudzę obraz. Z zewnątrz, niczym niebiańska muzyka, dochodzi do moich uszu pełen podziwu szmer publiczności, która zgromadziła się wokół domu. Sekretom najbardziej resekretnym jest to, że największy malarz świata, to znaczy ja, nie wie jeszcze, jak należy malować. Tak czy inaczej niebawem już będę wiedział, a wtedy z miejsca namaluję obraz, który przewyższy dzieła starożytnych mistrzów. Jakże ważne są dla mnie jądra Fidiasza⁴⁷, aby dodać sobie otuchy...

Ach, gdybym się nie bał malować! Jak bardzo chciałbym, aby każde pociągnięcie pędzla osiągało absolut, ukazując idealny obraz jąder malarstwa — jąder, które do mnie nie należą.

Osły życzyłyby sobie, abym sam dostosował się do rad, jakich udzielam innym. To niemożliwe, ponieważ ja jestem całkowicie odmienny...

18 sierpnia

Jak tylko wychodzę,

Skandal dępcze mi po piętach.

„Dón Juan”

Triso de Molina

Podobnie jak w Don Juanie, gdziekolwiek się pojawię, wywołuję skandal. I tak w trakcie mojej ostatniej włoskiej eskapady, gdy pojawiłem się w Mediolanie, pewne osoby całkowicie bezinteresownie gotowały się do wytoczenia mi procesu, a to z powodu słów „mistyka nuklearna”, których autorstwo przypisywały sobie.

Jakaś włoska księżna przybyła wraz z całą swoją świtą na pokład wielkiego jachtu, aby złożyć mi wizytę. Coraz częściej nazywany jestem Mistrzem, ale genialne jest to, że moje mistrzostwo jest wyłącznie natury umysłowej.

Cicho, sza! Mam nadzieję, że jutro wieczorem, za sprawą jąder Fidiasza, zdołam malować w sposób perfekcyjny, zwłaszcza jeśli chodzi o lewe ramię.

19 sierpnia

Dzięki jądom Fidiasza, malując lewe udo, uzyskuję boski efekt. Zbliżam się do doskonałości, co oznacza, że jest ona niezmiernie daleko, jak wszystko to, co jest już bliskie. Ale to już jest blisko, a przedtem było daleko.

Dziś przybyli na spotkanie ze mną młodzi naukowcy, specjaliści od fizyki atomowej. Wyjeżdżali stąd oszołomieni, obiecując przysłać mi sześcienne kryształy soli sfotografowanej w przestrzeni. Pragnę, aby sól — symbol tego co niepalne — rozpracowywała, podobnie jak ja oraz Juan de Herrera⁴⁸, problem Corpusa Hypercubicusa.

20 sierpnia

Powtarzam raz jeszcze—bo gdybym ja tego nie powtarzał, to nie widzę nikogo, kto by się tego podjął bezinteresownie — powtarzam, że już w latach młodzieńczych wpadłem w bardzo brzydki nałóg mówienia sobie, że wszystko mi wolno, i to jedynie z tej racji, że nazywam się Salvador Dali, Odtąd już przez całe życie zachowywałem się podobnie, co miało dla mnie pozytywne konsekwencje.

Analizując obraz zauważam usterkę na lewym udzie. Usterka ta jest rezultatem mojej nieograniczonej wiary we właściwości łączenia się warstw farby. Wyrażając się dokładniej: wystarczy, abym zagęścił warstwę farby i rozprowadził ją aż do idealnego zatarcia konturów.

21 sierpnia

Bardzo ważne: farba może się zlewać na brzegach aż do zaniku, Należy rozpoczynać od środka i zacierać krawędzie. Farba nie wymieszana i kolorystycznie nie dopracowana brudzi obraz.

22 sierpnia

Dzisiejszy sekret polega na tym, by nie starać się doganiać lata, które wymyka się chyłkiem moim zaciśniętym zębom, Na próżno zaciskam je tak bardzo, że nie pozostawiam czasowi nawet najmniejszej swobody — mimo wszystko niech mu się zda, że mógłby mi się wymknąć. Przez cały dzień czas przejawia żywe zainteresowanie tą zabawą, której jasną wizję miał mroczny Heraklit, oświadczając: „Czas to dziecko”. Dzisiaj wszystko to się sprawdza dzięki stwierdzeniu, że trudno wyobrazić sobie czas bez przestrzeni.

Jemy winogrona. Zawsze sądziłem, że gron umieszczone tuż przy uchu winno być źródłem swoistej muzyki. Pod koniec posiłku mam zwyczaj wtykać jedno winogrono do lewego ucha. Świeżość, jaką odczuwam, wprawia mnie w zachwyt i rozważam już, jak wykorzystać tajemnicę owego zachwyty.

23 sierpnia

Wyjeżdżamy do Barcelony, dokąd Serge Lifar, Bon i baron Rotschild przywożą

makiętę dekoracji do mojego baletu. Czuje, że muzyka do niego będzie bardzo kiepska. Historia wymyślona przez Rotschilda jest nic niewarta. Tak więc nikt nie przeszkodzi mi w tworzeniu wspaniałości Dalego; Bon i Lifar w niczym nie naruszają mojej niezależności⁴⁹.

Podczas drogi mogę delectować się wzrastającą nieprzerwanie popularnością Dalego.

24 sierpnia

To jakby miodowy miesiąc z Gałą. Nasze stosunki są bardziej idylliczne niż kiedykolwiek. Czuję, jak wzbiera we mnie owa odwaga, której mi ciągle brakuje, by z mego heroicznego życia stworzyć absolutne arcydzieło. Osiągnę to, jeśli ani na chwilę nie przestanę być bohaterem.

W Barcelonie spotykam się z Lifarem, Z miejsca też wykonuję projekt dekoracji w postaci pomp powietrznych. Tłocząc powietrze ukazał one stół z kandelabrem. Na stole umieszczę prawdziwy francuski chleb osiemdziesięciometrowej długości.

25 sierpnia

Powrót do Po Lligat. Podczas gdy przygotowuję paletę, co sprawia mi wielką satysfakcję, chwytają mnie kurcze żołądka. Trwają one aż do wieczora, przez co nie mogę usnąć. Czuję, że zawdzięczam to Opatrzności. Opóźnienie, którego padłem ofiarą, zmusi mnie do jeszcze intensywniejszej pracy nad ukończeniem Corpusa Hypercubicusa.

26 sierpnia

Deszczowy dzionek. Kurcze mijają. Śpię przez całe popołudnie oraz planuję pracę na dzień jutrzejszy. Wszystkie te opóźnienia są bezsprzecznie czymś wspaniałym. Dom jest pełen kwiatów tuberozy i cudownych zapachów. Teraz jestem w łóżku. Gatito bonito⁵⁰ mruczy, wydając dokładnie taki sam odgłos, jak mój brzuch nękany zaburzeniami jelitowymi. Oba te łagodne i zsynchronizowane dźwięki wprawiają mnie w stan najgłębszego upojenia. Czuję ślinę przyklejoną do kąćków ust; niebawem zmorzy mnie sen.

Wieje tramontana, z czego można wnioskować, że jutro cieszyć się będę rajskim światłem poranka, by ponownie zasiąść do supermalowania Corpusa Hypercubicusa.

27 sierpnia

Brawo!

Ta choroba okazała się darem Pana Boga! Nie byłem jeszcze gotowy. Nie bytem godzien przystąpić do malowania brzucha i piersi Corpusa Hypercubicusa.

Ćwiczę malowanie prawego uda. Mój żołądek musi wyzdrowieć, a język winien być czystyuteńki. Jutro pracować będę nad jądrami z torsu Fidiasza, oczekując oczyszczenia. Poza tym muszę nauczyć się bezbłędnie rozprowadzać warstwę farby od środka ku brzegom.

28 sierpnia

Dziękuję Ci, Boże, że zesłałeś mi te zaburzenia jelitowe. Brakowało mi ich, by odzyskać równowagę. Wrzesień zacznie niebawem wrześniać: ludzie przybierają wtedy na wadze, podczas gdy w lipcu — jak notują to statystyki — popełniają samobójstwa i stają nienormalni. Posiadam wagę przywiezioną z Barcelony. Zacznę się ważyć.

Gala i Juan przyozdabiają gatito tygrysim kapeluszem z żółtym piórem. Przyzwyczajamy go do spania w geodezyjnej kołysce, którą przywieźliśmy z Barcelony. Zmierzch i wschód księżyca harmonizują z symfonicznymi pomnikami kota oraz mojego brzucha. Dzięki tej trzewiowej i księżycowej harmonii zrozumiałem, że mój Corpus Hypercubicus musi przetrwać po wieczne czasy. Zostanie on ukształtowany w nieniszczalnej formie odlewniczej mojego brzucha i mózgu.

29 sierpnia

Wielkie nieba! Gorączka wzrasta i po południu muszę położyć się do łóżka. W brzuchu już mi nie burczy, a kot przestał mrużyć. „Wyobrażam sobie” tę niewysoką gorączkę, jak gdyby była opalizująca, tęczowa. Czy będzie ona tęczą mojej choroby? Gołębie⁵¹ które ostatnio zachowywały się spokojnie, gruchają wyręczając mój chory i hałaśliwy brzuch, podobnie jak ma zostać złożona zamiast Izaaka w ofierze.

Andres Sagara, który wraz z Jonesem i Foix przybył się ze mną zobaczyć, dostał ode mnie kwiat jaśminu. Byliśmy na niezmiernie długim przyjęciu, wydanym na cześć poety i humanisty, Carlosa Ribasa. Grano sardany. Carlos Ribas całe życie poświęcił studiom nad Grecją, nie będąc w stanie pojąć, co reprezentowała w czasach starożytnych, podobnie zresztą jak wszyscy humaniści naszych czasów⁵²

30 sierpnia

Modłę się do Boga: choroba minęła. Czuje się oczyszczony. Pojutrze będę mógł znów malować Corputa Hypercubicusa.

Przyszła mi do głowy myśl godna Dalego: jedyną rzeczą, jakiej świat nigdy nie będzie miał w nadmiarze, jest przesada. Oto naukę odziedziczona po starożytnej Grecji; nauka, którą jeśli się nie mylę, objawił po raz pierwszy Fryderyk Nietzsche. Jeżeli bowiem jest prawdą, że w Grecji duch apoliński najpełniej ucieleśniał świat harmonii, jest jeszcze większą prawdą, że duch dionizyjski przekroczył wszelkie granice umiaru i powściągliwości. Wystarczy tu wspomnieć ich tragiczną mitologię. Tak więc cenię Gaudiego, Raimundusa Lullusa i Juana de Herrere, ponieważ spośród wszystkich znanych mi osób cechuje ich najbardziej krańcowa przesada.

31 sierpnia

Dziś po raz pierwszy w Życiu Salvadora Dali ogarnęła owa anielska euforia: przybrał na wadze.

Rankiem obudziło mnie trzepotanie skrzydeł gołębia, który przez kominek dostał się do sypialni. Nie jest to jedynie dziełem przypadku. To znak, że burczenie brzucha rzeczywiście już się objawiło na zewnątrz. Ptasię trele potwierdzają mój intuicyjny sąd: zaczynam wsłuchiwać się w siebie od zewnątrz, zamiast, tak jak zawsze, wsłuchiwać się

w siebie od wewnątrz.

Nadeszła chwila, kiedy Gala i ja zbudujemy sobie „świat zewnętrzny”. U aniołów wszystko jest „światem zewnętrznym”. Można je pojąć wyłącznie dzięki ich „światom zewnętrznym”. Dziś rozpoczyna swój żywot dermoszkielet duszy Dalego.

Przyszła na kolację Daisy Fellowes W towarzystwie milorda odzianego w krótkie pantalonki o przepięknej czerwieni, zakupione w Arcachon⁵³.

Wrzesień

1 września

Wrzesień będzie wrześniował uśmiechy i korpuskuły Gali. Corpus Hypercubicus będzie październikował. Przede wszystkim jednak Wrzesień musi hipergalateować.

Maluję górne partie piersi Chrystusa. Podczas tej pracy jestem prawie na czczo. Chciwie połykani odrobinę ryżu. Na przyszłe lato sprawię sobie superbiały strój do malowania. Jestem coraz czystszy. W końcu akceptować będę jedynie boski, prawie niewyczuwalny zapach własnych stóp zmieszany z aromatem jaśminu tkwiącego za uchem.

2 września

Jestem coraz lepszy. Opracowuję nowe rozwiązania techniczne.

Dziś po południu nie raczyłem przyjąć pewnego jegomościa. Wychodząc z domu, aby rozkoszować się zmierzchem nad Port Lligat, natykam się na tego pana, który cały czas czekał, mając mimo wszystko nadzieję, że się ze mną zobaczy. Kiedy w trakcie rozmowy dowiaduje się, że z zawodu jest wielorybnikiem, natychmiast żądam, aby przysłał mi kilka kręgów tego ssaka.

Przyrzekł mi to z całą skwapliwością.

Moja umiejętność korzystania ze wszystkiego jest nieograniczona. W niecałą godzinę naliczyłem 62 różne zastosowania wielorybich kręgów: balet, film, obraz, filozofia, dekoracje terapeutyczne, sztuki magiczne, metoda halucynacyjna, psychologiczna i lilipucia z racji jej tak zwanych „urojeń rozmiarowych”, prawo morfologiczne, proporcje przekraczające granicę ludzkiego wymiaru, nowy sposób siusiania, szczotka. A wszystko to w formie wielorybiego kręgu. Ponadto usiłuję przywołać węchowe wspomnienie wieloryba w stanie rozkładu, którego oglądałem w Puerto de Llansa⁵⁴, kiedy byłem dzieckiem, i w chwili, gdy przypominam sobie ten zapach, w głębi mych zamkniętych oczu, tuż przed zapadnięciem w sen, dostrzegam jakiś kształt, który coraz wyraźniej kojarzy się z Abrahamem poświęcającym swego syna w ofierze. Kształt ten jest barwy wielorybioszarej, jak gdyby został oddzielony bezpośrednio z ciała tego ssaka.

Zasypiam przy akompaniamencie arii z Pięknej Heleny. Piękna Helena i wieloryb mieszają się fonetycznie w mojej podświadomości⁵⁵.

3 września

Hrabia de G., typowy bohater Dalego, zwykł mawiać: bale organizuje się dla tych, których się nie zaprasza. Mimo że otrzymałem szereg telegramów, których nadawcy błagali mnie, abym przybył na bal do markiza de Cuevas, nie ruszam się z Port Lligat. Prasa jednak, jak zwykle czujna i skrupulatna, odnotowuje moją obecność w Biarritz. Najbardziej udane bale to te, o których się najwięcej mówi, mimo że się na nich nie było. Jajo sadzone bez talerza na balu bez Dalego — to Dali.

Wieczorem Gala wpada w zachwyt na widok moich obrazów. Kładę się do łóżka szczęśliwy. Szczęśliwe obrazy naszego chimerycznego, prawdziwego życia. Drogi Wrzesień, piękne obrazy zdobią nas. Dziękuję ci, Galo! To dzięki tobie jestem malarzem. Bez ciebie nie uwierzyłbym we własne możliwości! Podaj mi rękę! Uwierz mi, Kocham cię coraz bardziej...

4 września

W trakcie rozmowy z rybakiem, który zdradza mi swój wiek, nagle wydaje mi się, że mam pięćdziesiąt cztery lata⁵⁶. Nie daje mi to spokoju przez cały czas sjeisty. Później jednak zauważam, że być może liczę na odwrót! Co więcej — przypominam sobie, że po opublikowaniu Sekretnego życia ojciec powiedział mi, że dodałem sobie jeden rok. Możliwe więc, iż w rzeczywistości mam dopiero czterdzieści osiem lat! Te odzyskane lata — pięćdziesiąt trzy, pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt, czterdzieści dziewięć — przynoszą mi wielką ulgę; od razu też maluję lepiej, niż się tego spodziewałem, pierś Corpusa Hypercubicusa. Obecnie zastosuję nową technikę: zadowolenie ze wszystkiego, co robię, i uszczęśliwianie Gali, aby wszystko układało się dla nas jak najlepiej. Będziemy pracować intensywniej niż kiedykolwiek!

Wszystkie kłopoty i wy, siwe włosy, zniknijcie!

Jestem szaloną maszyną, i bez talerza, i bez jajka!

5 września

W przyszłym roku będę malarzem najdoskonalszym i najszybszym na świecie.

Przez moment sądziłem, że można malować bardzo rzadką farbą półkryjącą, ale to nieprawda. Bursztyń pochłania rzadką farbę i wszystko staje się żółte.

6 września

Każdego ranka po przebudzeniu wydaje mi się, że odczuwam coś na kształt boskiej rozkoszy, którą dzisiaj uświadamiam sobie w pełni po raz pierwszy: oto jestem Salvadorem Dali; i nachodzą mnie upojne myśli, czegoż to niezwykłego dokona znów dziś ten Salvador Dali. Z każdym dniem coraz trudniej przychodzi mi pojąć, jak ludzie mogą żyć, nie będąc Galą czy też Salvadorem Dali.

7 września

Niedziela hipersferyczna. Gala, ja oraz Arturo, Joan i Philips udajemy się do Portolo. Docieramy na wyspę Blanca⁵⁷. To najpiękniejszy dzień w roku.

Galatea, która jest galanimfą najprawdziwszej i wszechpotężnej geologii morskiej, wolno, lecz nieubłaganie, w rafałowsko-nuklearnym porywie przybiera kształt mojego

przyszłego boskiego obrazu.

Wieczorem zjawia się u mnie fotograf z Paryża. Mówi mi, że Joan Miró sprawił wszystkim zawód. Pozostawia na płótnie zbyt wiele śladów pędzla, nadużywa też szpachli do nakładania farb. Abstrakcyjniści liczą się na pęczki. Picasso bardzo się postarzał przez te kilka miesięcy.

Pogoda jest coraz piękniejsza. Przed pójściem spać, Gala spożywa hipermigdałowego śledzia! Ukoronowaniem tej niedzieli będzie ogromne jajo geologiczne z cukru, nieodłączny atrybut Rafaela, Galatei i Dalego, podczas gdy w Paryżu artystyczne gówny suregzystencjalizmu osiąga apogeum upadku.

8 września

Maluję twarz Gali. Nareszcie rezultat całkowicie mnie satysfakcjonuje.

9 września

Pracowałem nad żółtą draperią z ogromną determinacją.

Wieczorem zjawili się na kolacji Margarita Alberto i Dionisio z żoną. Gala miała na sobie koralowy naszyjnik. Margarita zdała nam relację z balu u markiza de Cuevas. Opowiedziała o zajściu między księciem d'Irlonda a królem Jugosławii. Następnie rozmawialiśmy o śmierci. Jedynie Gala jej się nie boi. Martwi ją wyłącznie to, jak bym sobie radził, gdyby jej zabrakło. Dionisio, bardzo zmieszany, recytował wyrazistym głosem fragment dramatu Życie jest snem Calderona. Wyobraża sobie, że on sam jest jego autorem, jak również uważa się za reminiscencję Jose Antonio.

Ponieważ kładziemy się do łóżka bardzo późno, nie zasypiam, dzięki czemu mogę podsycać swój zapał do dalszej pracy nazajutrz nad ramieniem Corpusa Hypercubicusa. Wizyta moich przyjaciół była niczym pogodny cień jesieni. Wszystko wokół Gali i Salvadora Dali coraz bardziej usuwa się w cień. Wkrótce będziemy jedynymi prawdziwymi i transcendentalnymi istotami naszych czasów. Dionisio wykonał olejny portret przedstawiający mnie w przebraniu Chińczyka.

Z Balu Cuevas pozostał jedynie mglisty cień poprzebieranych upiorów. Jedynie Gala i Dali przyodziani są w szaty niezniszczalnej już mitologii. Tak bardzo nas kocham oboje...

Kategorycznie zabrania się przedstawiać kiedykolwiek pajaca⁵⁸

10 września

Zapamiętaj... Silnie naciskając pędzel, zwilżaj bursztynem, bursztynem rozpuszczonym w olejku terpentynowym. Twój dzisiejszy błąd polegał na tym, że dałeś za dużo bursztynu. Należy zwilżyć mały pędzel o długim i spiczastym włosiu. Pokryjesz obraz nie brudząc go, gdyż nadmiar substancji, którą trudno jest zebrać na brzegach, powoduje zabrudzenia. Rozpuszczalnika zaś możesz używać wedle uznania. Do malowania wybijających się partii potrzeba farb stosunkowo rzadkich, do pociągnięć zasadniczych — bardzo rzadkich...

Zmieniła się pogoda. Trochę popadało i wieje wiatr. Na moich oczach gospośnia przygotowuje „placek Gali”. Lada dzień będę wiedział wszystko, co trzeba, by móc

cudownie malować.

Już niedługo wszyscy wznosić będą okrzyki: „To, co maluje Dali, jest cudowne!” Dojdę do tego dzięki cierpliwości i harmonii, których źródłem jest Gala, a także dzięki Corpusowi Hypercubicusowi oraz jądro Fidiasza, w których odnajduję wartości najwyższe.

11 września

Poprawiam lewe udo. I znów w trakcie schnięcia brudzi się. Trzeba rozetrzeć plamę ziemniakiem i malować ponownie, czyniąc to hiperkubicznie, gładko i bez laserunku.

12 września

Znów pracowałem nad żółtą draperia, która jest coraz lepsza. Dziś zdarzyło się coś nadzwyczajnego! Po raz pierwszy w życiu mam prawdziwie witalną ochotę zwiedzić muzeum malarstwa.

13 września

Gdybym dobrze malował przez całe życie, nigdy nie mógłbym być szczęśliwy. Teraz wydaje mi się, że osiągnąłem ten sam stopień dojrzałości co Goethe, który przybywając do Rzymu wykrzyknął: „Teraz narodzę się naprawdę!”

14 września

Osiemdziesiąt dziewcząt żąda, abym ukazał się w oknie pracowni. Witają mnie oklaskami, ja zaś przesyłam im całusa. Czuję się najbardziej boski ze wszystkich Charlotów, jeżeli ten był boski. Odchodzę od okna zatopiony w refleksjach, które nie są niczym nowym: „Co robić, by wreszcie bardzo dobrze malować?!”

15 września

Eugenio d'Ors, który od pięćdziesięciu lat nie zawitał do Cadaques, pojawia się w moim domu w towarzystwie przyjaciół. Zauroczony jest mitem o Lidii z Cadaques⁵⁹. Jest szansa, że nasze dwie książki na ten sam temat ukażą się równocześnie. W każdym razie jego pseudoplatońska, o zacięciu estetycznym książka będzie mogła uszlachetnić realistyczne i hiperkubiczne kontury mojej bien plantada⁶⁰

16 września

Dziś późno mnie obudzono. Pada rzęsisty deszcz; jest tak ciemno, że nie będę mógł malować. W tym miesiącu ponoszę porażkę techniczną. Mimo że malowanie draperii szło mi lepiej niż zazwyczaj, opanowany chimerycznym pragnieniem absolutnej perfekcji, usiłowałem malować powierzchnie pokrywane bursztynem prawie bez farby. Chciałem osiągnąć najpełniejsze mistrzostwo — maksimum dematerializacyjnej kwintesencji.

Rezultat okazał się opłakany. Przez godzinę pomalowany fragment był boski, lecz wysychając bursztyn tłumił pomalowane partie, tak że wszystko przybierało barwę

ciemnego bursztynu i pokrywało się plamami. Ta ogarniająca Corpora Hypercubicusa ciemność zbiegła się w czasie z potworną burzą, która tego dnia pokryła mrokiem moje życie na jedno popołudnie. Jednak pod wieczór uświadomiłem sobie arcygenialną genealogię własnych błędów, którymi teraz się rozkoszuję. Gala wie, że na wszystko to można znaleźć prosty sposób, pocierając powierzchnię ziemniakiem przed dalszym malowaniem. Dzięki temu epizodycznemu i chwilowemu niepowodzeniu z rozkoszą odkrywam wszystkie prawdy dotyczące mojej techniki malarskiej. Jeszcze przez kilka chwil delectuję się owym grzechem absolutu, następnie zaś proszę, by przyniesiono mi coś bardzo względnego i jednocześnie bardzo realnego, a mianowicie ziemniak, jeśli już nazwać rzecz po imieniu. I kiedy widzę, jak pojawia się na powierzchni stok, wydaję westchnienie niczym Goethe: „Teraz narodzę się naprawdę!”

Jak dobrze móc odradzać się w ponury, burzowy dzień!

17 września

Maluję draperie i cienie ramion. Niedawno umarł w Meksyku jakiś mężczyzna w wieku stu pięćdziesięciu lat, pozostawiając sierotę liczącego sto jeden wiosen. Jak bardzo chciałbym przekroczyć ten wiek! Mam nieustającą nadzieję, że dzięki naukom osobliwym (i oczywiście z Bożą pomocą) będzie można wydatnie przedłużyć życie ludzkie. Czekanie na „początek narodzin”, jak mi się to przytrafiło wczoraj, jest już w pewnym

sensie trwaniem. O, trwałości pamięci, miękki zegarze mego życia, czy rozpoznajesz mnie⁶¹

Gala wraz z Joanem wyjechała do Barcelony. O zmierzchu będziemy łapać krążące na tle ciemnego nieba nietoperze, uzbrojeni w długie kije, na których umocowaliśmy skarpety z czarnego jedwabiu, wspomnienie uroczystych, nowojorskich wieczorów.

Dobranoc, Galo; odpukam w niemalowane drewno, aby nie spotkało cię nic złego. Jesteś mną, jesteś żrenicą mych oczu, a także swoich własnych.

18 września

Przyszedł elektryk, aby obejrzeć Corpora Hypercubicusa. Oszołomiony stał w milczeniu, po czym wykrzyknął: Cristu! W języku katalońskim oznacza to dosadne, obelżywe przekleństwo W jego ekstremalnej formie!

19 września

Maluję wielki kawał draperii, czyniąc to z większą swobodą niż kiedykolwiek, oraz rysuję materię zakrywającą genitalia Corpora Hypercubicusa. A wszystko to mimo perwersyjnych przerw w dopływie prądu.

20 września

Tworzę superobraz sześcianu wraz z jego lewym cieniem. Wieczorem maluję fragment z dnia poprzedniego, czyli materię zakrywającą genitalia Corpora Hypercubicusa. Leżę w łóżku. Gala wraz z przyjaciółmi udała się na połów krewetek.

21 września

Otwieram stary numer La Nature z 1880 roku i zapoznaje się z historią w stu procentach tożsamą ze światem Dalego.

Chodzi o niedyspozycję pewnego połykacza noży, a to za sprawą widelca, który dostał mu się do żołądka podczas spotkania z przyjaciółmi. Niejaki doktor Polaillon wyciąga go w wyniku brawurowo przeprowadzonej operacji. Historia byłaby w dwustu procentach „daliniańska”, gdyby widelec był gównem. Nanoszę więc stosowne poprawki, starając się być maksymalnie konkretny, starając się nie przeoczyć żadnego drażliwego szczegółu:

„W dniu 24 sierpnia doktor Polaillon wygłosił w Akademii Medycznej niezmiernie interesujący wykład. Poniżej zamieszczamy niektóre jego fragmenty:

Mam zaszczyt zaprezentować na forum Akademii gówno, które wydobyłem wczoraj po rozcięciu jamy brzusznej. Niejaki Albert C..., lat 25, z zawodu kuglarz, specjalizował się w wykonywaniu numerów skatologicznych wraz z arabską partnerką. 8 sierpnia, przebywając w Luchon, zabawiał się z przyjaciółmi połykaniem różnego rodzaju wyschniętych gównien. Kiedy jedną z nich utknęło mu w przełyku, dławiąc się niemal, wykonał głęboki wdech, po czym zemdłał. Odzyskawszy przytomność, kilkakrotnie starał się uchwycić gówno, wtykając palce głęboko do gardła. Jednak jego wysiłki speliły na niczym. Gówno przechodząc powoli przez przełyk dostało się do żołądka. Konsekwencją tego było jedynie kilka krwawych plwocin na skutek otarcia błon śluzowych gardła i przełyku. Nazajutrz ponownie oddawał się praktykom skatologicznym. Po kilku dniach poczuł dolegliwości w dole nadbrzusznym i zasięgnął konsultacji u kilku lekarzy. Doktor Lavergne

nakłonił go do przyjazdu do Paryża i był łaskaw skierować go na mój oddział w szpitalu de La Pitie, gdzie pojawił się 14 sierpnia, w sześć dni po wypadku...

Albert C... jest słusznego wzrostu; charakteryzuje się silnym umięśnieniem, mimo że kończyny ma stosunkowo szczupłe. Brzuch ma płaski bez śladu tkanki tłuszczowej; pod skórą widoczne są uwypuklenia mięśni brzusznych. Członek jest wyjątkowo mały, mający po ejakulacji odpychający wygląd. Dokładnie wyjaśnia, iż gówno dostało się do żołądka zaokrąglonym końcem i że czuje je w górnej części brzucha. Jego zdaniem tkwi ono ukośnie, wzdłuż linii przechodzącej nieco powyżej pępka, biegnącej od lewej do prawej strony i od dołu do góry. Jego spiczasty koniec prawdopodobnie tkwi głęboko w podżebrzu lewym, zaś jego zaokrąglony koniec — nieco poniżej, poza obrębem pępka, w okolicy podżebrza prawego.

Gówno to jest pokaźnych rozmiarów oraz wyjątkowej twardości; Chory uskarża się na dolegliwości przy pustym żołądku, toteż, aby uśmierzyć ból, zmuszony jest bardzo często przyjmować pokarm. Funkcje żołądkowo-jelitowe przebiegają zresztą bez zakłóceń. Nie pojawiły się ani krwawe plwociny, ani wymioty...

Wprowadzenie sondy żołądkowej z metalowym szpikulcem nie przyniosło pożądanых rezultatów. Urządzenie to, pomysłu pana Collina, przekazuje do ucha badającego bardzo wyraźny dźwięk, jak tylko szpikuliec wejdzie w kontakt z ciałem obcym, znajdującym się w żołądku. Ponieważ instrument ten nie wydał żadnego sygnału dźwiękowego, zaczęliśmy powątpiewać w obecność gówna w żołądku. Niepokój oraz dolegliwości odczuwane przez pacjenta przy wprowadzeniu sondy żołądkowej zdawały

się potwierdzać te wątpliwości. Wydawało nam się nieprawdopodobne, aby mężczyzna przyzwyczajony do połknięcia gówna z takim trudem znosił przejście cienkiej sondy żołądkowej.

Aby rozwiązać te wątpliwości zwróciłem się do znanego ze swej życzliwości pana Trouve, który w celu wykrycia obecności ciała gównianego w organizmie polecił skonstruować sondę żołądkową na wzór swojego cienkiego zgłębnika zaopatrzonego w dzwonek elektryczny. Kiedy zakończenie tej sondy dotarło do żołądka, jeden z moich praktykantów, pan Trouve i ja usłyszeliśmy charakterystyczny dźwięk dzwonka, trwający ułamek sekundy. Jednakże dźwięk ten, którego nie dało się ponownie odtworzyć, był tak ulotny, że nie trafiło mi to do przekonania.

Następujące badania pomysłu pana Trouve ostatecznie pozwoliły na postawienie diagnozy:

1. Niezmiernie czuła igła magnetyczna odchyłała się ku okolicy żołądkowej chorego, gdy ten zbliżał się do igły. Kiedy pacjent wykonywał jakieś ruchy, igła magnetyczna poruszała się zgodnie z jego ruchami.

2. Duży elektromagnes; umieszczony kilka milimetrów od ściany brzusznej, momentalnie sygnalizował z chwilą przepływu prądu niewielkie wybrzuszenie skórne, jak gdyby jakieś ciało znajdujące się w brzuchu przemieszczało się w kierunku elektromagnesu. Kiedy elektromagnes zawieszano na sznurze, tak aby umieszczony był na wprost żołądka pacjenta, obserwowano drgania elektromagnesu i to, jak natychmiast po zamknięciu obwodu elektrycznego zaczynał przylegać do skóry.

Te oto osobliwe doświadczenia wykazały niezbicie, że w górnej części jamy brzusznej tkwiło ciało obce w postaci gówna. Porównując wyniki tego konkretnego eksperymentu z zeznaniem i reakcjami pacjenta, a także z naszymi badaniami polegającymi na obmacywaniu brzucha i wprowadzeniu elektrycznej sondy żołądkowej, mogliśmy stwierdzić z całą pewnością iż w żołądku obecne jest wyschnięte gówno.

Po postawieniu diagnozy należało jeszcze wydobyć wspomniane ciało obce. Ponieważ chirurgom nie udało się jak dotychczas wyciągnąć ciała obcego tak okazałych rozmiarów za pomocą szczypiec lub innych instrumentów wprowadzonych przez przelyk, nie rezygnując z prób w tym kierunku, zdecydowałem się ostatecznie na otwarcie jamy brzusznej.

Operacja otwarcia jamy brzusznej, przeprowadzona zgodnie z zaleceniami pana doktora Labbe, odbyła się 23 sierpnia. W jej wyniku gówno zostało wyciągnięte z żołądka. Pan doktor Polaillon wprowadził zresztą kilka uproszczeń w postępowaniu chirurgicznym.

Po tym wykładzie pan baron Larrey zauważył, że otwarcia jamy brzusznej dokonywano już od bardzo dawna i że w jakiejś starej książce spotkał się z opisem podobnego przypadku. Pacjentką była tu dziewczyna, która połknęła gówno. Po kilku miesiącach połknięte gówno tworzyło wypukłość w nadbrzuszu: kierując się ową wypukłością chirurg naciął ścianę brzuszną oraz żołądkową natrafił na gówno i zdołał je wydobyć”.

1955

Grudzień

Paryż, 18 grudzień

Wczoraj wieczorem w Świątyni Wiedzy, w obecności zafascynowanego tłumu — apoteoza Dalego. Jak tylko przyjechałem rolls royce'em załadowanym kalafiorami, powitały mnie tysiące fleszów. Następnie zabrałem głos w wielkim amfiteatrze Sorbony. Rozgorączkowane audytorium spodziewało się przełomowych słów. I doczekało się ich. Właśnie w Paryżu postanowiłem wygłosić najbardziej szalony wykład w swoim życiu* Dali miał tam wykład: „Fenomenologiczne aspekty metody paranoiczno-krytycznej”. (ten i inne przypisy oznaczone gwiazdką pochodzą od konsultanta), ponieważ Francja jest najinteligentniejszym krajem świata, najbardziej racjonalnym krajem świata. Natomiast ja, Salvador Dali, przybywam z Hiszpanii, która jest krajem najbardziej irracjonalnym i najbardziej mistycznym na świecie... Te pierwsze słowa zostały przyjęte frenetycznymi brawami, gdyż nikt nie jest bardziej czuły na komplementy niż Francuzi. Inteligencja — powiedziałem — kieruje naszą uwagę jedynie ku mgławicowym niuansom sceptycyzmu, który w pierwszym rzędzie sprowadzić ma ona do współczynników gastronomicznej i galaretowatej, proustowskiej i nadpsutej niepewności. Z tych to właśnie powodów jest rzeczą konieczną i pożyteczną, aby Hiszpanie, na przykład Picasso lub ja, przyjeżdżali od czasu do czasu do Paryża, by podetknąć Francuzom pod nos surowy i krwisty kawałek prawdy.

Tli i ówdzie nastąpiło poruszenie, czego się zresztą spodziewałem. Wygrałem!

I wtedy wyrzuciłem z siebie jednym tchem: jednym z ostatnich i bardziej znaczących malarzy współczesnych był bez wątpienia Henri Matisse, ale Matisse okazał się wiernym wyrazicielem ostatecznych skutków Rewolucji Francuskiej, to znaczy triumfu burżuazji i mieszczańskiego gustu. Burza oklasków!!!!!!

Ciągnąłem dalej: Konsekwencją dzisiejszej sztuki nowoczesnej jest to, że osiągnęliśmy maksimum racjonalności i maksimum sceptycyzmu. Młodzi malarze współcześni nie wierzą dziś w NIC. Jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, że kiedy się w nic nie wierzy, w końcu nie maluje się, z grubsza rzecz biorąc, nic. Podobnie ma się rzecz z całym malarstwem współczesnym, włączając w to malarstwo abstrakcyjne, estetyzujące, akademickie, z wyjątkiem amerykańskiej grupy malarzy z Nowego Jorku, która z braku tradycji, wiedzona jakimś paroksystycznym instynktem, wyznawać będzie wkrótce nową wiarę premistyczną, mającą szansę ujrzeć światło dzienne, jak tylko świat uświadomi sobie ostatecznie odkrycia nauki nuklearnej. We Francji widzę tylko jeden przykład godny zacytowania, ilustrujący całkowicie odmienne tendencje w stosunku do szkoły nowojorskiej: chodzi tu o mojego przyjaciela, malarza Georges Mathieu, który z racji swych atawizmów monarchicznych i kosmogonicznych zajmował całkowicie odmienne stanowisko wobec akademizmu malarstwa współczesnego.

I mów intensywnie brawa rozległy się po moich rewelacyjnych uwagach. Pozostawało mi poczęstować ich pseudonaukowym wywodem, nad którym się właśnie zastanawiałem. Nie jestem oczywiście mówcą lub tym bardziej naukowcem, ale wśród

publiczności znajdowali się zapewne uczeni, zwłaszcza zaś specjaliści od morfologii, będący w stanie wyłowić istotne i twórcze pierwiastki mego delirium.

Mam dziewięć lat — zacząłem opowiadać — i znajduję się w jadalni swego rodzinnego domu w Figueras. Jestem prawie kompletnie nagi. Opieram łokieć na stole, udając, że śpię, aby młoda służąca mogła mnie obserwować. Na stole leżą suche skórki chleba, które wpijają się boleśnie w skórę na łokciu.⁶³ Ból ten przywodzi mi na myśl ową liryczną ekstazę, wywołana kiedyś śpiewem słowika. Śpiew ten wzruszył mnie do łez. Wkrótce potem ogarnęła mnie prawdziwie chorobliwa obsesja, a to z powodu obrazu Vermeera Koronczarka, którego reprodukcja wisiała w gabinecie ojca. Przez uchylone drzwi dostrzegałem tę reprodukcję, myśląc jednocześnie o rogach nosorożca. Moje fantazje przyjaciele uznali później za deliryczne, ale są one prawdziwe, i kiedy byłem już młodzieńcem, zdarzyło mi się zgubić w Paryżu reprodukcję Koronczarki. Byłem chory z tego powodu i nie tknąłem jedzenia, dopóki nie wszedłem w posiadanie innej...

Całe audytorium słuchało mnie z zapartym tchem. Musiałem kontynuować opowiadanie, by wyjaśnić, w jaki sposób moje uporczywe zainteresowanie Vermeerem, szczególnie zaś jego Koronczarką, zaowocowało decyzją o kapitalnym znaczeniu. Poprosiłem dyrekcję muzeum w Luwrze o pozwolenie wykonania kopii tego obrazu. I tak pewnego ranka zawitałem do Luwru, myśląc o rogach nosorożca. Ku wielkiemu zaskoczeniu przyjaciół i Głównego Konserwatora ujrzałem na moim płótnie zarys rogów nosorożca.

Przyspieszony oddech audytorium przeobraził się w salwę śmiechu, który natychmiast zagłuszyły brawa.

Muszę powiedzieć — rzuciłem na końcu — że trochę się tego spodziewałem.

Następnie wyświetlono na ekranie reprodukcję Koronczarki, tak że mogłem zaprezentować, co najbardziej intryguje mnie w tym obrazie: centralnym punktem jest tu igła, co prawda niewidoczna, lecz której obecność jest wyczuwalna. Klucie tej igły bardzo wyraźnie odczuwałem moje własne ciało; odczuwam je w łokciu, kiedy na przykład budzę się gwałtownie w trakcie którejś ze swych najbardziej niebiańskich sjeest Koronczarkę, jak dotąd, uważano za obraz bardzo łagodny i bardzo spokojny, ale moim zdaniem bije z niego niespotykana energia estetyczna, którą można porównać jedynie do antyprotonu, który niedawno odkryto.

Następnie poprosiłem operatora, by zaprezentował na ekranie reprodukcje mojej kopii. Wszyscy powstali z miejsc, krzycząc i bijąc brawo: „To jest lepsze! To oczywiście!” Wyjaśniłem, że aż do czasu tej kopii nie rozumiałem należycie Koronczarki i że musiałem spędzić całe lato, analizując ten problem, aby wreszcie uzmysłowić sobie, że wówczas instynktownie wykreśliłem dokładne krzywe logarytmiczne. Zderzenie drobnych skórek chleba, korpuskuł, sprawia, że wizerunek Koronczarki znów staje mi przed oczyma. W późniejszym okresie uważałem, że powinienem kontynuować pracę nad obrazem. Moje nosorożcowe idee były tak oczywiste, że wysłałem telegram do swego przyjaciela Mathieu, informując go: „Tym razem nie Luwr. Muszę iść na spotkanie z żywym nosorożcem”. Dali, tworząc swoją wersję Koronczarki, rozkładał sztalugę przed wybiegiem dla nosorożców w paryskim ogrodzie zoologicznym w Vincennes.

Aby sprowadzić na ziemię publiczność, którą przyprawiłem niemal o zawrót głowy, zaprezentowałem dla odprężenia fotografię ukazującą Galę i mnie, jak zażywamy morskiej kąpieli na przylądku Creus w towarzystwie jednego z portretów Koronczarki . Pięćdziesiąt innych portretów rozmieściłem na swojej plantacji oliwek, co stanowiło dla mnie nieustanną zachętę do dalszych refleksji dotyczących tej, kryjącej w sobie nieskończenie wiele możliwości interpretacyjnych, kwestii. Równocześnie zgłębiałem problem morfologii słonecznika. W tej materii już Leonardo da Vinci doszedł do niezmiernie, jak na owe czasy, interesujących wniosków. Latem 1955 roku odkryłem, że obserwując krzyżujące się spirale słonecznika można w nich dostrzec, dokładny zarys rogów nosorożca. Obecnie uczeni wcale nie są pewni, czy spirale słonecznika stanowią prawdziwe spirale logarytmiczne. Owszem, są do nich podobne, ale czynnik wzrostu sprawia, że nigdy nie udało się dokonać ściśle naukowych pomiarów. Tak więc uczeni nie są skłonni ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, że są to spirale logarytmiczne. Ja natomiast mogłem wczoraj, zapewnić publiczność przybyłą do Sorbony, że nigdy nie było w przyrodzie doskonalszego przykładu spirali logarytmicznej niż forma rogu nosorożca. Kontynuując badania nad słonecznikiem poprzez dobór i obserwacje krzywych w mniejszym lub większym stopniu przypominających spirale logarytmiczne, mogłem z łatwością odróżnić wyraźną sylwetkę koronczarki, jej uczesanie i poduszkę. Wszystko to nieco przypominało dywizjonistyczny obraz Seurata. W każdym słoneczniku odkryłem może z piętnaście różnych koronczarek, mniej lub bardziej zbliżonych do oryginalnego obrazu Vermeera.

Dlatego też — kontynuowałem — kiedy po raz pierwszy ujrzałem fotografię Koronczarki naprzeciw żywego nosorożca, uświadomiłem sobie, że gdyby miała odbyć się między nimi walka, zwycięsko z niej wyszłaby Koronczarka, ta bowiem z morfologicznego punktu widzenia jest rogiem nosorożca.

Śmiechy i oklaski zakończyły pierwszą część mego wystąpienia. Należało jeszcze zaprezentować publiczności nieszczęsnego nosorożca, mającego na końcu nosa maleńką Koronczarkę, sama zaś koronczarka była olbrzymim rogiem nosorożca obdarzonym potężną energią duchową, ponieważ miał uosabiać okrucieństwo nosorożca, jest ona ponadto symbolem absolutystycznych rządów niewinności. Płótno Vermeera diametralnie różni się od obrazu Henri Matisse'a, który jest prototypowym wzorcem słabości, albowiem — mimo talentu artysty —malarstwo jego nie jest niewinne, jak nie mające kontaktu z przedmiotem malarstwo Vermeera. Matisse zadaje gwałt rzeczywistości, przekształca ją i sprowadza do wymiarów bachicznych.

Ponieważ ustawicznie czuwam, aby słuchacze nie raczyli pogrążyć się w refleksjach odmiennych od moich własnych, poprosiłem o przedstawienie wizerunku mojego Chrystusa Hypercubicusa. W ten oto sposób zaprezentowałem wszystkim obraz, z grubsza rzecz biorąc, normalny, na którym mój przyjaciel, Robert Deschames, realizujący obecnie film zatytułowany Cudowna historia Koronczarki i Nosorożca, ujrzał oblicze Gali i oczywiście dokonał jego segmentacji na osiemnaście rogów nosorożca...

Tym razem nie było braw, lecz okrzyki autentycznego entuzjazmu, jakie rozległy się ponownie, gdy dodałem, że niektórzy dostrzegli oczywisty związek eucharystyczny

między kolanami Chrystusa a chlebem, zarówno z punktu widzenia materii, jak i morfologii form. Przez całe życie prześladował mnie chleb, który malowałem niezliczoną ilość razy. Analizując niektóre krzywe Corputa Hypercubicusa również i tani dostrzec można niemal boski zarys rogu nosorożca, podstawową zasadę każdej niewinnej i gwałtownej estetyki. Te same rogi — dowodziłem, wskazując na ekran, na którym wyświetlano mój obraz przedstawiający miękkie zegary — widoczne już są w tym oto pierwszym dziele Dalego.

— Dlaczego są one miękkie? — zapytał jakiś słuchacz.

— Miękkie czy twarde — odpowiedziałem — to bez różnicy. Ważne jest, aby wskazywały dokładny czas. Na moim obrazie widać zarysy rogów nosorożca, które uwydatniając się przywodzą na myśl ustawiczną dematerializację tego elementu, nabierającego z czasem wymowy jednoznacznie mistycznej.

Nie, róg nosorożca nie jest, oczywista, pochodzenia romantycznego lub dionizyjskiego — wręcz przeciwnie. Jest on apoliński, jak to odkryłem u Rafaela, studiując formę szyi na jego portretach. Przeprowadzone przeze mnie badania pozwoliły stwierdzić, że wszystko składa się z sześciątów i walców. Posługując się techniką sześciątów i walców Rafael malował wyłącznie formy podobne do krzywych logarytmicznych, dających się wyodrębnić w rogach nosorożca.

Na potwierdzenie tych słów wyświetlono zdjęcie wykonanej przeze mnie kopii obrazu Rafaela, noszącego wyraźne cechy moich nosorożcowych obsesji. Obraz ten — Ukrzyżowanie — jest jednym z najdoskonalszych przykładów stożkowej organizacji przestrzeni. Nie chodzi tu — jak zaznaczyłem — o róg nosorożca, jak u Vermeera (gdzie ma o wiele większą moc) — nie: chodzi o róg nosorożca, który można by nazwać neoplatonickim. Na podstawie tego obrazu sporządzono wykres oddający rzecz najważniejszą, czyli płaszczyznę, na której wszystkie postacie są rozmieszczone według boskiej harmonii monarchicznej Lucasa Pacellego. W odniesieniu do estetyki posługuje się on niezmiernie terminem „monarchia”, ponieważ pięcioma ciałami regularnymi niepodzielnie rządzi absolutna monarchia sfer.

I znów słuchacze wstrzymali oddech. Miałem im ujawnić kolejne brutalne prawdy. Na ekranie zaprezentowano nosorożcowy zadek, który uprzednio nader wnikliwie analizowałem, dochodząc do wniosku, że nie jest to nic innego, jak słonecznik zgięty wpół? Nosorożcowi nie wystarcza noszenie na czubku nosa jednej z najpiękniejszych krzywych logarytmicznych: prócz tego na zadzie ma jakby galaktykę krzywych logarytmicznych w formie słonecznika.

Rozległy się okrzyki i brawa publiczności, którą owinąłem sobie wokół palca. Znajdowaliśmy się w centrum wszechświata Dalego. Oto nadeszła chwila objawiania prorocत्व.

Po badaniach morfologicznych słonecznika — ciągnąłem — odniosłem wrażenie, że jego punkty, jego krzywe i cienie mają posępny wygląd, dokładnie odpowiadający głębszej melancholii samego Leonarda da Vinci. Zadałem sobie pytanie: czy nie postępowałem zbyt mechanicznie? Dynamiczny aspekt słonecznika nie pozwalał ujrzeć w nim Koronczarki. Kiedy studiowałem ten problem, przypadkowo wpadła mi w ręce fotografia kalafiora... Objawienie! Problem morfologii kalafiora jest taki sam jak w

wypadku słonecznika, w tym sensie, że również tu chodzi o prawdziwe spirale logarytmiczne. Kwitnienie ma w sobie coś z niepohamowanej siły, prawie energii atomowej, coś z pączkującego napięcia, jak w wypadku upartego, oponowomózgowego czoła koronczarki, które ubóstwiam do szaleństwa. Przyjechałem na Sorbonę rolls royce'iem wypełnionym warzywami; nie jest to, niestety, pora, kiedy rosną ogromne kalafiory. Trzeba czekać aż do marca. Największego kalafiora, jakiego znajdę, oświetlę i sfotografuję pod odpowiednim kątem. A kiedy zdjęcie będzie już wywołane, wszyscy ujrzą na nim —za co zaręczyłem słowem honoru Hiszpana — koronczarkę wykonaną najprawdziwszą techniką Vermeera.

Salę ogarnęło istne szaleństwo. Pozostawało mi opowiedzieć kilka anegdot. Wybrałem anegdotę o Czyngischanie. Opowiedziano mi kiedyś, że pewnego dnia Czyngis-chan usłyszał śpiew słowika w tak cudownym miejscu, że zapragnął tam zostać pochowany. Nazajutrz zobaczył we śnie albinosa — białego nosorożca z czerwonymi oczami. Uznając ten sen za przepowiednię, zrezygnował z podboju Tybetu. Czyż nie jest to wyraźna analogia do moich wspomnień z dzieciństwa, w których również —jak pamiętamy — pojawia się na początku śpiew słowika poprzedzający zauroczenie Koronczarką, skórkami chleba i rogami nosorożca? I właśnie gdy studiowałem życie Czyngis-chana, pan Michel Gengis Khan, Sekretarz Generalny Międzynarodowego Centrum Studiów Estetycznych, zwrócił się do mnie z prośbą o wygłoszenie tej prelekcji. Zważywszy na moje wrodzone, jakże charakterystyczne tendencje imperialistyczne, był to wielce znaczący, prawdziwie obiektywny przypadek.

Następna anegdota. Dwa dni temu wydarzył się kolejny, obiektywny przypadek, niezmiernie bulwersujący: w trakcie wspólnej kolacji z Jeanem Cocteau⁶⁴, zapoznając go z tematem swojej prelekcji, zauważyłem nagle, że twarz jego staje się blada.

— Mam przedmiot, który cię olśni...

I na oczach zafascynowanej publiczności, gdy ciekawość doszła do zenitu, uniosłem do góry „przedmiot”: lichtarz, którym piekarz Vermeera rozpałał w piecu. Vermeer, nie mając pieniędzy na opłacenie piekarza, dawał mu w zamian różne obrazy i przedmioty. Tak oto piekarz rozpałał piec, posługując się owym przedmiotem z Delft, na którym dostrzec można ptaka oraz róg nie będący co prawda rogiem nosorożca, ale który być może przypomina choć trochę formy logarytmiczne. Jest to okaz niezmiernie rzadki, gdyż Vermeer był postacią bardzo tajemniczą. Znamy po nim jedynie ten przedmiot.

Gdy mówiłem o Jeanie Cocteau, na sali rozlegały się okrzyki— toteż musiałem dodać, że jeśli o mnie chodzi, uwielbiam członków Akademii. To wystarczyło, aby wszyscy zaczęli bić brawa. Uwielbiam członków Akademii zwłaszcza od chwili, gdy jeden spośród najznamienszych członków Akademii Hiszpańskiej, filozof Eugenio Montes, powiedział coś, co mi się bardzo spodobało, ponieważ zawsze uważałem się za geniusza. Powiedział mianowicie: „Dali jest istotą najbardziej zbliżoną do archanielskiego Raimundusa Lullusa”.

Po tym cytacie rozległa się burza oklasków.

Uciszyłem gestem brawa i dodałem: po dzisiejszej prelekcji jestem zdania, że aby od Koronczarki przejść do słonecznika, od słonecznika do nosorożca i od nosorożca do kalafiora, trzeba rzeczywiście mieć trochę oleju w głowie.

1956

Maj

Port Lligat, 8 maja

Prasa i radio donośnym tonem przypominają, że obchodzimy rocznicę zakończenia wojny w Europie. Kiedy z wybiciem szóstej wstawałem dziś rano z łóżka, przyszło mi do głowy, że tę ostatnią wojnę wygrał prawdopodobnie Dali. Przypuszczenie to wprawilo mnie w zachwyty. Adolfa osobiście nie znałem, chociaż teoretycznie mógłbym się z nim spotkać w prywatnym gronie. Dwukrotnie miałem ku temu okazję przed zjazdem partii w Norymberdze. W przeddzień zjazdu mój serdeczny przyjaciel, lord Berners, poprosił mnie, bym złożył autograf w swojej książce *Zdobycie irracjonalności* i osobiście wręczył ją Hitlerowi, gdyż ten dopatrywał się w moim malarstwie pierwiastków bolszewickich i wagnerowskich, zwłaszcza jeśli chodzi o „sposób prezentowania cyprysów. W chwili gdy dedykowałem egzemplarz, który podał milord Bemers, czułem się dziwnie zakłopotany: miałem przed oczyma niepiśmiennych chłopów, przychodzących do biura mego ojca i stawiających krzyżyk na dokumentach, które im dawano do podpisu. Podobnie jak oni ograniczyłem się do nakreślenia krzyżyka. Czyniąc to, miałem świadomość (tak jest zresztą ze wszystkim, co robię), że musi to być coś bardzo ważnego, ale nigdy, przenigdy nie podejrzewałem, że ten właśnie symbol spowoduje boski kataklizm hitlerowski. Tak więc Dali, specjalista od krzyży (największy jaki kiedykolwiek istniał), zdołał dwoma spokojnymi pociągnięciami wyrazić graficznie, fantastycznie — co ja mówię! — magicznie!! oraz z należytą koncentracją piątą kwintesencję całkowitego przeciwieństwa swastyki, krzyża dynamicznego, nietzscheańskiego, łamanego, hitlerowskiego.

Nakreśliłem krzyż stoicki, jak najbardziej stoicki, ze wszystkich możliwych krzyży wyrażający najpełniej ducha Velazqueza, a już najmniej ducha swastyki, krzyż hiszpański dionizyjskiego upojenia. Adolf Hitler, obdarzony zapewne niezwykłą intuicją graniczącą z magią i naszpikowaną horoskopami, musiał chyba obawiać się mojej przepowiedni aż do swojej śmierci w berlińskim bunkrze. Faktem jest, że Niemcy, mimo nadludzkich wysiłków, by uznać się za pokonanych, wojnę tę przegrały, Hiszpania zaś, ta szlachetnie samotna Hiszpania, nie uczestnicząc w konflikcie, dosłownie nic nie robiąc, z Bożą pomocą i dantejską wiarą miała zwyciężyć, zwyciężyła, zwycięża i nadal zwyciężać będzie duchowo w tej samej wojnie. Cała różnica w porównaniu z Niemcami masochistycznego Hitlera polega na tym, że my, Hiszpanie, nie jesteśmy Niemcami, a nawet, jak się zdaje, jesteśmy ich przeciwieństwem.

9 maja

Dezantropizuję przypadek. Zagłębiając się coraz bardziej w sprzecznej matematyce wszechświata. Przez dwa ostatnie jata wykonałem czternaście obrazów — naturalnie co jeden to bardziej boski. Na wszystkich obrazach pojawia się Matka Boska z dzieciątkiem Jezus. Tu także stosuję jak najdokładniejsze techniki matematyczne: matematykę arcysześcianu. Chrystus rozdrobniony na osiemset osiemdziesiąt osiem fragmentów, które zlewają się w magiczną dziewiątkę. Teraz nie będę już malować z cudowną

dokładnością i ogromną cierpliwością, natomiast dani z siebie wszystko, i to za jednym zamachem, szaleńczo i zachłannie. Przekonano się o tym w Paryżu, kiedy pewnego ranka udałem się do Luwru, aby w ciągu niecałej godziny namalować Koronczarko Vermeera. Staralem się przedstawić ją pomiędzy czterema skórkami chleba, jak gdyby powstawała na skutek zderzenia się cząsteczek w oparciu o zasadę mojego continuum czteropośladowego. Wszyscy zobaczyli nowego Vermeera.

Wkraczamy w erę wielkiego malarstwa. Coś się zakończyło w roku 1954 wraz ze śmiercią owego glonowatego malarza, zdolnego co najwyżej ułatwiać mieszczańskie procesy trawienne, jakim był Henri Matisse, malarz Rewolucji 1789 roku. W delirycznym szale odradza się arystokracja sztuki. Od komunistów aż po chrześcijan — wszyscy opowiedzieli się przeciw moim ilustracjom do Dantego. Są opóźnieni o sto lat! Gustave Dore pojmował piekło jako kopalnię węgla, ja natomiast ujrzałem jego wszechpotężną grozę pod śródziemnomorskim słońcem.

Nadeszła chwila, bym powrócił do swego filmu, o którym już sporo mówiłem w Dzienniku, Mięśna taczka. Przez cały czas jak o nim myślałem, doprowadzałem do perfekcji scenariusz — kobieta zakochana w taczce żyć będzie z nią oraz z dzieckiem pięknym niczym bóg. Taczka posiadać będzie wszystkie atrybuty świata.

10 maja

Jestem w stanie ustawicznej erekcji intelektualnej: wszystkie moje pragnienia zdają się konkretyzować. Moja liturgiczna corrida przybiera realne kształty. Wiele osób zaczyna się zastanawiać, czy aby już się nie odbyła. Dzielni księża skłonni są tańczyć wokół byka, jednak największą jej osobliwością, zważywszy na superiberyjskość oraz hiperestetyczność areny, będzie to, że technikę płaską i kolistą usuwania byka z areny za pomocą zwykłych mułów zastąpi technika usuwania pionowego, a to dzięki par excellence mistycznemu urządzeniu zwanemu autożyro, które czerpie energię z siebie samego, jak sugeruje nazwa.

Dla większego efektu autożyro powinno unosić martwe zwierzę bardzo wysoko i bardzo daleko, na przykład na górę Montserrat, tam zaś padnie ono łupem orłów, aby w ten sposób spełniła się ta pseudoliturgiczna corrida, jakiej nie widział świat.

Dodam jeszcze, że jedyny sposób, absolutnie w stylu Dalego (mimo że noszący cechy plagiatu z Leonarda) dekorowania areny polegać będzie na ukryciu za drugim rzędem miejsc dwóch węży gumowych, które przybierać będą najrozmaitsze kształty (najczęściej jelitowe). W odpowiedniej chwili węże te napęcznieją perwersyjnie i apoteozjańsko dzięki ciśnieniu silnego strumienia wrzącego mleka, najlepiej zwarzonego.

Niech żyje pionowy mistycyzm hiszpański, który od głębinowej łodzi podwodnej Narcisse'a Monturiola⁶⁵ wzniósł się prosto ku niebu dzięki helikopterowi!

11 maja

Co roku, z niezmienną regularnością, młodzi ludzie pragną się ze mną spotkać, aby zadać mi pytanie, co należy robić, by osiągnąć sukces. Młodzieńcowi, który pojawił się dziś rano, powiedziałem: — Aby cieszyć się niezmiennie coraz to większym szacunkiem

w towarzystwie, dobrze jest — jeśli ma pan ku temu odpowiednie predyspozycje -już w młodym wieku poczęstować towarzystwo, które pan lubi, solidnym kopniakiem w prawą nogę. Następnie niech pan będzie snobem. Podobnie jak ja. Snobizmu nauczyłem się w dzieciństwie. Już wtedy żywiłem podziw dla wyższych sfer, których uosobieniem była dla mnie pewna dama nazwiskiem Ursula Mattas. Była to Argentynka. Zakochałem się w niej przede wszystkim dlatego, że nosiła kapelusz (w mojej rodzinie się ich nie nosiło) i że mieszkała na drugim piętrze. Gdy minął okres dzieciństwa, snobizm mój nie ograniczał się już do trzeciej kondygnacji. Zawsze chciałem osiągnąć najwyższe szczeble hierarchii społecznej. Kiedy przyjechałem do Paryża, zachodziłem w głowę, czy aby będę zapraszany wszędzie tam, gdzie — jak sądziłem — wypada bywać. Kiedy otrzymuję zaproszenie, moje snobistyczne ciagoty z miejsca ustępują — nieco podobnie jak pańska choroba, gdy tylko w drzwiach pojawia się lekarz. Później sprawy miały się inaczej: bardzo często nie chadzałem tam, gdzie bywałem zapraszany. A jeżeli już tam się pojawiałem, wywoływałem skandal, dzięki któremu natychmiast mnie zauważano, po czym błyskawicznie znikalem. Dla mnie jednak snobizm, zwłaszcza w okresie surrealizmu, snobizm, powiadam, był prawdziwą strategią, ponieważ obok Rene Crevela byłem jedyną osobą, która pokazywała się w towarzystwie i była tam przyjmowana. Pozostali surrealiści nie znali tego środowiska i nie byli przezeń akceptowani. W ich obecności zawsze mogłem raptownie powstać z miejsca mówiąc: „Jem kolację na mieście”, dając tym samym powód do podejrzeń i domysłów (wiedzieli już o tym nazajutrz; a jeszcze lepiej, jak dowiadywali się o tym przez pośredników), że jest to kolacja u państwa Faucigny-Lucinge lub u osób, które oni uważali za owoc zakazany, ponieważ nie byli przez nie zapraszani. Następnie zaś, kiedy pojawiałem się u osób z wyższych sfer, bawiłem się w snobizm innego rodzaju, w jeszcze wymyślniejszej formie. Mówiłem: „Natychmiast po kawie muszę wyjść, bo mam spotkanie z grupą surrealistyczną”, którą przedstawiałem im jako grupę o wiele bardziej hermetyczną niż arystokracja, niż wszystkie osoby, które są im znane, ponieważ surrealiści przysyłali mi obraźliwe listy i uważali, że osoby z wyższych sfer są durniami, którzy absolutnie na niczym się nie znają... W takiej sytuacji snobizm polegał na tym, że można było nagle powiedzieć: „Słuchajcie, udaję się na plac Blanche, gdzie odbywa się bardzo ważne zebranie grupy surrealistycznej”. Wywoływało to niebywały efekt. Z jednej strony miałem w garści ludzi z wyższych sfer, bardzo zaintrygowanych faktem, że udaję się tam, gdzie oni nie mogą pójść, z drugiej — surrealistów. Ja zaś chadzałem cały czas tam, dokąd ani jedni, ani drudzy nie mogli się udać. Snobizm polega na tym, że zawsze można znaleźć się tani, gdzie inni nie mają dostępu, co rodzi u tych ostatnich kompleks niższości. We wszystkich stosunkach międzyludzkich istnieje jeden sposób, aby być panem sytuacji. Była to moja polityka wobec surrealizmu. Trzeba tu dodać jeszcze jedno: nie byłem w stanie interesować się wszystkimi plotkami; nie wiedziałem, kto z kim jest aktualnie skłócony. Podobnie jak komik Harry Landon, przybywałem zawsze tam, dokąd nie powinienem był przychodzić. I tak powodem, dla którego państwo Beaumont byli poróżnieni z państwem Lopez, byłem ja sam oraz mój film Złoty wiek. Wszyscy wiedzieli, że się powaśnili: nie pozdrawiali się ani nie widywali z mojego powodu. Ale ja, Dali, chodziłem niezmiernie do państwa Beaumont, a potem udawałem się do Lopezów,

nic nie wiedząc o tych klótniach lub też — jeśli było mi to wiadome —nie zwracając na to najmniejszej uwagi. Podobnie rzecz się miała z Coco Chanel i Elzą Schiaparelli, które wypowiedziały sobie wojnę w dziedzinie mody. Jadałem obiady z pierwszą, pijałem herbatę z drugą, a wieczorem jadałem kolacje z pierwszą. Wszystko to wzniecało atmosferę zawiści. Należę do tych nielicznych osób, które obracały się w najbardziej paradoksalnych, najbardziej zamkniętych środowiskach, dołączając doń lub opuszczając je, jak tylko uznawały to za stosowne. Postępowałem tak z czystego snobizmu, owładnięty obsesyjnym pragnieniem, aby ustawicznie widywano mnie we wszystkich najbardziej niedostępnych środowiskach.

Młody człowiek wpatrywał się we mnie wyłupiastymi oczyma:

— No, co jeszcze? — spytałem go.

— Pańskie wąsy. Są inne niż w dniu, kiedy spotkałem pana po raz pierwszy.

— One ustawicznie się zmieniają i nie ma dnia, żeby były takie same. Teraz są nieco dekadentkie, ponieważ pomyliłem godzinę pańskiej wizyty. Jeszcze nie zdążyły rozpocząć pracy. Dopiero budzą się ze snu, z życia onirycznego.

Po głębszym zastanowieniu słowa te wydały mi się nazbyt banalne jak na Dalego i nie wprawiły mnie, bynajmniej, w nastrój samozadowolenia, przez co musiałem uciec się do oryginalnego pomysłu. Zwracam się do niego:

—Niech pan zaczeka!

Po czym wybiegłem przyczepić do koniuszków wąsów dwa włókna roślinne. Owe włókna mają tę osobliwą właściwość, że bez przerwy zwijają się i odwijają. Wracając zaprezentowałem młodzieńcowi to zjawisko. Wynalazłem wąsy-radary.

12 maja

Krytyka to rzecz szlachetna, godna wyłącznie geniuszy. Jedyńm człowiekiem, który mógł napisać pamflet poświęcony krytyce, byłem ja sam, ponieważ jestem twórcą metody paranoiczno-krytycznej. Dokonałem tego. Ale znów, tak jak w wypadku tego Dziennika, tak jak w wypadku Sekretne go życia, nie powiedziałem wszystkiego, skwapliwie trzymając w rezerwie zgniłe, eksplodujące owoce granatu, a jeśli zada mi się, na przykład, pytanie, jak się nazywa najbardziej przeciętny osobnik, jaki kiedykolwiek istniał, odpowiem: Christian Zervos. Jeżeli usłyszę, że barwy Matisse'a są komplementarne, odpowiem, że nic dziwnego, ponieważ ich jedynym zajęciem jest prawienie sobie komplementów. A poza tym powtórzę raz jeszcze, że może byłoby wskazane zainteresować się nieco malarstwem abstrakcyjnym. W miarę jak staje się ono abstrakcyjne, tak i jego wartość pieniężna stanie się wkrótce abstrakcyjna. Tragizm malarstwa. niefiguratywnego charakteryzuje pewna gradacja: istnieje jakże smutna sztuka abstrakcyjna; następnie to, co jest jeszcze smutniejsze — to malarz abstrakcjonista; smutek przechodzi w tragedię, kiedy mamy do czynienia z miłośnikiem malarstwa abstrakcyjnego. Ale jest jeszcze coś gorszego i groźniejszego: być krytykiem i ekspertem malarstwa abstrakcyjnego. Czasem zdarza się rzecz nieprawdopodobna: cała krytyka zgodnie twierdzi, że coś jest bardzo dobre lub złe. Można wówczas mieć pewność, że wszystko to jest nieprawdą! Trzeba być ostatnim idiotą, aby twierdzić, że jeśli włosy siwieją, jest rzeczą całkowicie normalną, iż kolaż żółknie.

Pamflet swój zatytułowałem: Rogacze starej sztuki współczesnej, ale nie wspomniałem tam, że najmniej wspaniałą kategorią rogaczy są rogacze-dadaści. Podstarzali, siwiejący, ciągle jednak skrajnie antykonformistyczni, do szaleństwa uwielbiają otrzymywać złote medale na pierwszym lepszym biennale za dzieła sklecone ogromnym wysiłkiem woli, po to tylko aby nie spodobały się nikomu. Istnieją jednakowoż rogacze jeszcze mniej wspaniali, jeśli to w ogóle możliwe, aniżeli ci starcy: są to rogacze, którzy przyznali Calderowi nagrodę za rzeźbę. Ten ostatni nie był nawet dadaistą, ale wszyscy mu wierzyli i nikomu nie przyszło do głowy, aby mu powiedzieć, że od rzeźby można wymagać przynajmniej tego, żeby się nie ruszała!

13 maja

Pewien dziennikarz przybywa specjalnie z Nowego Jorku, aby zadać mi pytanie, jakie jest moje zdanie na temat Giocondy Leonarda. Odpowiadam:

— Jestem zagorzałym wielbicielem Marcela Duchampa. Ten właśnie człowiek dokonał owych słynnych przeróbek na twarzy Giocondy. Dorysował jej maleńkie wąsy, już wtedy wyrażające styl Dalego. Pod fotografią dodał drobnymi literami, które można było ledwie odczytać: „L.H.O.O.Q”. Jest jej ciepło w dupę!⁶⁷ Taka postawa Duchampa zawsze budziła mój podziw. W owym czasie wiązało się to z jeszcze ważniejszą kwestią: czy Luwr należy spalić, czy też nie. Wówczas byłem już zapalonym wielbicielem malarstwa ultrareakcyjnego, którego ucieleśnieniem był wielki Meissonier, zawsze uważany przeze mnie za malarza zdecydowanie przewyższającego Cézanne’a. I oczywiście, należałem do tych, którzy powiadali, że Luwru palić nie należy. Jest rzeczą oczywistą, iż jeśli nieoczekiwanie postanowi się go podpalić, trzeba będzie ratować Giocondę, a nawet — w razie potrzeby — przetransportować ją czym prędzej do Ameryki⁶⁸ i to nie tylko z tej racji, że z psychologicznego punktu widzenia jest ona niezmiernie wrażliwa. Na świecie istnieje prawdziwy kult Giocondy. Wiele osób zaatakowało Giocondę, zwłaszcza kilka lat temu, rzucając w nią kamieniami, co stanowi przykład jawnej agresji wobec własnej matki. Jeśli całkowicie znana jest opinia Freuda na temat Leonarda da Vinci, jeżeli znane jest wszystko to, co geniusz tego ostatniego skrywał w jego podświadomości, można z łatwością dojść do wniosku, że malując Giocondę był on zakochany we własnej matce. Nieświadomie namalował postać, która ma wszystkie cechy wysublimowanego macierzyństwa. Ma ona duże piersi i na wszystkich tych, którzy ją kontemplują, kieruje prawdziwie matczyne spojrzenie. Uśmiech jej jest jednak dwuznaczny. Wszyscy mogli dostrzec i widzą jeszcze dziś, że uśmiech ten wyraźnie zabarwiony jest erotyzmem. Cóż zatem przytrafia się biednemu nieszczęśliwcowi owładniętemu kompleksem Edypa, czyli kompleksem zakochania się we własnej matce? Wchodzi do muzeum. Muzeum jest budynkiem użyteczności publicznej. W jego podświadomości to burdel. I właśnie w tym burdelu ukazuje mu się prototyp wizerunku wszystkich matek. Niepokojąca obecność własnej matki, która i rzuca mu łagodne spojrzenie i przesyła dwuznaczny uśmiech, nakłania go do czynu przestępczego. Popelnia matkobójstwo, chwytając pierwszą rzecz, jaka mu wpada pod rękę — kamień — i dziurawiąc nim obraz. Jest to agresja typowa dla paranoika...

Dziennikarz rzucił na odchodnym:

— Warto było odbyć tę podróż!

Jestem przekonany, że warto było odbyć tę podróż! Patrzyłem, jak wspina się w zadumie po zboczu. W pewnej chwili schylił się, aby podnieść jakiś kamień ⁶⁹

Wrzesień

2 września

Otrzymuję telegram od księżnej P. Zawiadamia mnie o swoim przyjeździe w dniu jutrzejszym. Przypuszczam, że dostarczy mi „chińskie skrzypce masturbacyjne”, które jej mąż, książę, obiecał przywieść mi w prezencie ze swej ostatniej podróży do Chin. Po kolacji, pod niebem sprzyjającym wszystkim banalnym skojarzeniom związanym z bezmiarem kosmosu, oddaję się marzeniom o chińskich skrzypcach zaopatrzonych w wibracyjną przystawkę. Przystawkę tę wprowadza się najpierw do odbytu, następnie zaś — i to w pierwszym rzędzie — do cipki. Kiedy tkwi tam wystarczająco głęboko, doświadczony muzyk chwytą smyczek i pociąga nim po strunach skrzypiec. Nie gra, oczywiście, byle czego, ale wykonuje utwór skomponowany specjalnie do celów masturbacyjnych. Dzięki wyszukaniu perwersyjnym frazom, po których następuje wibracyjne diminuendo, spotęgowane działaniem przystawki, muzyk doprowadza ślicznotkę do omdlenia akurat w chwili, gdy w kompozycji pojawiają się tony ekstazy.

Ponieważ erotyczne dywagacje pochłonęły mnie bez reszty, wyławiam jedynie strzępy rozmowy trzech barcelończyków, którzy — oczywista — cały czas usiłują wsłuchiwać się w muzykę sfer. Przypominają sobie historię wygasłej od milionów lat gwiazdy, której światło ciągle jeszcze widoczne jest na nieboskłonie itd... itd... itd...

Ponieważ w żadnym wypadku nie podzielałam ich przesadnego zdziwienia, oświadczam im, że nie dziwi mnie nic, co dzieje się we wszechświecie, i że jest to czysta prawda. Wówczas to jeden z barcelończyków, bardzo znany zegarmistrz, odzywa się do mnie, nie mogąc już wytrzymać:

— Nic z tych rzeczy pana nie dziwi! W porządku. Ale wyobraźmy sobie coś takiego: jest teraz północ, a na horyzoncie widać blask jutrzeńki. Wpatruje się pan intensywnie i nagle widzi pan, jak ukazuje się słońce. O północy! Czy to by pana nie zdziwiło?

— Nie — odpowiadam — nie wywarłoby to na mnie najmniejszego wrażenia.

Barceloński zegarmistrz wykrzyknął:

— A na mnie tak, mnie by to bardzo zdziwiło! Pomyślałbym nawet, że oszalałem.

I wtedy Salvador Dali momentalnie dał próbkę swych ciętych ripost, których sekret znany jest tylko jemu.

— A ja odwrotnie! Sądziłbym, że to słońce zwariowało.

3 września

Przybywa księżna, nie przywożąc mi chińskich skrzypiec odbytowych. Twierdzi, że odkąd wpadłem na pomysł owego sławetnego omdlenia dzięki wibracjom odbytowym, bałaby się przekroczyć granicę, gdyż nie wyobraża sobie, aby była w stanie wyjaśnić celnikom przeznaczenie tego instrumentu. Zamiast skrzypiec przywozi mi porcelanową gęś, którą postawimy na środku stołu. Gęś otwiera się za pomocą wieczka na grzbiecie.

Opowiadam księżnej boskie szczegóły, znane tylko Dalemu, dotyczące gry w gąskę, rychło jednak ogarnia mnie niepowstrzymana fantazja. Wyobrażam sobie, że z mojego polecenia szyję tej gęsi odpiłuje rzeźbiarz, któremu kazałem dodać genitalia na torsie Fidiasza. Kiedy nadejdzie pora kolacji, w porcelanowej gęsi umieszczę żywą gęś. We wnętrzu schowane będą jedynie głowa i szyja żywej gęsi. Jeżeli będzie krzyczeć, wykonam dla niej złotą klamrę, by zamknąć jej dziób. Poza tym wyobrażam sobie otwór przypominający odbyty gęsi. Kiedy nadejdzie pora na najbardziej melancholijne ptifurki, do pokoju wkroczy typowy Japończyk w kimonie, niosąc skrzypce zaopatrzone w wibracyjną przystawkę, którą wprowadzi w odbyty gęsi. I wykonując muzykę deserową, doprowadzi ją do omdlenia, które nastąpi pośród rozmów biesiadników...

Scenę oświetlać będą wielkie, osobliwe kandelabry. Małpy, niczym żywe pancerze, uwięzione będą pod kluczem, ściśnięte srebrnymi blachami, tak że jedyną prawdziwą i żywą częścią małp-kandelabrow będą ich mordki — markotne i skurczone na skutek tych wymyślnych katuszy. Z niezmierną lubością będę obserwował, jak ich ogony poruszają się wściekle z tego samego powodu. Uderzać będą konwulsyjnie o stół, a żywe pancerze, będące jeszcze większymi rogaczami niż jakikolwiek inny gatunek małpy, zmuszone będą z godnością podtrzymywać arcystateczne świece.

W tej samej chwili zstępuje na mnie jowiszowa światłość: przyprawienie rogów dwa tryliony razy bardziej spektakularne niż w wypadku małp polegałoby na tym, aby urogacić króla zwierząt, lwa. Ależ oczywiście! Postaram się o lwa i poopinam go pięknymi rzemieniami ze lśniącej skóry, zakupionymi u Hermesa. Rzemienie te będą podtrzymywać wokół jego cielska tuzin klatek wypełnionych ortolanami i innymi pysznościami, tak aby lew w żadnym wypadku nie zdołał uszczknąć nic z owych sybaryckich kąsków, którymi jest tak szcudrze przyozdobiony. Wiktuały te obserwować będzie dzięki odpowiedniej kompozycji lusterek. W miarę upływu czasu będzie coraz słabszy, coraz słabszy, aż w końcu zdechnie. Doprawdy, piękna to agonია, zdolna wyrzeć wielce destrukcyjny wpływ na wszystkich tych, którzy śledzić będą każdą chwilę tego jakże przykładowego konania.

Święto ku czci zdechłego z głodu lwa winno być obchodzone co pięć lat w merostwach wszystkich małych miejscowości, pięć dni po święcie Trzech Króli. Będzie to zarazem przykład programowania cybernetycznego na rzecz wielkich, nowoczesnych osiedli mieszkaniowych.

4 września

Tego właśnie wrześniowego dnia (wrzesień wrześniowaty, księżycy i lwy majowe), o godzinie czwartej miało miejsce jedno z owych nadzwyczajnych wydarzeń, których autorstwo przypisuję Bogu. Wertując jakąś książkę historyczną, szukam ilustracji z lwem, aż tu nagle ze stronicy, na której jest lew, spada na podłogę mała koperta z żalobną obwódką. Otwieram ją. Była tam karta wizytowa Raymonda Roussela, dziękującego mi za przysłanie którejś z moich książek⁷⁰. Roussel, znany nerwicowiec, popełnił samobójstwo w Palermo właśnie wtedy, gdy — oddawszy mu się duszą i ciałem — zadreślałem się do tego stopnia, że sądziłem, iż postradałem zmysły. Na myśl o tym wspomnieniu ogarnęła mnie fala niepokoju. Padam na kolana, dziękując Bogu za to

ostrzeżenie.

Będąc cały czas w tej pozycji, dostrzegam przez okno przy-bijającą do nabrzeża żółtą łódź Gali. Wychodzę z domu i biegnę uściskać swój skarb. I ją także zsyła mi Bóg. Dziś bardziej niż kiedykolwiek przypomina Iwa z Metro Goldwyn Mayer. Nigdy też nie miałem tak wielkiej ochoty, by ją zjeść. Nie myślę już wcale o agonii Iwa. Proszę Galę, by splunęła mi na czoło, co niezwłocznie czyni.

5 września

Przez nieostrożność uderzam się bardzo silnie w głowę. Zaraz też kilkakrotnie spluwam, przypominając sobie, jak rodzice mawiali mi, że pomaga to w usunięciu skutków uderzenia. Dotykanie guza poprzez łagodny ucisk rodzi cierpienia równie słodkie i uduchowione, jak melancholijne renklody z 15 sierpnia.

6 września

Jedziemy samochodem do Figueras na targ, gdzie kupuję dziesięć kaszkietów ochronnych. Są wykonane ze słomy, podobnie jak czapki, które noszą małe dzieci, aby zamortyzować uderzenie, kiedy się przewracają. W drodze powrotnej kładę każdy z nich na krzesłach o różnej wysokości, które z kolei zakupiła Gala. Niemal liturgiczny wygląd tej kompozycji powoduje u mnie niewielką erekcję. Wchodzę do pracowni, by pomodlić się i podziękować Bogu. Dali nigdy nie będzie szalony. To, co zrobiłem, było najbardziej harmonijną kompozycją na świecie. A wszystkim tym, psychoanalitykom czy też nie, którzy będą pisać całe tomy na temat triumfującej mądrości delirium tego pierwszego świętego tygodnia września, muszę ponadto powiedzieć, gwoli ogólnej wesołości, że niewielkie siedziska tych krzeseł wypełnione były gęsim pierzem. Biada temu, kto jeszcze nie ujrzał w każdym z Łych gęsich piór widma najprawdziwszych cybernetycznych skrzypiec analnych, myślącej maszynierii przeszłości, autorstwa Dalego.

7 września

Dziś jest niedziela. Budzę się bardzo późno. Gdy spoglądam przez okno, widzę schodzącego z łodzi jednego z Murzynów, którzy biwakują w okolicy. Broczy krwią, gdyż niesie w ramionach rannego, umierającego łabędzia —jednego z naszego stadka. Jakiś turysta ugodził go harpunem, sądząc, że odkrył osobliwego ptaka. Na ten widok ogarnia mnie dziwnie kojący smutek. Wybiega Gala, by wziąć łabędzia w ramiona. W tym momencie rozlega się tak donośny hałas, że wszyscy aż podskakują na miejscu. Właśnie z potężnym łomotem opróżniono ciężarówkę antracytu przeznaczonego na opał. Ciężarówka ta zdaje się przywoływać mit. W naszych czasach, jeśli wykazać się odpowiednią czujnością, doszukiwać się można czynów Jowisza w nieoczekiwanej obecności ciężarówek, które są przedmiotami wystarczająco dużymi, aby nie można było ich nie zauważyć.

8 września

Przyjaciele telefonują do mnie, Że złoży nam wizytę król Włoch, Humbert Zamawiam

zespół muzyków, by przybył grać sardany na jego cześć. Król będzie pierwszą osobą kroczącą drogą, którą każę wybielić. Wzdłuż drogi ciągną się krzewy granatu. W trakcie sjesty, przed zaśnięciem, myślę o przyjeździe króla, który na koniuszki mych wąsów nadzieje przez małe otwory dwa kwiaty jaśminu. Śnię niezapomniany sen. Łabędź nafaszerowany jest eksplodującymi owocami granatu, które go rozrywają na strzępy. Dostrzegam najdrobniejsze uszkodzenia wnętrza jak na filmie stroboskopowym. Każde pióro unosi się do góry niczym miniaturowe latające skrzypce.

Budząc się dziękuję na klęczkach Matce Boskiej za ten sen. Dziś był to sen ekscytujący; w przyszłości będzie to niechybnie „sen złotem kapiący”.

9 września

10 września

Muszę wszystko opowiedzieć, nawet jeśli jest to nieprawdopodobne. Moja osobowość absolutnie wyklucza blagowanie lub mistyfikacje, ponieważ jestem mistykiem, a mistyk i mistyfikacja są z natury rzeczy przeciwstawne w myśl zasady naczyń połączonych.

Któregoś ranka pojawił się u mnie stary przyjaciel mego ojca, pragnąc bym potwierdził autentyczność jakiegoś mojego starego obrazu, będącego w posiadaniu jego rodziny. Rzekłem mu na to, że obraz ten jest autentyczny. Zdziwił się, że w ten oto sposób potwierdzam jego autentyczność, nawet nie widząc płótna. A przecież wystarczyło, abym zobaczył jego. Koniecznie chciał pokazać mi obraz, który powstał u wejścia.

- Chodźmy go obejrzeć... Zostawiłem go obok wypchanego niedźwiedzia⁷¹

- To niemożliwe - powiedziałem. - Właśnie za niedźwiedziem Jego Królewska Mość przebiera się w kostium kąpielowy.

Była to święta prawda.

— Ach — odpowiedział z lekka karcącym tonem — ach, gdyby nie był z pana największy kawalarz na świecie, byłby pan największym malarzem!

A przecież nie powiedziałem mu nic innego jak tylko prawdę. Przypomina mi to wizytę u Jego Świątobliwości Piusa XII dwa lata temu. Pewnego ranka schodziłem w wielkim pośpiechu po schodach rzymskiego Grand Hotelu, niosąc dziwną paczkę, owiniętą zaplombowanymi smutkami. W paczce tej znajdował się jeden z moich obrazów. W hallu siedział Rene Clair, czytając gazetę. Uniósł oczy, owe wiecznie sceptyczne i podkrążone oczy (na skutek-jak wiadomo-nieuleczalnego i wrodzonego cierpiętnictwa typowego dla kartezyjańskiego rogowca).

Rzekł do mnie: - Dokąd tak biegniesz o tej porze, wlokąc te wszystkie smutki?

Odpowiedziałem krótko i możliwie z jak największą godnością:

— Idę zobaczyć się z papieżem i zaraz wracam. Zaczekaj tu na mnie.

Rene Clair, nie wierząc oczywiście moim słowom, zwrócił się do mnie teatralnym tonem, siląc się na możliwie jak największą powagę:

— Zechciej pozdrowić go ode mnie jak najuprzejmiej.

Wróciłem dokładnie po trzech kwadransach. Rene Clair cały czas siedział w hallu. Przybity, ze zrezygnowaną miną podsunął mi gazetę, którą właśnie czytał. Tuż po moim wyjściu przeczytał w niej pochodzącą z Watykanu wiadomość o mojej przyszłej wizycie u papieża, co właśnie już się dokonało. W paczce owiniętej zaplombowanymi sznurkami

znajdowała się podobizna Gali, jako Madonny z Port Lligat, którą zaprezentowałem Ojcu Świętemu.

Rene Clair nigdy się nie dowiedział, że pośród trzystu pięćdziesięciu celów mojej wizyty najważniejszym celem było uzyskanie pozwolenia na ślub kościelny z Galą. Nie było to łatwe, zważywszy na fakt, że jej pierwszy mąż, Paul Eluard, żył jeszcze, ku ogólnemu zresztą zadowoleniu.

Wczoraj, 9 września, dokonałem analizy własnego geniuszu, aby się przekonać, czy zwyżkuje, gdyż cyfra 9 jest ostatnim sześcianiem hipersześcianu. Tak właśnie jest! A dzisiaj otrzymuję list, z którego się dowiaduję, że jakiś amerykański kolekcjoner posiada egzemplarz Zdobycia irracjonalności, który podarowałem Adolfowi Hitlerowi wraz z dedykacją w formie krzyżyka.

Jest więc ogromna szansa, abym uwierzył w możliwość odzyskania tego magicznego talizmanu, który sprawił, że Hitler przegrał wojnę lub przynajmniej ostatnią bitwę.

A poza tym, czyż nie wyeliminowałem, dzięki anielskiemu fortelowi (a więc genialnemu), jawnej już groźby własnego szaleństwa, osiągającego apogeum w filozoficznym i euforycznym śnie o eksplodujących łabędziach?

Wczoraj przyjąłem wizytę króla i stanowczo postanowiłem ożenić się z przepiękną Heleną Galą, by tym samym raz jeszcze przyprawić rogi Rene Clairowi⁷² będącemu przyjaznym symbolem wolteriańskiego Saint-Tropez.

Sześcian numer 9 mojej skondensowanej pełni życia zdecydowanie góruje nad dziewiątką z ubiegłego roku. Porównując je, nie mam już przed oczyma ani króla, ani jeszcze jednej wygranej wojny w Europie. Liczy się tylko niezrównany zapał! Zaś Rene Clair zastąpił wyraz nie do wymówienia na „oie”!!!

1957

Maj

Port Lligat, maja

Budzę się i całuję ucho Gali, pragnąc wyczuć końcem języka znajdującą się na nim maleńką wypukłość. W tej samej chwili czuję całkowicie wymieszanego z moją śliną... Picassa. Picassa, który jest najżywotniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałem i który ma pieprzyk na koniuszku lewego ucha. Ten minimalnej wielkości pieprzyk, barwy raczej oliwkowej niż złocistej, znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, co pieprzyk mojej żony, Gali. Można by sądzić, że jest to jego dokładna kopia. Bardzo często, kiedy myślę o Picassie, pieszczę tę maleńką wypukłość w rogu lewego ucha Gali. A zdarza się to często, ponieważ Picasso jest człowiekiem, o którym myślałem najczęściej, jeśli nie liczyć ojca. Obaj są w mniejszym lub większym stopniu Wilhelmami Tellami mojego życia. To właśnie przeciwko ich autorytetowi bohatercko i bez wahania buntowałem się od wczesnych lat młodzieńczych.

Pieprzyk Gali jest jedyną żywą częścią jej ciała, którą mogę całkowicie objąć dwoma palcami. W jakiś irracjonalny sposób umacnia mnie on w wierze w mą feniksologiczną nieśmiertelność. Kocham go bardziej niż matkę, bardziej niż ojca, bardziej niż Picassa,

bardziej nawet niż pieniądze!

Hiszpania zawsze poczytywała sobie za honor ofiarować światu najwznioślejsze i najradykałniejsze przeciwieństwa. Ucieleśnieniem ich były w XX wieku dwie osoby: Pablo Picasso i wasz pokorny sługa. Dwie najważniejsze rzeczy, jakie mogą spotkać malarza współczesnego, to:

1. Być Hiszpanem;
2. Nazywać się Gala Salvador Dali.

Te dwie rzecz: spotkały właśnie mnie. Jak sugeruje moje imię, Salvador, przeznaczeniem moim jest ni mniej, ni więcej, jak zbawienie malarstwa nowoczesnego, by uchronić je od gnuśności i chaosu. Nazywam się Dali, co w języku katalońskim oznacza „pragnienie” i mam Galę. Picasso, oczywiście, też jest Hiszpanem, ale ma on jedynie biologiczny ślad Gali na końcu ucha i nazywa się tylko Pablo, jak Pablo Casals, jak papież, to znaczy, że nazywa się jak inni ludzie.

10 maja

W towarzystwie miewam, co prawda niezbyt regularne, ale za to monotonne spotkania z bardzo eleganckimi kobietami, a więc kobietami o przeciętnej urodzie i monstualnie wręcz rozwiniętej kości ogonowej. Od kilku już lat kobiety te na ogół mają szaloną ochotę poznać mnie osobiście. Rozmowa między nami przebiega Zawsze w ten oto sposób:

KOBIETA-OGON

Znałam już pana, oczywiście, z nazwiska.

JA, DALI

Ja również.

KOBIETA-OGON

Być może zauważył pan, że cały czas obserwowałam pana. Uważam, że jest pan fascynujący.

1

JA, DALI

Ja również.

KOBIETA-OGON

Niech pan nie będzie pochlebcą! Nawet mnie pan nie zauważył.

JA, DALI

Mówię o sobie, proszę pani.

KOBIETA-OGON

Cały czas zastanawiałam się, jak pan to robi, że pańskie wąsy sterczą do góry.

JA, DALI

Daktyle!

KOBIETA-OGON

Co takiego?

JA, DALI

Daktyle. Tak, daktyle, owoce palmy. Na deser zamawiam daktyle, zjadam je i zanim umyję palce po skończeniu jedzenia, przesuвам je lekko po wąsach. To wystarczy, aby sterczały do góry.

KOBIETA-OGON

!!!!!!

JA, DALI

Kolejną korzyścią jest to, że cukier daktylowy wabi nieubłaganie wszystkie muchy.

KOBIETA-OGON

Okropność!

JA, DALI

Uwielbiam niuchy. Czuję się szczęśliwy tylko w słońcu — nagi i pokryty muchami.

KOBIETA-OGON

(już całkowicie przekonana, gdyż z tonu mojej wypowiedzi przebijała oczywista prawda)

Ależ jak można lubić muchy na swoim ciele To takie brudne!

JA, DALI

Brzydę się brudnymi muchami. Lubię tylko superczyste muchy.

KGB I ETA-OGON

Zastanawiam się, jak może pan odróżnić czyste muchy od brudnych.

JA, DALI

Dostrzegam to natychmiast. Nie znoszę brudnej muchy miejskiej, a nawet wiejskiej, o wzdętym brzuchu barwy żółci majonezowej i czarnych skrzydłach, jakby umoczone były w posępnym, nekrofilskim tuszu do rzęs. Lubię wyłącznie muchy czyściuteńkie wesolutkie, w maleńkich, wykonanych z szarej alpagi kostiumach od Balenciagi, jaśniejące niczym wyraźny łuk tęczy, połyskliwe jak łyszczyk, o ciemnoczerwonych oczach i brzuchu barwy szlachetnej żółci neapolitańskiej, takie jak cudowne muszki oliwkowe⁷⁴ z Port Lligat, gdzie nie mieszka nikt oprócz Gali i Dalego. Muszki te z gracją siadają na liściu oliwkowym, zawsze od strony mającej barwę tlenku srebra. To czarodziejki Morza Śródziemnego. Były one natchnieniem filozofów greckich, którzy całe życie spędzali w słońcu, pokryci muchami... Pani rozmarzony wyraz twarzy pozwala wnosić, że należy pani już całkowicie do świata much... Na zakończenie powiem, że w dniu kiedy przeszkodą w mych rozmyślaniach okażą się muchy, które mnie całego oblepią, będę pewien, że moje idee pozbawione są owej energii fali paranoicznej, która znamionuje mój geniusz. Jeżeli natomiast muchy mi nie przeszkadzają, jest to niechybny znak, że świat ducha jest u moich stóp.

KOBI ETA-OGON

W gruncie rzeczy wszystko to, co pan mówi, wydaje się mieć sens! Wobec tego, czy prawdą jest, że pańskie wąsy są antenami, które przekazują do pana idee?

Na to pytanie boski Dali wlatuje w przestworza przechodząc samego siebie: wszystkie swe ulubione tematy zdobi nieprawdopodobnymi szczegółami, zaś koronki Vermeera — splotami tak misternymi, tak obłudnymi, czarodziejskimi i gastronomicznymi, że z kobiety-ogona pozostanie chyba tylko kubańska kość ogonowa, to znaczy — jak się zapewne domyślacie-przyprawiająca rogi konkubina niebiańska, która — za pośrednictwem mojej metody cybernetycznej — zdradza swego chłopca, konkubina konkubiny.

11 maja

Wspominałem już, opisując spotkanie z Freudem, że jego głowa przypomina ślimaka burgundzkiego⁷⁵. Konsekwencją tego jest oczywista: jeśli chce się pochłaniać jego myśli, należy wyjmować je za pomocą igły. Prezentują się wtedy w całej okazałości. W

przeciwnym razie ulatniają się i wszystko przepada — nigdy ich nie poznacie. Skoro już wspominam śmierć Freuda, dodam jeszcze, że ślimak burgundzki na zewnątrz skorupy w sposób zdumiewający kojarzy się z obrazem El Greca. Otóż El Greco i ślimak burgundzki to dwie rzeczy absolutnie nie mające własnego, właściwego im smaku. Z czysto gastronomicznego punktu widzenia są one mniej smakowite niż gumka do mazania.

Ci co lubią ślimaki, wydają już okrzyki oburzenia. W tym miejscu wypada dodać kilka szczegółów. Ślimak i El Greco nie mają — co prawda — właściwego im smaku, ale prezentują nam za to charakterystyczną dla siebie cechę, ową arcyzradką, cudowną wręcz właściwość zwaną „smakowym mimetyzmem transcendentalem”, który polega na wchłanianiu siebie samego oraz kumulowaniu (dzięki ich osobistej jałowości) wszystkich smaków przypraw służących do ich przyrządzania przed konsumpcją. Zarówno jeden, jak i drugi są magicznym punktem, w którym ogniskują się wszystkie smaki. Tak oto wszystkie smaki, jak i każdy z osobna, na bazie których przyrządzany jest ślimak burgundzki oraz El Greco, osiągać mogą homofonicznie i polifonicznie wyżyny śpiewu gregoriańskiego.

Gdyby ślimak miał własny, specyficzny smak, czyż podniebienie człowieka mogłoby kiedykolwiek doznawać rozkoszy jakże pitagorejskiego poznania tego, co reprezentuje w kulturze śródziemnomorskiej ów siny, księżycowy i agonizujący sierp ekstazy euforii, jakim jest ząbek czosnku? Czosnku, co rozjaśnia aż do łez bezchmurne niebo całkowicie pozbawione mdłego smaku ślimaka.

Podobnie mdły smak El Greca jest równie niesubstancjonalnie niespecjalny jak mdły smak ślimaka burgundzkiego bez przypraw. Ale uwaga! Zarówno ślimak burgundzki, jak i El Greco, mają tę cenną zaletę, ową magiczną moc, dzięki której wszystkie smaki stają się orgiastyczne. Opuszczając Włochy, El Greco był bardziej złocisty, bardziej zmysłowy i opasły niż niejeden „kupiec wenecki”. Ale oto przybywa do Toledo i nagle zaczyna przesiąkać wszystkimi smakami, esencjami i kwintesencjami ascetycznego i mistycznego ducha Hiszpanii. Staje się bardziej hiszpański niż Hiszpanie, ponieważ z racji swego ślimakowatego masochizmu, tudzież smakowej nijakości, jest całkowicie podatny na to, by stać się pojemnikiem, bezwolnym ciałem kumulującym stygmaty sefardyjskich rycerzy — piętno ich chwalebne ukrzyżowania. Oto tajemnica jego czarnych i szarych barw o niezmiennym smaku wiary katolickiej i metali wojującej duszy, owego superczosnku w formie niknącego księżyca o barwie agonizującego srebra Lorki, tego samego, co oświetla panoramę Toledo, oraz upstrzone zielonkawymi plamami fałdy i zwoje jego Wniebowzięcia, jednego z najbardziej „wydłużonych” obrazów El Greca, tak bardzo przypominającego kształtem doprawionego ślimaka burgundzkiego, jeżeli uważnie go obserwujecie, jak rozkurcza się i wydłuża na czubku igły! A wtedy wystarczy sobie wyobrazić, że siła ciężkości, która go przyciąga ku ziemi, w wypadku obrócenia obrazu do góry nogami, stałaby się siłą powodującą jego spadanie do nieba!

Tak oto w wizualnej formie przedstawia się argument na rzecz mojej nie udowodnionej jeszcze tezy, wmyśl której Freud nie jest nikim innym, jak „wielkim mistykiem na odwrót”. Gdyby bowiem jego ciężki, doprawiony wszystkimi mazistościami materializmu mózg, miał zwisać przynębiająco, rozciągnięty siłą ciężkości najbardziej podziemnych kloak

ziemskich trzewi, rozciągał się w kierunku innego bezmiaru, bezmiaru niebiańskich otchłani, mózg ten — powiadam — zamiast przypominać niemal amoniakalnego śliniaka śmierci, przypominałby, jako żywo, chwalebne Wniebowzięcie namalowane przez El Greca, o którym przed chwilą wspomniałem.

Mózg Freuda, jeden z najsmakowitszych i najbardziej liczących się w naszych czasach mózgów, jest par excellence ślimakiem ziemskiej śmierci. Tu zresztą tkwi zasadnicza przyczyna wiecznej tragedii geniuszu żydowskiego pozbawionego owej fundamentalnej cechy, jaką jest Piękno. Jest to warunek konieczny, by w pełni poznać Boga, który musi być nieskończenie piękny.

Zdaje się, że całkiem bezwiednie uwieczniłem ziemską śmierć Freuda na portrecie wykonanym ołówkiem. Narysowałem go rok przed jego śmiercią. Chodziło mi w szczególności o to, aby wykonać czysto morfologiczną podobiznę geniusza psychoanalizy. Nie usiłowałem stworzyć ujęcia psychologicznego, co byłoby zresztą rzeczą naturalną. Po ukończeniu portretu poprosiłem Stefana Zweiga, który był moim pośrednikiem w kontaktach z Freudem, aby mu go zaprezentował. Z niepokojem oczekiwałem ewentualnych uwag z jego strony. Jego okrzyk podczas wspólnego spotkania całkowicie zaspokoił moją próżność:

— Nigdy nie widziałem tak doskonałego prototypu Hiszpana! Cóż za fanatyk!

Zakomunikował to Zweigowi, po tym jak długo wpatrywał się we mnie straszliwie przenikliwym wzrokiem. Jednak odpowiedź Freuda otrzymałem dopiero cztery miesiące później. Miało to miejsce w Nowym Jorku: spożywałem obiad wraz z Galą, Stefanem Zweigiem i jego żoną. Byłem tak niecierpliwy, że nie doczekałem nawet kawy, by spytać, jak zareagował Freud na widok mojego portretu.

— Bardzo mu się spodobał — odparł Zweig.

Ja jednak nalegałem, by powiedział, czy Freud poczynił jakieś konkretne uwagi lub czy zdobył się na najdrobniejszy choćby komentarz, który okazałby się dla mnie bezcenny. Wydawało mi się, że Stefan unikał odpowiedzi, a może zaabsorbowany był jakimiś myślami. Twierdził, że Freud docenił „delikatność rysów”, po czym pograżył się w myślach, które nie dawały mu spokoju: chciał, byśmy przyjechali do niego do Brazylii. To będzie — powiadał — cudowna podróż. Przyniesie korzystne zmiany w naszym życiu. Oprócz tego tematu ustawicznie powracał podczas obiadu do problemu żydowskiego w Niemczech, który stał się jego prawdziwą obsesją. Wydawało mi się, że naprawdę muszę wyjechać do Brazylii, by móc przeżyć. Walczyłem ze sobą; strefa podzwrotnikowa przejmowała mnie grozą. Malarz żyć może tylko wtedy — broniłem się — gdy otacza go szara barwa drzew oliwnych i czerwień szlachetnej ziemi Sieny. Moja niechęć do egzotyki sprawiła, że w oczach Zweiga pojawiły się łzy. I wówczas rozprawił o rozmiarach brazylijskich motyli, aleja zgrzytałem zębami: motyle zawsze i wszędzie są zbyt duże. Zweig był tym wielce strapiony. Wydawało mu się, że tylko w Brazylii Gala i ja moglibyśmy doznać największego szczęścia.

Państwo Zweigowie zostawili nam starannie wykaligrafowany adres. Stefan nie wierzył, że cały czas będę tak zawzięty i uparty. Odnosiło się wrażenie, że nasz przyjazd do Brazylii jest dla tych dwojga kwestią życia lub śmierci!

Po dwóch miesiącach dotarła do nas wiadomość o samobójstwie Zweigów w Brazylii.

Na ten desperacki krok zdecydowali się z pełną świadomością, wymieniwszy uprzednio ze sobą korespondencję.

Zbyt duże motyle?

Dopiero czytając epilog pośmiertnej książki Stefana Zweiga Świat jutrzejszy⁷⁶ poznałem całą prawdę o swoim rysunku. Freud nigdy nie ujrzał własnego portretu. Zweig nikczemnie mnie okłamał. Jego zdaniem portret ten przepowiadał rychłą śmierć Freuda, i to tak przekonywająco, iż nie śmiał mu go zaprezentować, obawiając się, że niepotrzebnie go tym poruszy, ponieważ wiedział już, że jest bardzo chory na raka.

Dla mnie Freud jest bezsprzecznie bohaterem. Pozbawił on lud żydowski największego i najznamienitszego spośród wszystkich jego bohaterów: Mojżesza. Freud wykazał, że Mojżesz był Egipcjaninem i w prologu do książki o Mojżeszu — najlepszej i najtragiczniejszej z jego książek — informuje czytelników, że dowód ten był nie tylko jego najambitniejszym i najtrudniejszym zadaniem, ale także najbardziej bolesnym i okrutnym doświadczeniem!

Nie ma już wielkich motyli!

Listopad

Paryż, 6 października

Joseph Foret dostarczył mi pierwszy egzemplarz Don Kichota ilustrowany przeze mnie techniką, która — odkąd ją wprowadziłem — robi furorę na całym świecie, mimo że właściwie nie sposób jej naśladować. Raz jeszcze Salvador Dali odniósł zwycięstwo godne Cezara. I to nie pierwsze. Już w wieku dwudziestu lat założyłem się, że zdobędę Grand Prix w konkursie organizowanym przez Akademię Królewską w Madrycie, malując obraz w ten sposób, że ani przez moment mój pędzel nie dotknie płótna. Oczywiście konkurs ten wygrałem. Obraz przedstawiał nagą dziewczinę. Stojąc przeszło metr od sztalugi wylewałem nań farby, które rozbryzgiwały się na płótnie. Rzecz niesłychana — nie było ani jednej zbędnej plamy. Każde chłapięcie było nieskazitelne.

Rok temu, dokładnie w tym samym dniu, tym razem w Paryżu, założyłem się o to samo. Latem Joseph Foret pojawił się w Port Lligat, przywożąc wielkie kamienie litograficzne. Bardzo mu zależało, aby kamienie te posłużyły mi do pracy nad ilustracjami do Don Kichota. W tamtym okresie nie byłem zwolennikiem sztuki litograficznej z powodów estetycznych, psychologicznych i filozoficznych. Uważałem, że metoda ta pozbawiona jest cech aptekarskich, monarchicznych tudzież cierpiętniczych. Dla mnie była to jedynie metoda liberalna, biurokratyczna oraz miękka. Upór Foreta, który cały czas dostarczał mi kamieni, potęgował jedynie moją antylitograficzną Wolę mocy aż do granic agresywnej nadpobudliwości. I właśnie wtedy anielska myśl oświeciła szczęki mojej mózgowicy. Czyż Gandhi nie mawiał, że aniołowie rozwiązują złożone problemy bez przygotowania? W ten oto sposób, podobnie jak anioł, z miejsca rozwiązałem problem mojego Don Kichota.

Nie mogłem ugodzić kulą z arkebuza w papier, tak aby go nie rozerwać, mogłem natomiast strzelać do kamienia, nierozłupując go. Kiedy Foret ostatecznie mnie już przekonał, zatelegrafowałem do Paryża, by przygotowano mi arkebuz. Mój przyjaciel,

malarz, Georges Mathieu, podarował mi niezmiernie cenną piętnastowieczną rusznicę z kolbą inkrustowaną kością słoniową. I tak 6 listopada 1965 roku, otoczony stu owcami złożonymi w ofierze na arcyunikatowym pergaminowym egzemplarzu, wystrzeliłem z pokładu barki na Sekwanie pierwszą ołowianą kulę na świecie, wypełnioną atramentem litograficznym. Zmiażdżona kula zainauguowała erę „buletyzmu”⁷⁷. Na kamieniu pojawiła się boska plama, coś na kształt skrzydła anielskiego. Jego eteryczna forma oraz dynamiczna precyzja wykonania były, w porównaniu z jakąkolwiek inną dotychczas stosowaną techniką, doskonalsze. Przez następny tydzień oddawałem się kolejnym fantastycznym eksperymentom. W dzielnicy Montmartre, w obecności szalejącego z zachwytu tłumu, otoczony osiemdziesięcioma dziewczętami, które doprowadziłem niemal do ekstazy, napełniłem nawilżonym w atramencie miękiszem chleba dwa wydrążone rogi nosorożca, po czym — przywołując pamięć Wilhelma Tella — zmiażdżyłem je na kamieniu. I stał się cud, za który należy dziękować Bogu na kłęczkach: rogi nosorożca narysowały dwa rozerwane skrzydła wiatraka. I stał się jeszcze jeden cud: pierwsze odbitki, jakie otrzymałem, były poplamione na skutek złej techniki drukarskiej. Uważałem za swój obowiązek utrwalić i jeszcze bardziej zaakcentować te plamy, pragnąc ukazać paranoicznie całą elektryczną tajemnicę liturgii tej sceny. Don Kichot spotykał na zewnątrz paranoicznych olbrzymów, których nosił w sobie. W scenie z bukłakami wina Dali dostrzegł chimeryczną krew bohatera oraz krzywą logarytmiczną tworzącą wypukłość czoła Minerwy. Co więcej — Don Kichot, będąc Hiszpanem i realistą, nie potrzebuje lampy Aladyna. Wystarczy, że ujmie w palce żołędź, aby odrodził się Złoty Wiek.

Gdy tylko powróciłem do Nowego Jorku, moje „buletystyczne” doświadczenia stały się przedmiotem sporu w środowisku producentów telewizyjnych. Jeśli zaś o mnie chodzi, bez ustanku spałem, aby sny ukazały mi najbardziej precyzyjną metodę wystrzeliwania napełnionych atramentem kul, w celu osiągnięcia matematycznej kompozycji śladów po wystrzałach. Wraz ze specjalistami od broni palnej w Nowojorskiej Akademii Wojskowej każdego ranka budziłem się na dźwięk wystrzałów z arkebuza. Każda eksplozja zwiastowała narodziny całkowicie gotowej litografii, którą pozostawało tylko podpisać, a którą wielbiciele wyrwali mi z rąk za bajeczne sumy. Po raz kolejny zauważyłem, że wyprzedziłem ostatnie odkrycia naukowe, kiedy to trzy miesiące po moim pierwszym wystrzale z arkebuza dowiedziałem się, że, podobnie jak ja, uczeni używają strzelby oraz kuli, pragnąc zgłębić tajemnice stworzenia.

W maju tego roku ponownie zawitałem do Port Lligat. Joseph Foret czekał już tam na mnie z następnym zapasem kamieni, którymi wypełniony był bagażnik jego samochodu. Kolejne wystrzały z arkebuza znów zwiastowały narodziny Don Kichota. Przygnębiony, przeobrażał się w młodzieńca, którego niezmierny smutek był całkowicie usprawiedliwiony, zważywszy na jego zalaną krwią głowę. W świetle godnym samego Vermeera, sączącym się przez hiszpańsko-mauretańskie witraże, pogrążony był w lekturze romansów rycerskich. Za pomocą kuli silly past, podobnej do tych, jakimi bawią się amerykańskie dzieci, tworzyłem spirale, którymi spływał atrament litograficzny: była to anielska postać o złocistych włosach — narodziny dnia. Don Kichot, paranoiczny mikrokosmos, zlewał się z Drogą Mleczną, to znów oddzielał się od niej. Nie jest ona

niczym innym, jak drogą świętego Jakuba.

Święty Jakub czuwał nad moim dziełem. Objawił mi się 25 sierpnia, w dniu swego święta, kiedy to w ramach kolejnych doświadczeń stworzyłem plamę, która zapisze się złotymi zgłoskami w historii dyscyplin morfologicznych. Na wiek wieków uwieczniona wstała na jednym z kamieni, które z niezmiernym uporem Joseph Foret żarliwie poświęcał błyskom mojej wyobraźni. Wziąłem pustą skorupę po ślimaku burgundzkim i wypełniłem ją po brzegi atramentem litograficznym. Następnie włożyłem ją do lufy arkebuza i wycelowałem w kamień znajdujący się w bezpośredniej bliskości. Gdy padł strzał, cały płyn dokładnie wypełniający spiralę skorupy rozbryznął się tworząc plamę, która - w miarę jak ją wnikliwie studiowałem - wydawała mi się coraz bardziej boska: przybierała ona jakby formę „galaktyki przedślimakowej” w decydującym stadium jej powstawania. Dzień świętego Jakuba będzie więc dla historii dniem najbardziej przekonującego zwycięstwa Dalego nad antropomorfizmem.

Nazajutrz po owym błogosławionym dniu, na skutek gwałtownej burzy pojawiło się mnóstwo maleńkich ropuszek, których nie omieszkałem zanurzyć w atramencie, by stały się charakterystycznym elementem haftowanego stroju Don Kichota. Ropuchy te ucieleśniały wilgotność płazów, w przeciwieństwie do eksplozji suszy na wyżynach kastylijskich, królujących w głowie bohatera. Chimera chimera. Nic już nie było chimera. Sancio jawił się, niczym w myślach Cervantesa, jako „nierealny i namacalny”, natomiast Don Kichot dotykał palcem smoków doktora Yunga.

Dziś, kiedy Joseph Foret położył mi na stole arcyunikatowy egzemplarz, mogę wznieść okrzyk: „Brawo, Dali! Zilustrowałeś Cervantesa. Każda z twoich plam kryje w sobie wiatraki olbrzyma. Twoje dzieło jest bibliofilskim olbrzymem, będąc zarazem szczytowym osiągnięciem wszystkich najplodniejszych sprzeczności litograficznych... „

1958

Wrzesień

Port Lligat, 1września

Niełatwo jest przyciągać uwagę ogółu przez dobre pół godziny. Mnie się to udawało przez dwadzieścia lat, i to dzień w dzień. Miałem dewizę następującą: niech się mówi o Dalim, nawet jeśli mówi się o nim dobrze. Z mojego to powodu przez dwadzieścia lat gazety publikowały wysyłane dalekopisem najbardziej zaskakujące wiadomości naszych czasów:

PARYŻ - Dali wygłasza odczyt na Sorbonie na temat Koronczarki Vermeera oraz Nosorożca. Przyjeżdża białym rolls royce'm, wypełnionym tysiącem białych kalafiorów.

RZYM - W iluminowanych pochodniami ogrodach księżnej Pallavicini Dali rodzi się na nowo, wyłaniając się z nienacka z sześciennej jaja, pokrytego magicznymi napisami Raimundusa Lullusa, i wygłasza płomienne przemówienie po łacinie.

GERONA, HISZPANIA - W Kaplicy Matki Boskiej Anielskiej odbył się niedawno w kameralnym gronie ślub kościelny Dalego i Gali. Dali oświadcza: jesteśmy teraz istotami archanielskimi!

WENECJA - Gala i Dali, przebrani za dziewięciometrowych gigantów, schodzą po stopniach pałacu Beistegui i tańczą pośród oklaskującego ich tłumu na La Piazza.

PARYŻ - W dzielnicy Montmartre, naprzeciwko Moulin de la Galette, Dali ilustruje Don Kichota, strzelając z arkebuza do kamienia litograficznego. Oświadcza: wiatraki dają mąkę — a ja zrobię teraz z maki wiatraki. I napełniając dwa rogi nosorożca mąką oraz nawilżonym w atramencie litograficznym miększym chleba, ciska je energicznie, realizując to, co przed chwilą powiedział.

MADRYT - Dali wygłasza przemówienie zachęcające Picassa do powrotu do Hiszpanii. Rozpoczyna je od następujących słów: Picasso jest Hiszpanem — ja także! Picasso jest geniuszem -ja także! Picasso jest komunistą -ja już nie!

GLASGOW - Jednogłośnie decyzją władz miejskich wstał niedawno zakupiony słynny obraz Dalego Chrystus Św. Jana od Krzyża. Kwota, jaką zapłacono za to dzieło, wywołuje powszechne oburzenie i zaciekle dyskusje.* Po zakupieniu obrazu przez The Glasgow Art Gallery Dali zamieścił w „The Scottish Art Review” artykuł pt. „One of the first Objections”, rozpętując tym polemikę na temat zasadności zakupu i wydania na ten cel tak wielkiej kwoty.

NICEA - Dali zapowiada film z Anną Magnani, Mięsa taczka, w którym bohaterka zakochuje się do szaleństwa w taczce.

PARYŻ — Dali przemierza miasto, niosąc wraz ze współuczestnikami orszaku piętnastometrowej długości chleb, który złożony zostaje na scenie Theatre de l'Etoile. Dali wygłasza tam historyczne przemówienie poświęcone Cosmic glue Heisenberga.

BARCELONA - Dali i Luis Miguel Dominguin postanowili zrealizować surrealistyczną corridę, po której helikopter jako infantka przystrojona w suknię od Balenciagi uniesie ku niebu złożonego w ofierze byka. Zwierzę zostanie umieszczone na świętej górze Montserrat, by paść łupem sępów. Równocześnie, na zbudowanym naprędce Parnasie, Dominguin dokona koronacji Gali, przebranej za Ledę, u stóp której Dali wyłoni się nagi z jaja.

LONDYN - W planetarium odtwarzany jest układ gwiazd na niebie Port Lligat w chwili narodzin Dalego. Twierdzi on wszem i wobec, opierając się na badaniach swego osobistego psychiatry, doktora Roumequere⁷⁸, że wraz z Galą jest ucieleśnieniem kosmicznego i boskiego mitu o Dioskurach (Kastor i Polluks). „Gala i ja jesteśmy dziećmi

Jowisza”.

NOWY JORK - Dali pojawia się w Nowym Jorku ubrany w złocisty strój kosmonauty. Znajduje się wewnątrz słynnego „ovocypedu” własnego pomysłu. Jest to przezroczysta kula, nowy środek lokomocji, którego koncepcji należy doszukiwać się w fantazjach wywołanych wewnątrzmacicznymi uniesieniami.

Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy nadmiar pieniędzy, reklamy, sukcesu czy popularności nie zrodził we mnie — nawet przez ćwierć sekundy — chęci popełnienia samobójstwa... Wręcz przeciwnie — lubię te rzeczy. Ostatnio pewien znajomy, nie mogąc zrozumieć jak mogę znieść cały ten hałas wokół swojej osoby, spytał mnie uwodzicielsko:

— A więc pańskie rozliczne sukcesy nie przysparzają panu najmniejszych problemów?

— Nie!

Po czym dorzucił błagalnym tonem:

— Nawet ociupinki nerwicy? (ton jego głosu zdawał się mówić: „litości”).

— Nie! — odpowiedziałem stanowczo.

Następnie zaś, ponieważ był on niezmiernie bogaty, dodałem: — Mogę panu udowodnić, że jestem w stanie z miejsca zaakceptować sumę 50.000 dolarów, i to bez najmniejszego wahania.

Wszyscy, szczególnie w Ameryce, pragną poznać tajemnicę mojego sukcesu. Zawdzięczam go metodzie, której nazwa brzmi: „metoda paranoiczno-krytyczna”. Opracowałem ją dobre trzydzieści lat temu i stosuję z powodzeniem, chociaż dziś jeszcze nie wiem, na czym ona polega. Ogólnie rzecz biorąc, chodziłoby tu o jak najdokładniejszą klasyfikację najbardziej nawet delirycznych zjawisk w celu nadania namacalnie twórczego charakteru moim najbardziej obsesyjnie niebezpiecznym pomysłom. Ta jedyna w swoim rodzaju metoda sprawdza się wyłącznie wtedy, gdy obecny jest miękki czynnik sprawczy pochodzenia boskiego, żywe jądro komórkowe, Gała.

Tak więc, dla przykładu, uraczę czytelników Dziennika opisem jednego dnia — dnia poprzedzającego mój ostatni wyjazd z Nowego Jorku, a przebiegającego pod znakiem słynnej metody paranoiczno-krytycznej.

Nad ranem śnię, że jestem autorem kilku białych ekskrementów, bardzo czystych i wielce przyjemnych w wydalaniu. Budząc się mówię do Gali:

— Dzisiaj będzie złoto!

Albowiem ów sen, według Freuda, jednoznacznie wskazywał na moje pokrewieństwo z kurą o złotych jajach i legendarnym osłem, który — kiedy unoszono mu ogon — srał złotymi monetami, nie mówiąc już o boskiej, półpłynnej złotej biegunce Damie. Ja sam od tygodnia czułem, że staję się tygłem alchemika. Planowałem zaprosić do Champagne-Room w „El Morocco” na godzinę dwunastą w nocy, w przeddzień wyjazdu z Nowego Jorku, grupę przyjaciół, wśród których wyróżniały się cztery najpiękniejsze modelki miasta, jaśniejące już niczym zapowiedź potencjalnego Parsifala. Ów potencjalny Parsifal, o którym myślałem cały dzień, fantastycznie potęgował całą moją moc twórczą; moja energia, która tego dnia była niezmiernie, z łatwością

wyeliminować miała wszelkie problemy, aplikując im najprzód musztrę w pruskim stylu.

O jedenastej trzydzieści opuszczam hotel, mając na uwadze wytyczone cele: wykonać fotografię typu irracjonalnego u Philippe'a Halsmana oraz —jeszcze przed obiadem — postarać się sprzedać swój obraz Święty Jakub z Compostelli, patron Hiszpanii amerykańskiemu miliarderowi i mecenasowi sztuki Huntingtonowi-Hartfordowi. Najzupełniej przypadkowo winda zatrzymuje się na drugim piętrze, gdzie oklaskuje mnie tłum oczekujących dziennikarzy. Okazuje się, że kompletnie zapomniałem o konferencji prasowej, w trakcie której miałem przedstawić projekt nowej buteleczki do perfum. Jestem fotografowany w momencie przyjmowania czeku, który zginam i wkładam do kieszeni kamizelki, nieco przy tym zmartwiony, gdyż nie miałem innego wyjścia, jak od ręki narysować flakon zgodnie z umową, O której zapomniałem. Nie zastanawiając się długo, podnoszę zużytą przez fotografa żarówkę od lampy błyskowej. Żarówka ma odcień anyżówki. Pokazuję ją niczym cenny przedmiot, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym.

—Oto mój pomysł!

— To nie jest narysowane!

— Tak jest o wiele lepiej! Pański model jest całkowicie gotowy! Wystarczy go tylko dokładnie odtworzyć!

Przyciskam lekko żarówkę do stołu: nieznacznie pęka i spłaszcza się na tyle, by móc utrzymać się pionowo. Prezentuję oprawkę, która będzie złotym korkiem flakonika.

Zachwycony producent perfum wykrzykuje:

— To jajko Kolumba, można się było tego spodziewać! Ale, drogi Mistrzu, jak brzmi nazwa tych unikatowych perfum, które winny symbolizować Nową Falę?

Dali odpowiada jednym słowem:

—Flash!

— Flash! Flash! Flash! — krzyczą wszyscy. — Flash!

Wszystko to przypomina super-show Charlesa Treneta. Jeszcze przy drzwiach atakują mnie dziennikarze:

—Co to jest moda?

— To, co staje się niemodne.

Błagają mnie, abym zaprezentował ostatni pomysł Dalego dotyczący tego, co powinny nosić kobiety.

Wychodząc odpowiadam:

— Piersi na plecach!

— Dlaczego?

— Ponieważ piersi zawierają białe mleko, dające anielski efekt.

— Czy to aluzja do nieskazitelnej karnacji aniołów? — pada pytanie.

— To aluzja do kobiecych łopatek. Jeżeli wystrzelić dwie strugi mleka, przedłużając w ten sposób ich łopatki, fotografując ten efekt metodą stroboskopową otrzyma się właśnie „anielskie skrzydła kropelkowe”, podobne do tego, co malował Memling.

Wpadłszy na ten anielski pomysł, udaję się na spotkanie z Philippem Halsmanem z niezłomnym postanowieniem wskrzeszenia metodą fotograficzną skrzydeł kropelkowych, które przed chwilą tak mnie zaskoczyły i zafascynowały.

Niestety Halsman nie miał odpowiedniego sprzętu do fotografii stroboskopowej, wobec tego postanawiam sfotografować na miejscu historię kapilarną marksizmu. W tym celu przymocowuję do wąsów sześć krążków białego papieru. Na każdym z nich Halsman umieszcza kolejno następujące podobizny: Karola Marksa z lwią brodą i czupryną; Engelsa — z tymi samymi atrybutami kapilarnymi, choć znacznie dyskretniejszymi; prawie łysego Lenina — z przerzedzonymi wąsami i bródką; Stalina — z gęstym owłosieniem ograniczonym do wąsów; krótko ostrzyżonego Malenkowa. Ponieważ pozostaje mi ostatni krążek, rezerwuję go proroczco dla Chruszczowa, którego głowa przypomina księżyc w pełni⁷⁹. Dziś Halsman wyrывa sobie z głowy resztki włosów, zwłaszcza po powrocie z Rosji, gdzie fotografia ta, zamieszczona w jego książce Wąsy Dalego, była jedną z tych, które zrobiły największą furorę. Podążam do Huntingtona-Hartforda, trzymając w jednej ręce ostatni krążek bez twarzy, w drugiej zaś reprodukcję mojego Świętego Jakuba, którą miałem mu zaprezentować. Jak tylko znalazłem się w windzie, przypomniałem sobie, że piętro nad Huntingtonem-Hartfordem mieszka książę Ali Khan. Kierując się wrodzonym i bezgranicznym snobizmem, po chwili wahania wręczam windziarzowi reprodukcję Świętego Jakuba, by dał ją księciu w prezencie. Momentalnie czuję się rogaczem, gdy zjawiam się u Huntingtona-Hartforda nie tylko z pustymi rękoma, ale także z pustym krążkiem, wyglądającym prześmiesznie w dwójnasób, gdyż na dodatek zwisa on na nitce. Zaczynam rozkoszować się absurdalnością sytuacji mówiąc sobie, że wszystko jakoś się ułoży. I rzeczywiście — moja metoda paranoiczno-krytyczna natychmiast posłuży się tym niezwykle zdarzeniem, by przekształcić je w najbardziej owocny epizod dnia. Kapitał Karola Marksa dawał już o sobie znać w przyszłym „daliniańskim” jajku Krzysztofa Kolumba. Huntington-Hartford z miejsca zadaje mi pytanie, czy przynoszę barwną reprodukcję Świętego Jakuba. Odpowiadam, że nie. Wobec tego dopytuje się, czy można udać się do galerii, by obejrzeć ten wielki obraz. I wtedy, właściwie nie bardzo wiedząc dlaczego, postanawiam, że Święty Jakub musi być sprzedany w Kanadzie. —Lepiej będzie, jak wykonam dla pana inny obraz: Odkrycie Ameryki przez Krzysztofa Kolumba.

Była to jakby magiczna formuła, ponieważ przyszłe muzeum Huntingtona-Hartforda miało być wzniesione przy Columbus circle, naprzeciw jedyne go pomnika przedstawiającego Krzysztofa Kolumba. Tę zbieżność dostrzegliśmy dopiero kilka miesięcy później. Mój przyjaciel, doktor Colin, przerywa mi pisanie, pytając, czy zauważyłem, że windę w domu księcia wykonała firma Dunn and Co. Otóż, co się tyczy zakupu Świętego Jakuba, świadomie i podświadomie myślałem o lady Dunn; i oto okazuje się, że właśnie ona później go zakupiła.

Jeszcze dziś wdzięczny jestem Philippe'owi Halsmanowi, że nie zgodził się na to, aby na ostatnim krążku umieścić portret Chruszczowa. Sądzę, że mam prawo nazwać go teraz swoim „columbus circle”, gdyż w przeciwnym razie, być może, nigdy nie namalowałbym kosmicznego snu Krzysztofa Kolumba. Odkryte ostatnio przez historyków sowieckich mapy. całkowicie potwierdziły tezę, jaką ilustruje mój obraz. Dzięki temu dzieło to ma wszelkie dane ku temu, by zostało zaprezentowane na wystawie w Rosji. Właśnie dziś mój znajomy, S.Hurok, wyjeżdża z reprodukcją tego płótna celem zaproponowania

rządowi sowieckiemu wymiany kulturalnej, przez co dołączę do dwóch moich wielkich rodaków, Victorii de Los Angeles i Andresa Segovii.

Przybywam pięć minut przed czasem, by spożyć z Galą obiad. Nie mam nawet kiedy usiąść. Jest do mnie telefon z Palm Beach. W słuchawce rozlega się głos pana Winstona Guesta, który zamawia u mnie Dziewicę z Guadalupe, jak również portret swego dwunastoletniego syna, Alexandra, u którego dostrzegłem włosy na jeża jak u pisklęcia. Miałem wreszcie spocząć, kiedy poproszono mnie do sąsiedniego stolika. Kolejna propozycja: czy zgodziłbym się wykonać emaliowane jajko w stylu Faberge?⁸⁰. Jajko to winno mieścić w sobie perłę.

Właściwie nie wiedziałem, czy jestem głodny, czy też źle się czuję; można to było równie dobrze tłumaczyć lekkimi mdłościami, co odczuwalnym całym czasem napięciem erotycznym, wzmagającym się na myśl o Parsifalu, który czekał na mnie o północy. Cały mój obiad to jedno jajko na miękko z grzankami. I znów należy zaznaczyć, że dzięki mojej paranoicznej biochemii trzewiowej metoda paranoiczno-krytyczna zdaje się działać skutecznie, dostarczając białka niezbędnego do powstania wszystkich niewidzialnych i urojonych jajek, które przez całe popołudnie nosiłem nad głową, jakże podobnych do jajka euklidesowej doskonałości, jakie Piero della Francesca zawiesił nad głową Matki Boskiej. Jajo to stawało się dla mnie mieczem Damoklesa i tylko dzięki zdalnie sterowanym pomrukowi nieskończenie czulego lwiątko (mówię o Gali) nie spadło ono i nie rozłupało mi czaszki.

W półmroku Champagne-Room błyszczał już erotyczny Satelita nocy, mój Parsifal. Myśląc o nim, z każdą sekundą stawałem się coraz bardziej cnotliwy. Kiedy zajechałem na górę windą książąt i miliarderów, poczułem — wiedziony wyłącznie szlachetnymi pobudkami — że winienem zejść do Piwnicy Cyganów. Tak więc, zmordowany, złożę wizytę cygańskiej tancerzce, la Tchunga, która przygotowywała się do występów dla hiszpańskich uchodźców w Greenwich Village.

W tym momencie flesze fotografów, którzy chcą nas ująć razem, po raz pierwszy w życiu wydają mi się haniebnie odrażające: czuję, że nadeszła chwila pożarcia ich, by następnie móc to wszystko wydalić z własnych wnętrzności. Proszę jakiegoś znajomego, aby odwiózł mnie do hotelu. I znów w głębi mych zamkniętych, umęczonych oczu jawi się migocący obraz jajek sadzonych bez talerza: zaczynam obficie rzygać i prawie jednocześnie wydalać takie ilości gówna, jak jeszcze nigdy w życiu. Przypomina mi to ów delikatny problem, kojarzący się z dylematem Buridana⁸¹. Zapoznał mnie z nim Jose Maria Sert, opowiadając o osobie mającej niesamowicie cuchnący oddech, której — kiedy odbiło jej się, i to w sposób uwłaczający wszelkim normom przyzwoitości — taktownie udzielono następującej rady:

— Byłoby lepiej, gdyby pan to wypuścił dupą.

Kładę się do łóżka zlanym zimnym potem, przypominającym rosę alchemików, a zakwitający na mych wargach uśmiech, z gatunku najbardziej osobliwych i najinteligentniejszych, jakie Gala kiedykolwiek u mnie dostrzegła, wywołuje na jej twarzy pytanie, na które nie jest w stanie sobie odpowiedzieć, być może po raz pierwszy w naszym wspólnym życiu. Odzywam się do niej:

— Przed chwilą doznałem równoczesnych i bardzo przyjemnych wrażeń: mimo że czułem, iż jestem w stanie rozbić bank, zdawało mi się, że tracę właśnie fortunę.

Albowiem nie zważając na skrupuły Gali, niewiasty o nieskalanej, tysiącrotnie rafinowanej prawości, mającej zwyczaj bezlitosnego respektowania obowiązujących cen realnych, mógłbym z łatwością, nie uciekając się do żadnych matactw, spotęgować w sposób nieprawdopodobny, już i tak złoty rezultat swojej słynnej metody paranoiczno-krytycznej. A zatem paroksytyczna energia jajka alchemika, jak wierzono w średniowieczu, po raz kolejny pozwala na przemianę ducha i metali szlachetnych.

Mój osobisty lekarz, doktor Carbaileiro, niezwłocznie pojawia się u mnie: wyjaśnia, że jest to tylko tak zwany dobowy „wyciek”. Jutro będę mógł wyjechać do Europy, gdzie zapał mój okaże się na tyle wystarczający, bym zrealizował swoje „kledanistyczne” marzenie⁸²; najbardziej ukryte, najcenniejsze marzenie, którego właściwie przez cały dzień doszukiwałem się bezwiednie we wszystkich pokładach irracjonalności i wyobraźni, pragnąc doczekać się triumfu swojego ascetyzmu oraz absolutnej i nieskalanej wierności wobec Gali. Każę powiadomić gości, że nie mogę do nich dołączyć, óraz zatelefonować do Champagne-Room, by zgotowano im królewskie przyjęcie (niemniej z pewnymi ograniczeniami). W ten oto sposób objawił się mój nocny Parsifal, bez jajek i bez talerza, podczas gdy Gala i Dali zasypiali snem sprawiedliwych...

Nazajutrz, gdy na pokładzie „United States” rozpoczynałem powrotną podróż do Europy, zadawałem sobie pytanie: bardzo chciałbym wiedzieć, kto dzisiaj może w ciągu jednego dnia (dnia mieszczącego się już w czasoprzestrzeni „ekskrementalnego” jaja mojego porannego snu) przemieni w twórczą wyobraźnię całe to bezkształtne i surowe tworzywo deliryczne. Kogóż innego olśniłoby jedno jajo, by dzięki temu móc doczepić do swych niepowtarzalnych wąsów całą przeszłą i przyszłą historię marksizmu? Kto byłby w stanie znaleźć numer

77.758.469.312, liczbę magiczną, zdolną zwieść na manowce całą sztukę nowoczesną, a malarstwo abstrakcyjne w szczególności? Komu udałoby się umieścić mój największy obraz Kosmiczny sen Krzysztofa Kolumba w marmurowym muzeum trzy lata przed jego zbudowaniem? Kto - powtarzam - w jedno popołudnie mógłby obok erotycznych kwiatów jaśminu Gali zgromadzić w tak wielkich ilościach nieskazitelną czystość bieluteńkich jaj, przewyższającą jakąkolwiek czystość przeszłą i przyszłą, by następnie zmieszać je z najbardziej grzesznymi pomysłami Dalego? Kto — tak naprawdę — był w stanie tak wiele przeżyć i tak wiele razy konać, tak często nic nie jeść i tak często wymiotować, i wreszcie niemal z niczego tyle rzeczy przekształcić? Ten kto byłby bardziej do tego zdolny, niech rzuci we mnie kamieniem! Dali jest już na klęczkach, by uderzył go prosto w pierś, gdyż może to być jedynie kamień filozoficzny.

Porzućmy jednak anegdotę, a wzbijmy się ku hierarchiom kategorialnym, związanym z komórkowym jądrem Gali, owym miękkim czynnikiem sprawczym umożliwiającym funkcjonowanie mojej metody paranoiczno-krytycznej, która przemieniła w duchowe złoto jeden z najbardziej amoniakalnych i szalonych dni mojego pobytu w Nowym Jorku. Zobaczmy poniżej, jak sprawuje się to samo komórkowe jądro Gali, przeniesione W superanimistyczny świat homeryckich przestrzeni Port Liigat.

2 września

We śnie widzę swoje dwa maleńkie, nieszczęsne i prawie przezroczyste zęby mleczne, które jakże późno straciłem. Po przebudzeniu zwracam się do Gali, aby spróbowała zrekonstruować w tym dniu pierwotny stan tych ząbków za pomocą dwóch ziarenek ryżu przyczepionych do zwisających z sufitu nici. Stanowiąc one będą pierwotny symbol naszych lilipucich początków. Symbol ten za wszelką cenę pragnę mieć na zdjęciu wykonanym przez Roberta Descharnes.

W ciągu dnia nic nie będę robił, gdyż zazwyczaj tym właśnie się zajmuję przez sześć miesięcy, które spędzam rokrocznie w Port Lligat. Nic — to znaczy, że cały czas maluję. Gala — niczym kosmiczna małpka, lub jak majowa szaruga, czy też maleńki, pleciony koszyk pełen jagód — siedzi u mych nagich stóp. Nie omieszkając zadaję jej pytanie, czy może mi sporządzić listę „historycznych jabłek”. Recytuje mi ją jak litanie:

— Jabłko grzechu pierwotnego Ewy, jabłko anatomiczne Adama, jabłko estetyczne sądu Parysa, jabłko uczuciowości Wilhelma Tella, jabłko grawitacji Newtona, jabłko strukturalne Cezanne’a...

Po czym odzywa się ze śmiechem:

— Nie ma już jabłek historycznych, gdyż następne to jabłko nuklearne, które eksploduje.

— Spowoduj jego eksplozję! — mówię do niej.

— Eksplozja nastąpi w południe.

Wierzę jej, ponieważ wszystko, co mówi, jest prawdą. Maleńka, pięciometrowa dróżka obok naszego patio wydłużyła się w południe o trzysta metrów, gdyż w tajemnicy przede mną Gala zakupiła sąsiednią plantację oliwek, na której rano wytyczono wapnem bielutką drogę. Początek drogi wyznaczało drzewo granatu — to był właśnie ów eksplodujący owoc granatu!⁸³

Następnie, zgodnie z moimi życzeniami, Gala przedstawiła mi koncepcję skrzyni składającej się z sześciu ścian wykonanych z miedzi rodzimej. Miała ona służyć do przechowywania złomu w postaci gwoździ i tym podobnego klinowatego żelastwa. Skrzynia ta, dzięki obecności granatu, który miałby eksplodować w jej wnętrzu, błyskawicznie i apokaliptycznie wygrawerowałaby sześć ilustracji do Apokalipsy św. Jana⁸⁴

„Serce moje, czego pragniesz? Serce moje, czego sobie życzysz?” Tak właśnie mawiała do mnie matka, zawsze gdy pochylała się nade mną troskliwie. Aby podziękować Gali za jej eksplodujący owoc granatu, odezwałem się do niej tak samo:

— Serce moje, czego pragniesz? Serce moje, czego sobie życzysz?

W jej odpowiedzi był kolejny prezent dla mnie:

—Bijące serce z rubinu!

Serce to stało się słynną, prezentowaną na całym świecie biżuterią wchodzącą w skład kolekcji Cheathama.

Moja kosmiczna małpka usiadła mi na gołych stopach, aby odpocząć po pozowaniu do obrazu Leda Atomica, który właśnie odnawiałem. Palce mych stóp czuły łagodne ciepło, jakie pochodzić mogło tylko od Jowisza. Podzieliłem się z nią kolejnym

marzeniem, które tym razem wydawało się niemożliwe do zrealizowania:

— Zrób mi jajko! Zrobiła mi dwa.

Wieczorem, przebywając na naszym patio —o, wielki murze Hiszpanii Garcii Lorki! — upajając się zapachem jaśminu, wysłuchiwałem tezy doktora Roumequere, wmyśl której Gala i ja ucieleśniamy cudowny mit o Dioskurach, zrodzonych z jednego z dwóch boskich jaj Ledy. W tym momencie, jak gdyby „odskorupiano” jajo dwóch skrzydeł naszej rezydencji⁸⁵, zdałem sobie sprawę, że już wcześniej Gala zamówiła u mnie trzecie skrzydło, mające mieścić ogromną sypialnię — gładką i całkowicie kulistą. Obecnie jest ona w trakcie budowy.

Nim zapadnę w sen, w pełni ukontentowany niczym jajko, dodam na koniec, że dzień ten przyniósł mi — i to bez uciekania się do słynnej metody paranoiczno-krytycznej — dwa kolejne łabędzie (o których zapomniałem wspomnieć), eksplodujący owoc granatu, bijące serce z rubinu, jajo: Leda Atomica naszej własnej deifikacji. Dzięki temu pracę mają chronić będzie alchemiczna ślina pasji. Ale to jeszcze nie wszystko!

O godzinie dziesiątej trzydzięci moją pierwszą fazę snu przerywa wejście delegacji z merostwa Figueras, mego rodzinnego miasta. Napisano, że zawarte w moim jajku zadowolenie ma osiągnąć gigantyczne apogeum. Giganty, które kilka lat temu Gala i Christian Dior zaprojektowali na bal Beistegui, dziś wieczór miały przybrać postać Gali i Dalego. Otóż, przedstawiciele mera przybyli powiadomić mnie, że pragną wzbogacić mitologię Ampurdan dwoma gigantami procesji regionalnych wyobrażającymi Galę i mnie. Po tym będę mógł wreszcie zasnąć na dobre. Dwa zęby mleczne niewyraźnej bieli porannego snu, które chciałem zawiesić prowizorycznie na nitkach, na początku nocnego marzenia sennego przybrały postać dwóch najprawdziwszych-o nieodpartej bieli prawdy — gigantów, jakimi jesteśmy my. Kroczą zdecydowanie dróżką Gali, unosząc wysoko w górę moje gigantyczne dzieła, a my w tym czasie sposobimy się do dalszej pielgrzymki po świecie.

Jeżeli w naszej skarlłowacialej epoce kolosalny skandal bycia geniuszem łaskawie zezwoli nam, byśmy nie zostali ukamienowani jak psy lub nie zdechli z głodu, zawdzięczać to będziemy wyłącznie łasce Boga.

1959

1960

Maj

Paryż, 19 maja

Pośród ogromnego tłumu, który wymawia z nabożeństwem moje imię, nazywając mnie Mistrzem, dokonam za chwilę otwarcia wystawy moich stu ilustracji do Boskiej Komedii w Muzeum Galliera. Jakież to niezmiernie przyjemne uczucie upajać się owym uwielbieniem docierającym do mnie magicznymi falami i po raz kolejny przyprawiającym rogi sztuce abstrakcyjnej, która umiera z zazdrości. Ponieważ pada pytanie, dlaczego

piekło charakteryzują u mnie jasne barwy, odpowiadam, że romantyzm popełnił haniebny błąd, usiłując przekonać odbiorców, iż piekło jest czarne jak kopalnie węgla Gustave'a Dore, gdzie nie można nic dojrzeć. Wszystko to jest fałszem. Piekło Dantego oświetla słońce i miód Morza Śródziemnego; dlatego właśnie okropieństwa moich ilustracji są analityczne i supergalaretowate, z uwzględnieniem współczynnika anielskiej lepkości.

Po raz pierwszy na mych ilustracjach widoczna jest w całej pełni nadwrażliwość trawienna dwu istot wzajemnie się pożerających. To szalony dzień mistycznej i amoniakalnej radości.

Pragnąłem, by ilustracje do Dantego przypominały delikatne, wilgotne ślady boskiego sera. Stąd właśnie się bierze ich pstrokaty wygląd motyli skrzydeł.

Mistyka jest serem; Chrystus to ser, więcej — góry sera! Czyż święty Augustyn nie podaje, że Chrystus określony jest w Biblii jako *montus coagulatus*, *montus fermentatus*, co należy rozumieć jako prawdziwa góra sera?! Dali tego nie mówi — to święty Augustyn, a Dali to powtarza.

Sięgając do boskich początków nieśmiertelnej Hellady, można stwierdzić, że lęk przed czasem i przestrzenią, psychologicznymi bogami oraz wzniosłymi a tragicznymi rozterkami ludzkiej duszy, okazał się podstawą stworzenia przez Greków całej filozofii mitologicznego antropomorfizmu. Jako kontynuator tradycji greckich Dali zadowolony jest tylko wtedy, gdy na bazie lęku przed czasem, przestrzenią i skwantowanymi niepokojami duszy zdoła wyprodukować ser! I to ser mistyczny, boski!⁸⁸

Wrzesień

Dwadzieścia lat po napisaniu epilogu do *Sekretne życie* moje włosy są ciągle czarne, na stopach nie pojawił się jeszcze ani jeden, jakże uwłaczający mej godności, ślad odcisku, a zarysowujące się kragłości brzuszka po operacji wyrostka robaczkowego ustępują miejsca kształtom z mych młodzieńczych lat. Czekać na wiarę, która jest znakiem łaski bożej, stałem się bohaterem. Nieprawda — dwoma bohaterami! Według Freuda bohaterem jest ten, kto buntuje się przeciw autorytetowi ojcowskiemu oraz ojcu, by ostatecznie okazać się zwycięzcą. Tak rzecz się miała z moim ojcem, który darzył mnie wielką miłością. Ale miłość ta okazała się za życia tak słaba, że teraz, kiedy ojciec jest w niebie, osiąga apogeum kolejnej tragedii — godnej, zaiste, Corneille'a: może być szczęśliwy jedynie z tego powodu, że jego syn stał się bohaterem dzięki niemu. Podobnie jest z Picassem, moim drugim ojcem duchowym. Jako że zbuntowałem się przeciwko jego autorytetowi i ponieważ zwyciężam tu również w stylu godnym Corneille'a, Picasso będzie mógł się radować z tego powodu jeszcze za życia. Jeśli już być bohaterem, lepiej być bohaterem dwukrotnie niż nie być nim wcale. Dlatego też od czasu napisania epilogu nie rozwiodłem się z żoną, jak się to na ogół czyni — wręcz przeciwnie: ponownie poślubiłem ją, tym razem przechodząc na łono kościoła katolickiego, apostołskiego i rzymskiego, wkrótce po tym jak pierwszy poeta Francji⁸⁹

„ który był również pierwszym mężem Gali, umożliwił nam to poprzez swoją śmierć. Ślub ten, który odbył się z dala od ludzi, w Kaplicy Matki Boskiej Anielskiej, sprawił, że ogarnęło mnie szaleństwo przekraczające wszelką miarę, ponieważ teraz już wiem, że nie istnieje na tej ziemi naczynie zdolne pomieścić szlachetne eliksiry mojego nienasyconego pragnienia ceremoniału, rytuału i kultu religijnego.

Piętnaście minut po tym kolejnym ślubie moją duszą i ciałem oładnął następny kaprys, szaleńcze pragnienie, by ożenić się z Galą powtórnie. Kiedy o zmierzchu dotarłem do Port Lligat, nad morzem, w porze przyływu, spotkałem siedzącego biskupa (często zdana mi się w życiu spotykać siedzących biskupów w podobnych okolicznościach). Całując jego pierścień byłem mu podwójnie wdzięczny za to, że dał mi do zrozumienia, iż mój kolejny ślub jest całkiem możliwy, a to dzięki obrządkowi koptyjskiemu, jednemu z najdłuższych, najbardziej skomplikowanych i wyczerpujących obrządków, jakie istnieją. Wyjaśniał mi, że nawet mając na względzie sakrament katolicki w niczym to nie przeszkodzi ani też niczego nie zmieni. To coś dla ciebie, Dali, Dioskurze! Miałaś już tyle jajek sadzonych bez talerza, ale brakowało ci jeszcze w życiu tej oto rzeczy: podwójnego niczego — niczego podwójnego, które byłoby niczym, gdyby nie było święte.

Tak więc na tym etapie mego życia należało pomyśleć O jakiejś niezwyklej uroczystości w stylu Dalego. Taka uroczystość odbędzie się kiedyś. Tymczasem zaś Georges Mathieu z ufnością kreśli pod moim adresem te oto szlachetne słowa:

„Schyłek uroczystości dworskich we Francji widoczny jest już za Walezjuszy, którzy eliminują zeń tłumy. Tendencja ta nasila się wraz z pojawieniem się wpływów włoskich, kiedy owe uroczystości przeradzają się w spektakle o treści mitologicznej lub alegorycznej. Te ostatnie mają jedynie na celu wzbudzać zachwyty poprzez wspaniałą ceremoniał oraz odpowiednią oprawę. Wywodzące się z nich dzisiejsze uroczystości publiczne —niezależnie od tego, czy będą dziełem panów Artura Lopeza i Charlesa de Beistegui, markiza de Cuevas lub d’Arcangues —są jedynie archeologicznymi wznowieniami.

żyć to przede wszystkim uczestniczyć. Od czasów Dionizego Areopagity nikt na Zachodzie, ani Leonardo da Vinci, ani Paracelsus, ani Goethe, ani Nietzsche nie był w tak ścisłej symbiozie duchowej z kosmosem jak Dali. Pobudzać człowieka do twórczego działania, podtrzymywać energię wszechświata i życia społecznego — oto prawdziwa rola artysty. Zapewne największą zasługą władców włoskiego Renesansu jest to, że zdolali pojąć tę oczywistą prawdę i że organizację uroczystości dworskich powierzyli Brunelleschiemu lub da Vinci.

Obdarzony najbardziej niezwykłą wyobraźnią, miłujący przepych, teatr, monumentalność, a także zabawy i kult religijny, Dali wprawia w zakłopotanie płytkie umysły, albowiem blaskiem światła przesłania prawdy, albowiem posługuje się raczej dialektyką analogii niż dialektyką tożsamości. Tym, którzy zadają sobie trud, by doszukiwać się ezoterycznego sensu jego poczynań, jawi się jako najskromniejszy i najbardziej fascynujący czarnoksiężnik, który daje do zrozumienia, że bardziej liczy się jako geniusz kosmiczny niż jako malarz”.

Moją odpowiedzią na te wszystkie uprzejmości była Chwała Balu Chwały zawierająca

arcysyntetyczne refleksje na temat tego, czym powinna być dzisiaj uroczystość. Uczyliem to w tym celu, aby przezornie i odpowiednio wcześniej ostudzić zapal tych spośród moich przyjaciół, którzy nie zostaną nad zaproszeni.

„Uroczystości naszych czasów będą lirycznymi apoteozami chwalebnej, acz upokorzonej cybernetyki, której przygotowano rogi, gdyż tylko ona będzie w stanie zapewnić najświętszą ciągłość wiecznie żywej tradycji świąt. W lodowatych czasach Renesansu uroczystość była źródłem egzystencjalnych, niemal paroksystycznych, krótkotrwałych przyjemności, będących nieodłącznym atrybutem wszelkich psychologicznych struktur informacyjnych: snobizmu, wywiadu, kontrwywiadu, makiawelizmu, liturgii, estetycznej egzystencji rogowaty, gastronomicznego jezuityzmu, feudalnych i lilipucich niepokojów, rywalizacji między miękkimi kretynami...

Dzisiaj jedynie cybernetyka łącznie z teorią informacji, której możliwości są nieograniczone, opierając się na coraz to nowych podmiotach statystycznych, będzie mogła przygotować rogi wszystkim uczestnikom uroczystości, a przy okazji wszystkim snobom, gdyż — jak mawiał hrabia Etienne de Beaumont — uroczystości organizuje się zwłaszcza dla tych, których się nie zaprasza.

Skatologiczny blask pierwiastka religijnego, który winien być kulminacyjnym przecinkiem pointylistycznym każdego szanującego się święta, objawi się, podobnie jak w przeszłości, poprzez rytuał ofiarny archetypu. Tak jak w czasach Leonarda rozpruwano brzuch smoka, z którego wylaniały się kwiaty lili, podobnie i dziś należy przystąpić do rozpruwania najdoskonalszych, najbardziej skomplikowanych, najkosztowniejszych, najbardziej zgubnych dla ludzkości maszyn cybernetycznych. Zostaną złożone w ofierze jedynie dla książęcego kaprysu i zabawy; tym samym raz jeszcze przygotuje się rogi społecznej misji tych wspaniałych maszyn, które dzięki swej cudownej właściwości natychmiastowego odbioru fantastycznych informacji posłużą jedynie do wywołania krótkotrwałego, przygotowanego odrobiną salonowego intelektualizmu, orgazmu u wszystkich tych, którzy przybyli poparzyć się lodowatym płomieniem przygotowujących rogi diamentów supercybernetycznego święta.

Nie zapominajmy, że te informatyczne orgie winny być obficie zroszone krwią oraz uświetnione serwowanym w potężnych dawkach zgiełkiem opery, irracjonalności konkretnej, arcykonkretnej muzyki, a także dekoracjami Mathieu i Millarda, podobnie jak słynne już orgie Dalego, które autor pragnie nasycić lirycznymi dźwiękami o natężeniu równym kakofonii wywołanej przez męczeńską kastrację i uśmiercenie 558 świń przy akompaniamencie 300 motocykli z pracującymi silnikami, pamiętając przy tym o dedykacjach retrospektywnych, takich jak pasaż organowe wykonywane w asyście przymocowanych do klawiatur kotów, a to w celu szarmonizowania ich gniewnych pomruków z boską muzyką ojca Vittorii, jaką Filip II, król Hiszpanii, zajmował się już w tamtych czasach.

Kolejne uroczystości cybernetyczne bezużytecznej informacji (muszę już przestać je opisywać z taką drobiazgowością; uczyniło mnie to zresztą sławnym) odbywać się będą spontanicznie, jak tylko powrócimy do tradycyjnych monarchii, dzięki czemu będziemy świadkami hiszpańskiej jedności Europy.

Królowie, książęta, wszyscy dworacy wylazic będą ze skóry, aby organizować te

wielkie uroczystości, zdając sobie przy tym doskonale sprawę, że nie organizuje się ich po to, aby się bawić, lecz by schlebiać próżności ludu”.

Po raz kolejny pozostaję wierny swym planom (bez talerza) napisania epilogu, uparcie odmawiając wyjazdu do Chin lub odbycia jakiegokolwiek podróży do jakiegokolwiek Bliskiego czy Dalekiego Wschodu. Dwa miejsca, w których nie mogę być nieobecny przed każdym swoim powrotem do Nowego Jorku —co odbywa się matematycznie i systematycznie raz do roku — to sławetne wejścia do paryskiego metra, będące mazistym ucieleśnieniem całej strawy duchowej Nowego Wieku: Marksa, Freuda, Hitlera, Prousta, Picassa, Einsteina, Maxa Plancka, Gali, Dalego itd., itd., itd. oraz jakże niepozorny dworzec kolejowy w Perpignan, gdzie z niewiadomych mi jeszcze przyczyn w mózgu i duszy Dalego zrodziły się najbardziej boskie idee. Właśnie dzięki refleksjom, jakie nachodzą mnie na dworcu w Perpignan:

Poszukując „kwantu działania”,
Obrazu, obrazeczka la la, obrazeczka la la la...
Poszukując „kwantu działania”,
Ileż doświadczeń się zobrazeczkuje
Obraz, obrazeczek la la, obrazeczek la la la.

Ów „kwant działania”, rządzący dziś strukturami mikrofizycznymi materii, musiałem odnaleźć w malarstwie; to zaś mogłem osiągnąć tylko dzięki temu, że potrafię prowokować (jestem wszak największym prowokatorem) wszelkiego rodzaju wydarzenia nie wymagające kontroli estetycznej lub nawet animistycznej, a to w celu nawiązania łączności duchowej z kosmosem... obraz, obrazek la ja, obrazeczek la la la... kosmos, kosmosek lala, kosmoseczek lala la. Rozpoczywałem od systemu kanalizacji ściekowej... obraz, obrazek la la, obrazek la la la... rynsztok, rynsztoczek la la, rynsztoczek la la la. Uwieczniałem muł i materię ośmiornicowatych ośmiornic z morskich głębin. Ośmiornicowałem wraz z żywymi ośmiornicami. Kazałem także malować jeżowcom, wstrzykując im adrenalinę, by dogorywały w konwulsjach oraz wsadzając im między pięć zębów latarni Arystotelesa łodyge mającą rejestrować na powierzchni powleczonej parafiną ich najdrobniejsze nawet ruchy. Korzystałem z deszczu małych ropuszek spadających z nieba podczas burzy, aby swymi rozprutymi brzuskami same rysowały ropuchowaty haft stroju Don Kichota. Ciała nagich kobiet, ubabrane w farbie, zamienione w żywe ścierki, mieszałem ze świeżo wykastrowanymi wieprzami i motocyklami z pracującymi silnikami; całość umieszczałem w workach, w których gromadzi się różnego rodzaju makulaturę. Wysadzałem w powietrze żywe łabędzie, naszpikowane owocami granatu, aby za pomocą metody stroboskopowej móc rejestrować najmniejsze uszkodzenia wnętrza ich niemal żywej fizjologii.

Pewnego dnia wspiałem się pospiesznie na plantację oliwek, gdzie zazwyczaj oddawałem się tym wszystkim eksperymentom. Tym razem nie miałem jednak ani płynnego karabinu maszynowego, ani żywego nosorożca, który przydałby mi się także do odbitek drukarskich, ani choćby półżywej ośmiornicy. Był to jedyny wypadek, kiedy „prawie że musiałem czekać” (nie przytrafiło się to również Ludwikowi XIV). Ale była tam Gala. Znalazła jakiś pędzel i podała mi go:

— Może tym spróbujesz!

Spróbowałem — i stał się cud! Kilka niepowtarzalnych, archanielskich pociągnięć pędzla wskrzesiło wszystkie doświadczenia z całych dwudziestu lat! Nagle realizowało się wszystko to, czego przez całe życie zaledwie się domyślałem. „Kwant działania” obrazeczka... obrazeczka la la... obrazeczka la la la... okazał się w tym wypadku nonszalanckim pociągnięciem pędzla, godnym heroizmu Don Diego Velasqueza de Silyy. Podczas gdy Dali malował... i obrazeczek, i obrazeczek la la, i obrazeczek la la la... usłyszałem głos Velasqueza, a pędzel jego mówił, błędząc po płótnie: „Zrobiłeś sobie krzywdę, moje dziecko?... i obrazeczek, i obrazeczek la la, i obrazeczek la la la”. W pełni antyrealistycznego chaosu, kiedy Action Painting osiąga swoje apogeum — jakąż ten Velasquez ma siłę! Po trzystu latach jawi się jako jedyny wielki malarz w dziejach świata. Wtem zadźwięczał głos Gali, pełen godności i taktu, na co mogą się zdobyć tylko jej ziomkowie, mówiąc o bohaterze, który odnosi sukces:

Tak, ale bardzo mu w tym pomogłeś!

Patrzyłem na nią uważnie, ale nie było to nawet potrzebne, by mieć pewność, że dzięki jej włosom i moim wąsom, po tym jak była dla mnie włochatym orzeszkiem, kosmiczną małą i plecionym koszykiem pełnym jagód, podobna teraz będzie do Velasqueza majowej szarugi, z którym mógłbym się kochać.

Malarstwo to ukochany obraz, jawiący nam się w głębi oczu, a ginący na czubku pędzla — podobnie ma się rzecz z miłością!

Chafarrinada, chafarrinada, chafarrinada, chafarrinada, chafarrinada — oto nowa sperma, z której narodzą się wszyscy przyszli malarze świata, albowiem „chafarrinadas” Velasqueza są ekumeniczne.⁹⁰

1961

1962

Listopad

Port Lligat, 5 listopada

Na szesnaście atrybutów Raimundusa Lullusa przypada 20922789888 000 kombinacji- Chodzi tu o kombinacje kół zębatach. Budząc się postanawiam osiągnąć tę ilość kombinacji we wnętrzu przezroczystej kuli, w której od czterech dni dokonuję pierwszych doświadczeń (pierwszych, o ile mi wiadomo) dotyczących „lotu much”. Dookoła jednak wszyscy przejawiają niepokój: morze jest wzburzone. Domownicy mówią, że jest to największy sztorm od trzydziestu lat. Nie ma prądu. Wydaje nam się, że jest ciemna noc; musimy zapalić świece. Żółta łódź Gali zerwała cumy i dryfuje pośrodku zatoki. Nasz marynarz płacze i z całych sił wali pięściami w stół.

-Nie zniosę widoku tej łodzi roztrzaskującej się o skały! —krzyczy.

Słyszę to, będąc w pracowni. Zaraz też zjawia się Gala, prosząc mnie, abym wreszcie zszedł na dół dodać marynarzowi otuchy. Gosposie szeptały już między sobą, że postradał zmysły. Schodząc na dół, przechodzę przez kuchnię, gdzie błazeńsko

zręcznym i błyskawicznym ruchem łapię lecącą muchę, która była mi potrzebna do doświadczeń. Nie zauważył tego nikt. Zwracam się do marynarza:

—Nie przejmuj się! Kupimy nową łódź. Nie można było przewidzieć aż tak gwałtownego sztormu!

Kładę mu kokietyrjnie na ramieniu dłoń, w której zaciskam muchę. Od razu wydaje się spokojniejszy, tak że mogę wrócić do pracowni, aby umieścić muchę w kuli. Obserwując jej lot, słyszę dochodzące z plaży donośne okrzyki. Wybiegam na zewnątrz. Siedemnastu rybaków oraz domownicy wydzierają się wniebogłosy: „Cud!”. Kiedy wydawało się, że łódź roztrzaska się o skały, nagle zmienił się wiatr, dzięki czemu powróciła niczym wierne i posłuszne zwierzę, osiadając na brzegu naprzeciwko domu. Z nieprawdopodobną zręcznością jeden z marynarzy rzucił w jej kierunku zamocowaną na cienkiej linie kotwicę. W końcu udało się uchronić łódź od naporu fal, które spychały ją bokiem na skały. Nie muszę dodawać, że oprócz imienia Gali moja łódź nosi nazwę „Milagros”, to znaczy „cuda”.

Powracając do pracowni stwierdzam, że mój insekt również okazał się autorem kilku cudów. Na pierwszym miejscu należy tu wymienić najbardziej nadzwyczajny cud, ten mianowicie, że zrealizował 20922789 888 kombinacji Raimundusa Lullusa, których tak bardzo oczekiwałem po przebudzeniu.

Do południa brakowało dokładnie osiem minut

Zaiste, gęsta materia życia kryć musi w sobie mnóstwo podobnych kombinacji przypadków i delirycznej zręczności! Odżywają wspomnienia o ojcu, który pewnego czerwcowego poranka ryknął jak lew:

— Chodźcie! Chodźcie prędzej! No prędzej!

Zbiegliśmy się wszyscy wielce zatrwożeni i zobaczyliśmy, jak ojciec wskazuje palcem woskową zapalną, która w pozycji pionowej płonęła na posadzce z łupkowych płytek. Ojciec zapaliwszy cygaro podrzucił zapalną do góry, ta zaś zakreśliła w powietrzu szeroki łuk i kiedy wydawało się, że już zgasła, upadła pionowo na posadzkę przyklejając się do przegrzanych łupków, które ją ponownie zapaliły. Ojciec cały czas wzywał chłopów, którzy gromadzili się w coraz większej liczbie:

— Chodźcie, chodźcie! Nigdy już czegoś podobnego nie ujrzycie!

Pod koniec posiłku, będąc cały czas pod wrażeniem tego bulwersującego wydarzenia, z całej siły rzuciłem do góry korek, który po uderzeniu w sufit odbił się od bufetu, by wreszcie wylądować na końcu karnisza. Wywarło to na ojcu niesamowite wrażenie. Przez całą godzinę wpatrywał się w korek, nie pozwalając ruszyć go z miejsca, gdzie przez kilka tygodni był przedmiotem podziwu domowników i znajomych.

6 września

Rozlewam kawę na koszulę. Pierwszą reakcją tych, którzy w odróżnieniu ode mnie nie są geniuszami, to znaczy innych ludzi, byłoby wytarcie się. Ja jednak zachowuję się całkiem inaczej. Już od dzieciństwa miałem zwyczaj czyhać na odpowiedni moment, kiedy gosposie i rodzice nie zdołają zauważyć, jak zgrabnie i ukradkiem wylewam za

koszulę na gołe ciało najbardziej lepkie resztki cukru po kawie z mlekiem. Oprócz niewysłowionej rozkoszy, jaką sprawiał mi ów sączący się aż do pępka płyn, jego powolne schnięcie, tudzież lepiąca się do skóry tkanina, były dla mnie bodźcem do uporczywych a regularnych obserwacji. Dzięki powolnym, harmonijnym ruchom, bądź też następującym po długich, słodkich oczekiwaniach gwałtownym drgnięciom, koszula przylepiała się do ciała coraz bardziej, co rodziło filozoficzne myśli i emocje, które nie opuszczały mnie przez cały dzień. Owa dyskretna przyjemność mojej przedwczesnej inteligencji osiągnęła swój paroksyzm, kiedy pojawiające się w wieku młodzieńczym owłosienie zrodziło w punkcie zetknięcia się piersi (akurat w miejscu, gdzie lokalizowałem potencjał swej wiary religijnej) z tkaniną koszuli (szata liturgiczna) kolejne komplikacje. Otóż okazało się, że kilka przylegających do tkaniny włosów, opačkanych lepkiem cukrem, utrzymuje (teraz to wiem na pewno) kontakt elektroniczny, dzięki któremu ciągle zmieniający się element lepki stawał się elementem miękkim najprawdziwszej mistycznej maszyny cybernetycznej, którą dzięki łasce bożej wynalazłem w tamten właśnie ranek, 6 listopada, kiedy w delirycznym upojeniu obficie rozlewałem po ciele (niby to niechcący) przesłodzoną (nieświadomie) kawę z mlekiem. Jest to prawdziwa, słodka papka sklejąca moją najdelikatniejszą koszulę z włosami na piersi przepelnionej religijną wiarą.

Na zakończenie wypadałoby dodać, że jako geniusz, Dali mógłby z powodzeniem przekształcić w miękką maszynę cybernetyczną wszystkie ewentualne konsekwencje wynikające z tego drobnego wydarzenia (dla wielu byłby to co najwyżej drobny kłopot>, pozwalając mi tym samym dojść, czy też raczej dochodzić do etapu Wiary, która, jak dotąd, była wyłącznie darem Boga Wszechmogącego.

7 września

Ze wszystkich hipersyberyckich przyjemności mego życia jedną z najbardziej subtelnych i oryginalnych jest, być może —a nawet bez być może — i będzie: eksponowanie na słońcu ciała pokrytego muchami. Tak więc będę mógł mówić:

— Pozwólcie małym muszkom, by do mnie przyleciały!

Przebywając w Port Lligat, wylewam podczas śniadania na głowę resztę oliwy z talerza po sardelach. Natychmiast przyfruwają muchy. Jeśli kontroluję bieg myśli, łaskotanie much sprawia, że staje się on bardziej wartki. Natomiast (zdarza się to niezmiernie rzadko) kiedy ich obecność okaże się przeszkodą, będzie to znak, że coś jest nie tak i że cybernetyczne mechanizmy moich oryginalnych pomysłów zgrzytają niepokojąco. Tak więc muchy są dla urnie czarodziejkami Morza Śródziemnego. Już w starożytności przesiadywały na obliczach mych sławnych poprzedników, Sokratesa, Platona czy Homera⁹² którzy z zamkniętymi oczyma opiewali ów sławetny rój much krążących wokół garnka z mlekiem, widząc w nich boskie stworzenia. W tym miejscu muszę stanowczo podkreślić, że lubię tylko muchy czyste, muchy —jak to wcześniej określiłem — w strojach od Balenciagi, natomiast nie lubię much, które spotyka się u biurokratów lub w miejskich budynkach. Z kolei lubię muchy żyjące na liściach oliwkowych oraz muchy krążące wokół nad-psutego ciała jeżowca.

Dzisiaj, 7 listopada, przeczytałem w jakiejś niemieckiej książce, że Fidiasz wykreślił plan świątyni, wzorując się na odmianie jeżowca o charakterystycznej strukturze pentagonalnej, najbardziej boskiej, jaką kiedykolwiek widział. I właśnie dziś, 7 listopada, o drugiej po południu, śledząc pięć latających much wokół zwiniętego jeżowca, mogłem cały czas obserwować ich spiralny ruch grawitacyjny od prawej strony do lewej. Jeśli ta zasada się potwierdzi, jej doniosłość będzie dla mnie oczywista: będzie ona dla wszechświata tym, czym było słynne jabłko Newtona, ponieważ twierdzę, że ta odganiana przez wszystkich mucha ma w sobie ów kwant działania, który Bóg ustawicznie umiejscawia właśnie na nosie człowieka, by tym samym wskazać mu drogę prowadzącą do jednego z najbardziej tajemniczych praw wszechświata.

8 września

Zasnąłem pogrążony w rozważaniach, że tak naprawdę moje życie musi się rozpocząć jutro lub pojutrze albo też dzień później — ale już nieodwołalnie (to w każdym razie jest pewne i nieuchronne). Myśl ta na kwadrans przed zbudzeniem wywołuje twórczy sen teatralny, obrazujący największe natężenie efektów scenicznych. Mój teatralny wieczór rozpoczyna się bardzo typowo: oto pojawia się normalna przedkurtyna, bogato złocona, silnie oświetlona, z małym dziwacznym elementem pośrodku, tak charakterystycznym, że dostrzegają go wszyscy widzowie, co wywiera na nich niezapomniane wrażenie. Po uniesieniu przedkurtyny rozpoczynają się wizje, których wzniosłość rychło dorównuje gwałtownemu patosowi największych mitologii. Jowiszowa błyskawica pogrąży na chwilę wszystko w ciemnościach. Cała sala spodziewa się nieprawdopodobnego natężenia efektów, lecz nieoczekiwanie dla wszystkich błyskają światła, ponownie rozjaśniając przedkurtynę, tak samo jak na początku. Wszyscy widzowie są zatem rogaczami, oprócz Dalego i Gali, która miała podobny sen. Można by sądzić, że jest to początek opery naszego życia, ale nic z tego... Przedkurtyna nawet się nie uniosła. Ta przedkurtyna, którą jakże zręcznie się posłużono, jest na wagę złota!

1963

Wrzesień

3 września

Zawsze mam zwyczaj przeglądania gazet na odwrót. Zamiast czytać wiadomości, patrzę na nie i wszystko widzę. Już w wieku młodzieńczym pomiędzy typograficznymi zawijasami oglądałem, jak w najprawdziwszej telewizji, mecze piłki nożnej — wystarczyło tylko mrugać oczyma. Często nawet już przed przerwą zmuszony byłem odpocząć: do tego stopnia wyczerpywał mnie bieg wydarzeń na boisku. Dziś w gazetach oglądanych na odwrót widuję boskie rzeczy, tak pełne dynamizmu, że postanawiam odświeżyć — w duchu boskiej sztuki popartowskiej Dalego — fragmenty gazet zawierające estetyczne skarby, nierzadko godne Fidiasza. Te powiększone ponad miarę gazety poddam operacji kwantyzacji, w wyniku czego będą one upstrzone przez muchy... Pomysł ten przyszedł

mi do głowy, kiedy kontemplowałem piękno jakichś poźółkłych kolaży (odrobinę obranych przez muchy) Pabla Picassa i Georges Braque'a.

Dziś wieczór w trakcie pisania słucham radia, w którym jakże słusznie rozbrzmiewają salwy z dział z okazji pogrzebu Braque'a. Braque'a, który zyskał sławę między innymi dzięki estetycznemu wynalazkowi kolażu. Ja zaś dedykuję mu swoje najbardziej transcendentalne i o wiele szybciej uzyskujące rozgłos, skwantowane dzięki muchom, popiersie Sokratesa, które stanowi genialną okładkę tego oto Dziennika mojego geniuszu.

19 września

Zawsze gdy jestem na dworcu w Perpignan, kiedy Gala oddaje na bagaż jadące z nami obrazy, rodzą się w mojej głowie najgenialniejsze idee mego życia. Umysł mój rozpoczyna działalność już kilka kilometrów wcześniej, w miejscowości Le Boulou, ale przyjazd na dworzec w Perpignan to początek najprawdziwszej ejakulacji umysłowej, osiągającej rychło najwyższy stopień spekulatywnej wzniosłości. Długo utrzymuję się na tej wysokości; oczy podczas tej ejakulacji zawsze wychodzą mi z orbit, czego możecie być świadkami. Gdy dojeżdżam do Lyonu, napięcie to zaczyna się zmniejszać, i do Paryża przybywam w stanie ukojenia, a to dzięki gastronomicznym uniesieniom na trasie (panowie Pic w Valence i Dumaine w Saulieu). Mój umysł osiąga stan spoczynku, mimo że cały czas jest genialny, o czym raczą pamiętać moi czytelnicy. Właśnie 19 września na dworcu w Perpignan wpadłem jakby w kosmogoniczną ekstazę, intensywniejszą niż wszystkie poprzednie. Miałem oto dokładną wizję powstania wszechświata. Wszechświat, który jest jedną z najbardziej ograniczonych rzeczy, jakie kiedykolwiek istniały, miałby wykazywać strukturalne podobieństwa (naturalnie przy zachowaniu wszelkich proporcji) do dworca w Perpignan, z tą wszakże różnicą, że tam gdzie jest okienko kasowe, we wszechświecie znajdowałaby się enigmatyczna rzeźba, której reprodukcja od kilku dni nie dawała mi spokoju. Jej jasne części byłyby skwantowane dzięki dziewięciu muchom pochodzącym z Le Boulou oraz jednej muszce owocowej, która byłaby antymateria. Czytelniku! Popatrz na moją ilustrację i zapamiętaj, że w ten oto sposób powstają wszystkie kosmogonie.

Dzień dobry!

ANEKSY

ANEKS I

SZTUKA PIERDZENIA

czyli

PODRĘCZNIK POSEPNEGO KANONIERA

napisany przez

hr. DE LA TROMPETTE

lekarza Konia z Brązu

na użytek osób cierpiących na zaparcia⁹³

WPROWADZENIE

Nie godzi się, Czytelniku, ażebyś od czasu kiedy pierdzisz, nie wiedział jeszcze, w jaki sposób to czynisz i jak to czynić. W ogólnem mniemaniu pierdnięcia mogą być albo małe, albo wielkie i w zasadzie wszystkie one tego samego są rodzaju: zaiste poważny to błąd.

Temat, który dziś przedstawiam możliwie z jak największą dokładnością, był jak dotąd nie doceniany wielce, i to nie dlatego iż mniemano, że jest niegodny traktowania, ale ponieważ nie sądzono, aby można było ów przedmiot badać metodycznie albo też odkryć coś nowego. Nie miano racyj.

Pierdzenie jest sztuką, a zatem rzeczą w życiu użyteczną, jak powiadają Lukianos, Hennogenes, Kwintylian i inni. Odpowiednie umiejętności, co się tyczy pierdzenia, są ważniejszą rzeczą, aniżeli ogólnie się sądzi.

Wiatry, które Ujścia znaleźć nie potrafiąc,
Energia swą wielką boki rozrywają,
Śmierć często przynoszą
Ofierze zaparcia bliskiej życia kresu
Pierdnięcia na czasie żywot ocalają.

Można pierdzieć według reguł tudzież z elegancją, co ustawicznie będę wykazywał w dalszej części niniejszego wywodu.

Nie omieszkam zaznaczyć czytelnika z własnymi poszukiwaniami i odkryciami w obrębie Sztuki, na temat której nie ma nic godnego uwagi w najobszerniejszych słownikach: brak tam nawet (rzecz nie do uwierzenia) samej nomenklatury dotyczącej Sztuki, której prawidła przedstawiam dziś zainteresowanym.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

DEFINICJA OGÓLNA PIERDNIĘCIA

Pierdnięcie, które u Greków zwie się Porde, u Rzymian Crepitus ventris, w języku starsaksońskim Partin albo Furtin, w wysokoniemieckim Fartzen i w angielskim Fart, jest mieszaniną gazów, które wychodzą już to hałas czyniąc, już to po cichu.

Istnieją wszakże autorzy na tyle ograniczeni, a nawet na tyle nieroztropni, aby podtrzymywać absurdalne, aroganckie i maniackie sądy, a to wbrew Calepinowi, tudzież wszystkim innym słownikom, które napisane zostały lub będą napisane, że wyraz „pierdnięcie”, we właściwym tego słowa znaczeniu, czyli w jego znaczeniu naturalnem, winien określać wiatry, które wychodzą, hałas czyniąc. Opierają się oni na tym oto wierszu Horacego, który przecież nie wyjaśnia całkowicie tego zjawiska:

Nam displosa sonat quantum Vesica pepedi. SAT 8

Pierdnąłem, taki hałas czyniąc, że dałoby się z powodzeniem pęcherz tem nadmuchać.

Któż jednak nie wyczuwa, że Horacy w powyższym wierszu daje wyraz pedere w

znaczeniu ogólnem? I po cóż miałby się ograniczać, pragnąc dać do zrozumienia, iż Wyraz pedere oznacza wyraźny odgłos, do objaśnienia rodzaju pierdnięcia, które wychodząc eksploduje? Święty Ebremondus, ów urokliwy filozof, wyobrażał sobie pierdnięcie całkiem inaczej niż gmin: według niego było to westchnienie. Pewnego dnia tak oto mówił do swej lubej, W obecności której pierdnął:

Wzburzone me serce wierne
Ckliwych jest westchnień tak pełne,
Widząc twój nastrój ponury,
Ze jedno, wielce subtelnie,
Poprzez usta wyjść nie śmiejąc,
Ucieka do innej dziury.

A zatem, ogólnie rzecz ujmując, pierdniecie jest uwięzionym w podbrzuszu wiatrem, powstałym, jak utrzymują lekarze, w efekcie wydobywania się ciepławej materii, którą rozrzedziła niewielka temperatura, odprowadzając bez dalszego rozkładu, albo też która się wydziela, jak to utrzymują wieśniacy i gmin, na skutek użycia jakichś ingrediencji wiatropędnych czy też pokarmów podobnej natury. Ponadto można je określić jako sprężone powietrze, które usiłując się wydostać, przechodzi przez partye wewnętrzne ciała, by wreszcie wyjść pospiesznie, kiedy znajduje ujście, którego przyzwoitość nie pozwala nazwać.

Niczego wszakże tutaj skrywać nie będziemy: wiatry te uchodzą przez odbyty, już to hałas czyniąc, już to po cichu. Czasami natura przepędzą je bez wysiłku, czasem zaś nieodzowny jest zmyślny sposób, który z pomocą tejże natury zapewnia im łatwe powstawanie, źródło delectacyi, często nawet przyjemności wielkiej. To właśnie dało początek Przysłowiu, że

Jak chcecie w życiu długo być zdrowi,
Trzeba dać ujście z zadka wiatrowi.

Powróćmy jednakowoż do naszej definicji i wykażmy, iż jest ona zbieżną z najzdrowszemi regułami filozofii, albowiem zawiera rodzaj, materię i różnicę: quia nempe constat genere, materia et differentia: 1. Zawiera ona wszystkie przyczyny i gatunki, jak to zobaczymy w kolejności; 2. ponieważ jest niezmienną poprzez rodzaj, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest również stałą dzięki swej pierwotnej przyczynie, która powoduje powstawanie wiatrów, to znaczy, substancji żołądkowej, jako też pokarmowi niedostatecznie przetrawionemu. Przedyskutujmy to najsamprzód dogłębnie, nim zajmiemy się rodzajami.

Powiadamy zatem, że materia wiatrów jest ciepława i nieco rozrzedzona.

Albowiem podobnie jak nigdy nie padało w krajach najcieplejszych ani też najzimniejszych, ponieważ zbyt wielki upał pochłania w tych pierwszych regyonach wszelkie pary i inne substancje lotne, a zbyt srogi mróz nie pozwala w tych drugich wydzielać się owym substancjom, natomiast padają deszcze w regyonach

umiarkowanych i łagodnych (jak słusznie to zaobserwowali Bodin, Meth. hist., Scaligero i Cardano), tak samo kiedy ciepłota jest wysoka, nie tylko kruszy i rozdrabnia pokarm, ale także rozkładaj pochłania wszystkie pary, czego zimno nie zdołałoby uczynić. Oto co nie pozwala jej wyprodukować ani krzty substancji lotnej. Zachodzi przeciwieństwo wówczas, gdy ciepłota jest łagodna a umiarkowana, co nie pozwala całkowicie spalić pokarmu, a ponieważ rozdrabnia go zaledwie co nieco, materya komory brzusznej i jelit może powodować powstawanie rozlicznych wiatrów, których energia proporcjonalna jest do właściwości rozdmajających pokarmu; ten zaś ulegając fermentacji dzięki umiarkowanej ciepłocie, rodzi substancje lotne nader gęste a wirujące. Można to sobie doskonale wyobrazić poprzez porównanie wiosny i jesieni, lata i zimy, oraz dzięki sposobowi destylacji na małym ogniu.

ROZDZIAŁ DRUGI

O RÓŻNORODNYCH PIERDNIĘCIACH, W SZCZEGÓLNOŚCI ZAŚ O PIERDNIĘCIU; PODANIE KOMPLETNEJ DEFINICJI PIERDNIĘCIA

Powiedzieliśmy wyżej, iż pierdnięcie wychodzi przez odbył. Tem to właśnie różni się od beknięcia, czyli raportu hiszpańskiego. Ten ostatni, mimo że uformowany z tej samej materyi, w żołądku, wychodzi górą, a to z racji bliskości ujścia albo twardości lub przepełnienia brzucha lub jeszcze innych przeszkód, które nie pozwalają mu skierować się ku drogom dolnym.

Według naszych ustaleń beknięcie i pierdnięcie przedstawiają wiele analogii, choć u niektórych osób to pierwsze budzi wstręt, niż to drugie. Ale czyż nie widziano na dworze Ludwika Wielkiego, jak pewien ambasador, pośród przepychu zbytku, jakie rozłaczał przed jego zdziwionymi oczyma ów prześwietny monarcha, zdrowo sobie beknął, zapewniając przy tem, że w jego kraju beknięcie stanowi nieodzowny składnik szlachetnego dostojęstwa tam panującego? A zatem nie należy wydawać bardziej nieprzychylnych sądów o jednym niż o drugim; nie ma różnicy, czy gaz wychodzi górą, czy też dołem, i nie powinno być żadnych skrupułów w tym względzie. Oto Furetiere podaje (tom II Dictionnaire Universel), że w hrabstwie Suffolk każdorazowo na Boże Narodzenie wasal musiał przed królem podskoczyć, beknąć i pierdnać.

Atoli nie należy zaliczać beknięcia do klasy wiatrów wywołujących bóle brzucha ani też do klasy szmerów i burczeń brzucha, które także są Wiatrami tego samego rodzaju, a które, burząc w jelitach i rodząc się powoli, kojarzą się z prologiem komedyi albo zwiastunem rychłej burzy. Dziewczęta i niewiasty, które opinają się ciasno, aby podkreślić swą figurę, są na to szczególnie podatne. Według Fernela jelito, które lekarze zwą coecum, jest u nich tak rozepchane i wywołuje tak wielkie wzdęcia, że gazy, jakie ono zawiera, walczą z nie mniejszym zapalem w jamie brzusznej, niż to onegdaj czyniły wiatry, które Eol więził w górskich grotach Eolyi; tak że dałoby się, korzystając z ich

przychylności, przedsięwziąć długą podróż morską lub przynajmniej wprawiać w ruch wiatraki.

Aby definicya nasza była kompletna, pozostaje nam napomknąć o funkcjach pierdzenia, które czasem jest zdrowiem dla ciała, jakże oczekiwanem przez naturę, czasami zaś delectowaniem się lub przyjemnością, zmyślnym sposobem spowodowaną. Odkładamy to wszakże na później, kiedy będziemy także mówili o skutkach. Patrz rozdział, który o tern traktuje. Tymczasem zaś godzi się zauważyć, iż odrzucamy, a nawet ganimy wielce wszelki cel sprzeczny ze zdrowiem i dobrym smakiem, albowiem grzecznym a uczciwym sposobem podobne nadużycia nie mogą się znaleźć w liczbie celów rozsądnych i rozkoszy przysparzających.

ROZDZIAŁ TRZECI

PODZIAŁ PIERDNIĘĆ

Wyjaśnwszy naturę i przyczynę pierdzenia, winniśmy przystąpić do właściwej klasyfikacyi pierdnień oraz do zbadania ich rozmaitych rodzajów, aby następnie określić je w zależności od ich cech.

PROBLEMAT

Naturalnym rzeczy sposobem rodzi się ta oto kwestya: ktoś mógłby zadać pytanie, jak właściwie dokonać odpowiedniego podziału pierdnień. Tak powiada niedowiarek. Czy należy je mierzyć na łokcie, na stopy, na kwarty, na korce? Nie. A oto jakie rozwiązanie zaproponował pewien znamienity chemik; nie ma nic łatwiejszego i bardziej naturalnego.

Wetknij — rzecz — nos do odbytu; jako że przegroda nosowa dzieli odbyt na dwie równe części, nozdrza utworzą szalki wagi, stanie twój nos. Jeśli poczujesz ciężar, mierząc wychodzące pierdnięcie, będzie to znak, iż należy je mierzyć na wadze; jeżeli -twardością się charakteryzuje — na łokcie lub na stopy; jeżeli zdaje się być płynem — na kwarty; jeżeli zaś grudkowatością się odznacza — na korce, i temuż podobne; ale jeśli że z racyi jego zbyt małych rozmiarów nie warto robić doświadczeń, czyń tak jak zacni panowie Verriers: dmuchaj w zadek tak długo, jak ci się spodoba, to znaczy aż osiągnie ono odpowiednią wielkość.

Ale pomówmy poważnie.

Uczeni gramatycy dzielą litery na samogłoski i na spółgłoski; zazwyczaj panowie ci ledwie co dotykają tej kwestyi. My jednak zawodowo się nią zajmując, by można było ową materję należycie poznać, a nawet w niej zagustować, dzielimy pierdnięcia na głosowe oraz nieme, czyli bąki właściwe.

Pierdnięcia głosowe z natury rzeczy zwą się petardami, od wyrazu peter, a to w związku z rozmaitemi rodzajami dźwięków, wytwarzają, jak gdyby podbrzusze pełne było petard. Porównaj w tej materji tezy o Petardzie spisane przez Willichiusa Jodochusa.

Otóż petarda jest dźwiękiem donośnym spowodowanym przez pary suche.

Dzieli się na wielką albo też małą, zależnie od różnorodnych przyczyn lub okoliczności. Petarda wielka jest pełnogłosowa lub głosowa par excellence; mała zwie się półgłosną.

O PIERDNIĘCIU PEŁNOGŁOSOWEM, CZYLI PIERDNIĘCIU WIELKIEM

Pierdnięcie wielkie petardowe, czyli pełnogłosowe-pełne, objawia się hałas wielki czyniąc, i to nie tylko z racji okazałego gabarytu, który je produkuje, jak w wypadku wieśniaków, ale także dzięki ogromnej różnorodności wiatrów na skutek pochłaniania znacznych ilości pokarmów wzdymających lub też z powodu niskiej ciepłoty naturalnej komory brzusznej i jelit. Owego feniksa wiatrów porównać można do odgłosu dział, eksplozji ogromnych pęcherzów, wiatrów przechodzących przez wielkie puszczaki organowe, i temuż podobne. Grzmoty Arystofanesa dałyby jedynie nędzne tego wyobrażenie. Nie byłoby to tak namacalne, jak odgłos dział, czy jak salwa wystrzelona, aby zburzyć mury albo rozpoczynająca atak batalionu, albo witająca pana, który przybywa do miasta, etc.

ZARZUTY PRZECIWNIKÓW PIERDZENIA

Powiadają, iż pierdnięcie wcale nas nie szokuje poprzez odgłos; gdyby było ono jedynie harmonijną improwizacją, nie dość, że nie raziłoby nas, ale jeszcze mogłoby nam się podobać; zawsze jednak następuje po nim nieprzyjemny zapach, który stanowi jego istotę i który niemiły jest naszemu powonieniu. Oto na czym polega jego wada. Na dobre daje znać o sobie, kiedy zaczyna rozprzestrzeniać niemiłe cząsteczki, co sprawiają, że znika pogoda na naszych licach. Czasem nawet jest ono na tyle zdradliwe, że zadaje nam ciosy zniemacka, których nie można było przewidzieć, i atakuje nas po kryjomu. Dość często daje się najsamprzód słyszeć głuchy odgłos, po czym następują jeszcze haniebniejsze jego satelity, tak że doskonale wiadomo, z jaką to nestosowną kompanią mamy do czynienia.

ODPOWIEDŹ

Nie ten zna się na pierdzeniu, co sądzi, iż jest ono tak bardzo haniebnem i przyczyną tyłuż nieprzyzwoitości. Prawdziwe pierdnięcie, czyli pierdnięcie pełne, nie posiada wcale zapachu albo ma go tak mało, że ten nie posiada dość siły aby pokonać przestrzeń pomiędzy jego ujściem a nosem obecnych. Łaciński wyraz crepitus określający pierdnięcie oznacza jedynie dźwięk bez zapachu. Zjawisko to myli się zazwyczaj z dwoma innymi szkodliwymi wzdęciami, z których jedno zasmuca nasz węch, zwać się pospolicie bąkiem lub, wedle życzenia, pierdnięciem albo jeszcze inaczej pierdnięciem żeńskim, drugie stanowi najohydniejszy spektakl, zwie się pierdnięciem gęstym lub pierdnięciem murarskim. Na tej to fałszywej bazują przeciwnicy pierdzenia, ale łatwo można ich w kozi róg wykazując, że prawdziwe pierdnięcie jest w istocie czem Innem

owe dwa monstra, które przed chwilą scharakteryzowano.

Wszelkie gazy gromadzące się w ciele, które po sprężeniu wydzielają się stamtąd zwą się wzdęciami; dlatego też pierdnięcie pełne, bądź i pierdnięcie gęste odpowiadają sobie co do rodzaju, ale to że potrzebują mniej lub więcej czasu, by przebywać w ciele, albo że z większą lub mniejszą łatwością ujście znajdują, stanowi o ich różnicy i czyni je całkowicie odmiennymi. Pierdnięcie pełne nagromadziwszy swą materię w ciele, przedostaje się różnymi organami wewnętrznymi znajdującymi się na jego drodze i wychodzi mniejszy lub większy hałas czyniąc. Materja pierdnięcia gęstego lub murarskiego usiłowała wielokrotnie się ulotnić, na skutek przeszkód zawraca z drogi, przemierza często tę samą przestrzeń, ogrzewa się, obciąża rozmaitemi składnikami tłuszczowemi, które zabiera po drodze: ta oto masa pojawia się w okolicy dolnej, by znaleźć ujście, a jako materja bardzo płynna, która czekała tylko na odpowiedni moment, by wystrzelić, czmycha wreszcie nie czyniąc zbyt wiele hałasu i pociąga za sobą całą zdobycz, którą się obciążyla. Bąk, również napotykający przeszkody i powstrzymany w przejściu, odbywa tę samą podróż co pierdnięcie murarskie: ogrzewa się takż, obciąża po drodze składnikami tłuszczowemi, dąży do wyjścia regyonami dolnemi z tą wszakże różnicą, iż napotykać teren suchy a jałowy, nie nabywa zgola dodatkowych dóbr, ale obciążony tylko tern, co zebrał po drodze, wyprowadza się najmniejszego hałasu nie czyniąc, a wychodząc prezentuje wężowi to, co ma najbardziej przykrego.

Odpowiedziawszy na zarzuty przeciwników pierdzenia powróćmy do naszego podziału.

Pierdnięcia zatem podobne są do artylerji, etc., albo też, wedle życzenia, do grzmotów Arystofanesa. Tak czy owak, dzielą się one na jednorazowe i wielokrotne.

Pierdnięcie jednorazowe daje wielki huk, pojedynczy i krótkotrwały. Priapos przyrównuje je, jak to już widzieliśmy, do pękających bukłaków.

Displosa sonat quantum vesica.

Następują one wówczas, gdy materja złożona jest ze składników jednorodnych, gdy jest obfita, gdy szczelina, przez którą wychodzi, jest dość szeroka lub dość rozciągliwa, lub wreszcie gdy osobnik, który je wydaje, jest krzepki i wystarczy mu do tego jednorazowy wysiłek.

Pierdnięcia wielokrotne wychodzą w formie kilku donośnych odgłosów, jeden po drugim następujących; przypominają one seryę podmuchów, które pojawiają się kolejno, kuliście jakby, jak gdyby padło piętnaście — dwadzieścia wystrzałów oddawanych raz po raz z fuzji. Zwą się one dyftongami, a niektórzy zapewniają, że osoba słusznej postury mogłaby ich wyprodukować ze dwadzieścia za jednym zamachem.

ROZDZIAŁ CZWARTY PRZYCZYNA FIZYCZNA Z ROZSĄDKU SIĘ WYWODZĄCA, CZYLI ANALIZA PIERDNIĘCIA DYFTONGICZNEGO

Pierdnięcie jest dyftongiem, gdy otwór jest szeroki, materja obfita, komponenty

niejednorodne, ciepłe i rzadkie, zimne i gęste zarazem, albo kiedy materya mając różne ogniska, musi cofać się do rozmaitych partyi i jelit.

A zatem nie może ona wydostać się od razu, ani utrzymać się w tych samych partyach jelit, ani też upłynąć jej się nie da pojedynczym wysiłkiem. Musi więc uchodzić, czyniąc to zmyślnie w różnych odstępach czasu, tak długo aż nic z niej nie pozostanie, - to znaczy aż do ostatniego dmuchu. Toteż dźwięk taki daje się słyszeć w nierównym rytmie i z tej to przyczyny, mimo niewielkiego wysiłku, słycać kanonadę lub krócej trwającą, co przypomina postępującą artykulację sylab dyftongicznych, takich jak pa pa paks, pa pa pa paks, pa pa pa papaks, etc. (Arystofanes, *In nubib.*), gdyż wówczas odbył nie zamyka się dokładnie, materya zaś zwycięża naturę. Nie ma nic bardziej urokliwego aniżeli mechanizm pierdnieć dyftongicznych, a zawdzięczamy to odbytowi.

Przede wszystkim:

1. Z natury swej winien on być wystarczająco obszerny i otoczony zwieraczem silnym a elastycznym.

2. Potrzeba dostatecznej ilości jednolitej materyi, aby uzyskać najsamprzód pierdniecie jednorazowe.

3. Po pierwszym wystrzale niech odbył zamknie się mimowolnie, ale nie aż tak bardzo, by materya, która ma okazać się silniejsza aniżeli natura, nie zdołała zmusić go do rozwarcia się i wywołania orgazmu (podrażnieniowego).

4. Niechaj się nieco zamyka, następnie zaś otwiera, i tak ciągle na przemian; w ten oto sposób walczy on z naturą, która ustawicznie dąży do wydalenia materyi i do jej rozproszenia.

5. Wreszcie, jeśli okoliczność tego wymaga, niechaj zatrzyma resztę wiatrów, aby je wydalić w czasie ku temu sposobniejszym. Można zastosować tu epigram Marcjalisa, ks. 12, gdzie dicit et pedit deciesque viciesque⁹⁴ etc. Ale temat ten poruszemy w innym miejscu.

Zapewne to o takich pierdnięciach dyftongicznych wzmiankuje Horacy, o Priaposie rozprawiając. Powiada, iż pewnego dnia ów krotochwilny bóg pierdnał siarczyście, co wystraszyło gromadę czarownic rzucających uroki w pobliżu. Otóż gdyby owo pierdniecie było tylko jednorazowe, prawdopodobnie czarownice wcale by się nie wystraszyły i nie porzuciły swych magicznych praktyk ani węzów, by uciekać do miasta co sił. Prawdopodobnem jest, iż Priapos rozpoczął swą seryę od pierdnięcia jednorazowego, co donośny huk dało, jak w wypadku mocno napiętego pęcherza; ale jako że po owym hałasie natychmiast nastąpiło pierdniecie dyftongiczne, po nim zaś następne jeszcze donośniejsze, przerażone czarownice, już przedtem solidnie wystraszone, czmychnęły co sił w nogach. Horacy nie rozwodzi się na ten temat; widocznem jest, iż wcale nie chciał o tem mówić, aby nie być rozwlekłym, i że zachował dyskrecyę, ponieważ wiedział, że każdy domyśla się, w czem rzecz. Ta krótka uwaga wydała nam się konieczną i stosowną, aby wyjaśnić ten fragment, który może być niejasny i trudny tylko dla tych, co nie znają się ani trochę na fizyce. Dłużej na ten temat nie będziemy się rozwodzić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

NIESZCZĘŚCIA! WYPADKI SPOWODOWANE PRZEZ PIERDNIĘCIA DYFTONGICZNE. HISTORIA

PIERDNIĘCIA, KTÓRE SPŁOSZYŁO DYABLA I CAŁKIEM GO OGŁUPIŁO. DOMY OD DYABŁÓW UWOLNIONE DZIĘKI INTERWENCYI PIERDNIĘĆ DYFTONGICZNYCH. RACYE I AKSYOMATY

Jeśli pierdnięcie dyftongiczne straszliwszem jest aniżeli grzmot i jeśli pewnem jest, iż piorun, który po nim następuje, zdziesiątkował ogromną ilość osób, sprawiając, że jedni ogłuchli, a drudzy rozsądek postradali, nie ulega wobec tego wątpliwości, że pierdnięcie dyftongiczne, jeżeli nie razi tak jak piorun, jest w stanie nie tylko spowodować wszystkie przypadłości jak w wypadku grzmotu, ale jeszcze zabić na miejscu ludzi słabych, bojaźliwego ducha i podatnych na przesady. Wnosimy tak mając na względzie naturę jego składników, a także ogromne sprężenie gazu, który po uwolnieniu, do tego stopnia wstrząsa partjami powietrza, że może niszczyć, rozszarpać i wyrwać w oka mgnieniu najdelikatniejsze włókna mózgu, a następnie nadać głowie szybki ruch rotacyjny, obracać ją na barkach niczym chorągiewkę na dachu, złamać na wysokości siódmego kręgu osłonę rdzenia przedłużonego i przez to spowodować śmierć. Wszystko to może nastąpić wskutek jedzenia rzepy, czosnku, grochu, bobu, brukwi lub wszelkich innych produktów wiatropędnych, których złowrózne cechy są ogólnie znane, a które powodują odgłos wyraźny, sukcesywny i przerywany, jaki słyszy się podczas erupcyi pierdnięcia. Niestety! Ileż kurcząt zostało zabitych w jajach, ileż płodów poronionych lub zaduszonych w łonie matek poprzez siłę eksplozyi! Sam dyabeł wielokrotnie od tego uciekał. Spośród kilku historyj, jakie można przeczytać na ten temat, przytoczę jedną, która niezawodnie jest prawdziwą.

Pewnego człeka dyabeł od dłuższego już czasu molestował, aby się w jego służbę oddał. On zaś, nie mogąc dłużej oprzeć się prześladowaniom złego ducha, przystał na to, pod trzema wszakże warunkami, które mu co rychlej zaproponował.

1. Poprosił go o wielkie ilości złota i srebra, i otrzymał je w mig.
2. Zażądał, aby uczynił go niewidzialnym. Dyabeł nauczył go sposobów i przekonał go o tem, odpowiedni eksperyment czyniąc, z miejsca się nie oddalając. Na koniec człek ów zafrasowany był wielce, nie wiedząc, co zaproponować za trzecim razem, a co mogłoby sprawić, że dyabeł nie będzie w stanie go ukontentować; a ponieważ jego umysł jak na razie nie podsuwał mu żadnego fortelu, ogarnął go strach, którego nadmiar całkiem przypadkowo przysłużył mu się, nad wyraz szczęśliwie wybawiając go z opresyi. Powiadają, że w tej krytycznej chwili wymyknięto mu się pierdnięcie dyftongiczne, którego hałas przypominał salwę z muszkietów. Wówczas to, przytomnie wykorzystując tę okazję, rzecze do dyabła:

—Chcę, abyś mi wypuścił wszystkie te pierdnięcia, a należę do ciebie.

Dyabeł usiłował to uczynić, ale pomimo iż posiadał otwór igły oraz napinał się z całych sił, ani trochę mu się nie udawało.

Zresztą wystraszony okropnym hałasem tego pierdnięcia, które powtórzyło echo dookoła, i skonfundowany, rozjuszony wręcz, widząc jak go oszukano, wziął nogi za pas,

puszczając piekielnego bąka, który zasmroził całą okolicę. W ten właśnie sposób oddalił od owego nieszczęśnika bliskie już niebezpieczeństwo, jakie mu groziło.

Jest także pewnem, i to na całym świecie, we wszystkich królestwach, republikach, miastach, wioskach, osadach, we wszystkich rodzinach i wiejskich rezydencyach, gdzie są służące, staruchy i pasterze, w księgach i starych historyach, że było mnóstwo domów od dyabłów uwolnionych, a to za pomocą pierdzenia, zapewne pierdnięć dyftongicznych. To rzeczywiście najdoskonalszy specyfik, jaki znamy, aby wygnać dyabła; a sztuka pierdzenia, którą dziś przedstawiamy, zyskując sobie przez to przyjaciół, ześle na nas niechybnie błogosławieństwo ludzi, których ów dyabeł nęka. Jesteśmy przekonani, że na sposób trzeba odpowiedzieć sposobem, na szelmstwo szelmstwem, że kim wybija kima, że silne światło likwiduje słabe i że dźwięki, zapachy, etc. pochłaniają inne, mniej silne. Znikając anioł ciemności będzie porażony pochodnią, jaką kładziemy w dłoń nieszczęśników, których ona urzeknie i ktokolwiek ją będzie trzymał, niczego już nie musi się obawiać.

Pierdnięcie dyftongiczne to mały grzmot kieszonkowy, jaki może pomocny się okazać. Jego zalety i przymioty zdrowotne aktywność swą na bieżąco i wstecz wykazują, jego cena nie ma granic i takim już uznano je w najodleglejszych czasach starożytnych. Stąd rzymskie przysłowie, że sążniste pierdnięcie warte jest talenta.

Zazwyczaj pierdnięcie dyftongiczne nie posiada złego zapachu, chyba że wywołują je jakieś procesy gnilne w jelitach lub przebywało i dojrzewało zbyt długo wewnątrz nieboszczyka (albo pod nim), który zaczął już gnić, albo też produkty, jakie się spożywało, były zepsute. Aby dokonać owego rozróżnienia, odwołuję się do najdelikatniejszego węchu; mojemu by się to nie udało, czytelnik zaś może nie ma kataru jak ja.

ROZDZIAŁ SZÓSTY O PIERDNIĘCIU PÓŁGŁOŚNEM, CZYLI PIERDNIĘCIU MAŁEM

Pierdnięcie małe, czyli półgłośne, wychodzi mniejszy hałas, aniżeli pierdniecie wielkie, bądź to z powodu zbyt wąskiego kanału, czyli ujścia, którędy się wydobywa (tak jak pierdnięcia szlachcianek), bądź to z powodu małej ilości wiatrów, które są uwięzione w jelitach.

Pierdnięcie to dzieli się na pełne, średnie i przydechowe.

O PIERDNIĘCIU PEŁNEM

Jest to pierdnięcie półgłośne, inaczej małe, składające się z materji bardzo suchej i wielce delikatnej; ta przemieszczając się łagodnie wzdłuż kanału wyjściowego, który jest bardzo wąski, zdołałaby nadmuchać co najwyżej słomkę. Zwie się pospolicie pierdnięciem szlachcianek, w niczem nie niepokoi wrażliwych nosów i wcale nieprzyzwoitem nie jest, jak bąk i pierdnięcie murarskie.

O PIERDNIĘCIU PRZYDECHOWEM

Pierdnięcie przydechowe, czyli małe lub półgłośnie, składa się z materyi wilgotnej i nieokreślonej. Aby dać wyobrażenie jego istoty i smaku, nie znalazłbym lepszego porównania aniżeli pierdnięcie gęsi; i nie jest istotnem, czy gabaryt, jaki je produkuje, jest szeroki lub wąski: jest ono tak mizernem, że trudno znaleźć bardziej cherlawy stwór. To typowe pierdnięcie piekarek.

O PIERDNIĘCIU ŚREDNIEM

Zajmuje ono w pewnym sensie pozycję pośrednią pomiędzy pierdnięciem pełnem a pierdnięciem przydechowym, ponieważ jednolita, dobrze przetrawiona materya, z jakiej się składa, będąc ilości i jakości mizernej, wychodzi w naturalny sposób bez najmniejszego wysiłku przez otwór, który w momencie tym nie zwiera się ani nie otwiera zbyt. To pierdnięcie typowe dla strapionych stanem wolnym oraz dla małżonek burmistrzów.

PRZYCZYNY POPRZEDNICH PIERDNIĘĆ

Istnieją trzy najgłówniejsze przyczyny różnorodności dźwięków w przypadku tych trzech rodzajów pierdnięć, a także i w wszystkich pozostałych: należy znać naturę wiatru, naturę kanału tudzież tężyznę osobnika.

1. Im suchszą jest materya wiatru, tern lepiej pierdnięcie słyhać; im jest ona wilgotniejszą, tern bardziej jest ono niewyraźnem; im bardziej jest ona jednolitą i tej samej natury, tern krócej ono trwa; wreszcie im bardziej jest ona różnorodną, tern większe urozmaicenie ono prezentuje.

2. Co się tyczy natury kanału: im będzie węższy, tern wyższy będzie dźwięk; im będzie szerszy, tern niższy dźwięk będzie. U źródeł tych zależności jest cienkość lub grubość jelit, których wygłodzenie lub wypełnienie posiadają niebagatelne znaczenie, co się tyczy dźwięków, albowiem wiadomem jest, iż to co puste, donioślejszy dźwięk daje, aniżeli to co jest wypełnione.

Trzecia wreszcie przyczyna, dla której dźwięki się różnią, to energia i tężyzna osobnika, albowiem im bardziej natura obdarzona jest siłą i wigorem, tern donioślejszy jest dźwięk pierdnięcia i tem to ostatnie jest pełniejszym.

Wobec powyższego jasnem jest, iż właśnie z różnorodności przyczyn wynika różnica dźwięków. Łatwo można to wykazać na przykładzie fletów, trąbek i flażoletów. Flet o ściankach grubych i szerokich daje dźwięk niewyraźny, flet o ściankach cienkich i wąskich wydaje dźwięk pełny; wreszcie flet, którego ścianki nie są ani zbyt grube, ani zbyt cienkie, wydaje dźwięk pośredni. Budowa osobnika stanowi kolejną przyczynę potwierdzającą niniejszą tezę. Niechaj, na przykład, ktoś kto posiada dobry dmuch, przytknie do ust trąbkę, a wydobędzie z niej bezsprzecznie dźwięki bardzo donośne; przeciwieństwo będzie miało miejsce, jeżeli ma on dech słaby i krótki. Zauważmy wobec

powyższego, że instrumenty dęte dobrze są pomyślane i okazują wielką użyteczność przy analizowaniu pierdnięć; że dzięki nim formułuje się tezy nie do zbicia, jeżeli takowe mogą istnieć, dotyczące różnorodnych dźwięków pierdnięć. O, flety zachwycające, flażolety tkliwe, uroczyste rogi myśliwskie! etc. Jesteście tak zmyślnie wykonane, że można powołać się na was, jeśli idzie o sztukę pierdzenia, kiedy przytykane jesteście niewłaściwie do ust, a potraficie umiejętnie zaprezentować ton ostry lub poważny, kiedy zręczne usta sprawiają, że dźwięczycie: dmijcie zatem zręcznie, Muzycy!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

KWESTYA MUZYCZNA. OSOBLIWY DUET. ZMYŚLNY SPOSÓB NA UMOŻLIWIENIE GŁUCHEMU SŁUCHANIA KONCERTU

Pewien niemiecki uczoney przedstawił kwestyę nader trudną do rozwiązania: jak się przekonać, czy w pierdnięciach może tkwić muzyka?

Distinguo: istnieje muzyka w pierdnięciach dyftongicznych-concedo; w pozostałych pierdnięciach — nego.

Muzyka, jaka powstaje z pierdnięć dyftongicznych, nie wyraża się poprzez głos lub inny bodziec dźwiękowy, tak jak skrzypce, gitara, klawesyn etc. Zależną jest jedynie od mechanizmu zwieracza odbytu, który ścieśniając się albo rozszerzając mniej lub bardziej, produkuje dźwięki już to niskie, już to wysokie. Osobliwość owej muzyki polega na tem, że powstaje poprzez dmuch, i jak to powiedzieliśmy wyżej, można tu doszukiwać się analogii do dźwięków fletu, trąbki, flażoletów, etc.

A zatem pierdnięcia dyftongiczne jako jedyne są w stanie tworzyć muzykę stosownie do ich natury, jak można się o tem przekonać w rozdziale trzecim o podziale pierdnięć. Wobec powyższego może istnieć muzyka w pierdnięciach. Przykład następny objaśni jeszcze lepiej tę kwestyę.

Dwóch małych chłopców, mych szkolnych towarzyszków, posiadało talent, z którego często robili użytek, a i ja także: jeden wydawał beknięcia, i to o różnych tonach, tak jak chciał, drugi zaś w podobny sposób wydawał pierdnięcia. Ten ostatni, by przydać czynności swej więcej elegancyi i finezyi, posługiwał się niewielkiem rzeszotem do osączania serów, na które nakładał kartkę papieru; po czem siadając na tern nago i kręcąc pośladkami, wydawał wszelkiego rodzaju dźwięki organiczne a powabne. Przyznaję, iż muzyka tego gatunku nie była zbyt harmonijna, ani też modulacye nie były wyszukane wielce; że byłoby nawet dużą sztuką wymyślić reguły śpiewu, który by towarzyszył takiemu koncertowi i zharmonizować, jak należy, niskie i wysokie tony w najwyższej skali głosowej, tenory i barytony, falsety i basy. Ośmielam się jednak zauważyć, iż zręczny nauczyciel muzyki mógłby zbudować z tego oryginalny system, godny przekazania potomnym i mogący znaleźć swe miejsce w sztuce kompozycyi: będzie to gama dyatoniczna rozpisana po pitagorejsku, na bazie której otrzyma się gamy chromatyczne, zaciskając zęby. Można z powodzeniem to osiągnąć, ściśle respektując zasady, które wcześniej podaliśmy. Niezawodną wskazówką okaże się w tej operacyi energia fizyologiczna osobnika. Chcesz otrzymać dźwięki wysokie? Zapewni ci je ciało pełne gazów rozrzedzonych i o wąskim odbycie. Chcesz dźwięków dwa razy niższych?

Niechaj zabrzmi brzuch pełen gazów gęstych, a kanał niech będzie szeroki.

Kaldun o wiatrach wilgotnych wyprodukuje jedynie dźwięki niewyraźne. Krótko mówiąc, podbrzusze to wielce złożony instrument organowy, który wydaje rozmaite dźwięki, a dzięki któremu można bez zbyteńnego wysiłku wydobyć jak z magazynu dwanaście modusów, czyli dźwiękowych skali modalnych, z których wybierze się jedynie te, co będą pełniły funkcję ozdobników melodycznych, jak miksolidyjska, hypomiksolidyjska, dorycka i hypodorycka, albowiem używając ich wszystkich bez różnicy, a lubując się w pierdnięciach półgłośnych, uzyskaloby się dźwięki ściszone do tego stopnia, że by się ich nie odróżniało, albo też produkowałoby się w unisonie kilka dźwięków wysokich lub niskich dających muzykę nieprzyjemną i bez smaku, na co zgodzić by się można jedynie w wypadku harmideru albo wielkiego chóru. Filozoficzny aksjomat ostrzega przed owym niebezpieczeństwem — rzecz zbyt wyczuwalna niszczy wrażliwość: a sensibili in supremo gradu destruitur. Należy więc postępować w sposób umiarkowany, a zyska się pewność, że się to spodoba. W przeciwnym razie siałoby się przerażenie, naśladując hałaśliwe dźwięki katarakt w Szafuzie lub górach Hiszpanii, huk wodospadów Nyagary lub Montmorency w Kanadzie, co to są przyczyną głuchoty, a także poronienia u kobiet, nie pozwalając im donosić ciąży.

Jednakowoż dźwięk nie może być tak słaby, by męczył słuchacza zmuszając go do zbyt wielkiego wysiłku i uwagi, jeśli ten chce go usłyszeć. We wszystkim jest konieczny umiar.

Est modus in rebus, sunt certi denique fines
Quos ultra citraque nequit consistere rectum⁹⁵

Przestrzegając skrupulatnie tej rady Horacego, zawsze postępować się będzie właściwie, jedynie uznania sobie przysparzając.

Zanim wszelako skończę ten rozdział, nie mógłbym przed wami zataić, jako przykładowy obywatel starający się zrekompensować, na ile to możliwe, krzywdy, jakie natura wyrządziła jego przyjaciółom, wobec których okazała się zbyt okrutną; nie potrafiłbym — powiadam — zataić metody, która pozwoli głuchemu cieszyć się tą muzyką.

Niechaj weźmie on fajkę, niech przytknie jej wylot do koncertującego odbytu, niechaj drugi jej koniec trzyma między zębami, a szczęśliwym przypadkiem będzie mógł uchwycić wszystkie interwały dźwiękowe w całej ich rozciągłości i słodczy. Mamy na to liczne przykłady u Cardana i Baptysty l'Orta z Neapolu. A jeżeli jakaś inna osoba niż głuchy, jakiego bądź stanu i kondycyji, zechce zagustować w tej przyjemności, będzie mogła, podobnie jak tamten, ostro puszczać wiatry; a wówczas zakosztuje całej przyjemności i wszystkich wrażeń, jakich tylko mogłaby oczekiwać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

O PIERDNIĘCIACH NIEMYCH ZWANYCH

NIEPRYZWOICIE BĄKAMI

DYAGNOZA I PROGNOZA

Porzucmy artykulację, aby porozumieć się teraz bez użycia mowy.

Pierdnięcia nieme, potocznie nazywane bąkami, są całkiem pozbawione dźwięku, a powstają z niewielkiej ilości bardzo wilgotnych wiatrów.

Zwą się one po łacinie visia, od czasownika visire; po niemiecku Feisten i po angielsku fich lub vetch.

Bąki są albo suche, albo rozwodnione. Suche wychodzą nie czyniąc hałasu i nie unosząc ze sobą materii gęstej.

Rozwodnione natomiast, składające się z wiatrów cichych a nieokreślonych, zabierają zawsze ze sobą trochę materii płynnej. Bąjd mają chyżość strzały lub pioruna i są nie do zniesienia w towarzystwie z racy odrażającej woni, jaką wydzielają. Jeżeli popatrzy się na własną koszulę, zauważy się korpus delicti, jaki na niej zazwyczaj zostawiają. Jest regułą, co stwierdził już Jean Despautere, że poprzez połączenie głoski płynnej z głoską niemą w tej samej sylabie samogłoska słaba krótka się staje, co oznacza, że efekt bąka rozwodnionego następuje nadzwyczaj szybko: Cum muta liquidam jungens in syllaba eadem, ancipitem ponens vocalem quae brevis esto. Przeczytałem gdzieś, że dyabeł z łacińskiego kraju pragnąc pewnego dnia sobie pierdnąć, wypuścił jedynie bąka rozwodnionego, którym zasrał sobie spodnie, a przeklinając zdradziecki zadek, wykrzyknął z wściekłością i oburzeniem: Nusquam tuta fides — czyż niczemu nie można już dać wiary na tym świecie? Bardzo więc słusznie czynią ci, co obawiając się tego rodzaju bąków, starają się, nim je wypuszczą, nisko spuścić spodnie i unieść koszulę. Nazywam ich ludźmi rozsądnymi, ostrożnymi i przewidującymi.

DYAGNOZA I PROGNOZA

Skoro bąki rozwodnione wychodzą nie czyniąc hałasu, jest to znak, iż nie ma zbyt wiele wiatrów. Ponieważ unoszą ze sobą ekskrementy płynne, można z tego wnosić, że nie istnieje tu żadne ryzyko, co się tyczy zdrowia, i że są one wielce dla organizmu pożyteczne. To sygnał, że materia dojrzała już jest i czas sprawić ulgę lędźwiom swym i brzuchowi, według tego oto aksjomatu: Maturum stercus est importabile pondus.⁹⁶

Wielką niedogodnością jest szybka potrzeba wypróżnienia się. Trzeba ją zaspokoić jak najszybciej, w przeciwnym razie będzie się miało zajęcie jak ów dyabeł z łacińskiego kraju (patrz powyżej).

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY O PIERDNIĘCIACH I BĄKACH ROZMYŚLNYCH I NIEUMYŚLNYCH

Jednym i drugim przypisuje się tę samą przyczynę sprawczą, co się tyczy materii wiatrów, które są produkowane na skutek konsumpcji cebuli, czosnku, rzepy, brukwi, kapusty, ostrych potraw, grochu, bobu, soczewicy, fasoli, etc. Są one rozmyślne nieumyślne i są tych samych rodzajów, cośmy wyżej wyszczególnili.

Pierdzenie rozmyślne nie występuje zbyt często wśród ludzi dobrze wychowanych, chyba że mieszkają razem i śpią w tym samym łóżku. Można wówczas pierdnąć sobie rażno, bądź to śmiechu, bądź też dla krotochwili, czyniąc to nawet tak

gromko i siarczyście, że każdy obecny przy tem uznałby to za salwy z kolubryn. Znałem pewną damę, która nakrywając sobie odbyt koszulą, podchodziła do świecy dopiero co zgaszonej i, pierdząc a puszczając bąki wolno i rytmicznie, zapalała ją ponownie, bardzo zręcznie to czyniąc; inna jednak, co chciała ją naśladować, nie zdołała tego dokonać. Zamieniła knot w rozżarzony proszek, który rychło rozproszył się w powietrzu, i przypaliła sobie zadek. Święta to prawda, że nie każdemu jest dane udać się do Koryntu⁹⁷. Ale jeszcze większą zabawą jest uchwycić bąka w dłoń i zbliżyć go do nosa tego (lub tej), z którym dzieli się łożę, każąc określić smak i gatunek. Znam takich, co niezbyt by gustowali w podobnej rozrywce.

Pierdniecie nieumyślne powstaje bez udziału tego, kto je produkuje. Ma to zazwyczaj miejsce, kiedy leżymy na plecach lub kiedy się pochylamy, albo kiedy śmiejemy się do rozpuku, albo jeszcze kiedy odczuwamy strach. Ten rodzaj pierdnięcia da się na ogół usprawiedliwić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O KONSEKWENCYACH PIERDNIĘĆ I BĄKÓW ICH UŻYTECZNOŚĆ OSOBISTA

Omówiwszy przyczyny pierdnień i bąków, pozostaje nam powiedzieć co nieco o ich efektach, a ponieważ są one różnej natury, sprowadzimy je do dwóch rodzajów, to znaczy do dobrych i złych.

Wszelkie dobre pierdnięcia są same przez się zawsze dla zdrowia użyteczne, w tem znaczeniu, że człowiek pozbywa się wiatrów, które mu wadzą. To odprowadzenie odwraca rozliczne choroby, jako to ból hypochondryczny, furja, bóle brzucha, kolka, dolegliwości biodrowe, etc.

Ale kiedy gazy są ściśnięte, gdy idą do góry lub nie znajdują ujścia, atakują mózg poprzez nadzwyczajną ilość substancji lotnych, które tamtędy przechodzą; psują pamięć, sprawiają, że człowiek melancholijny i furyatem się staje, powodują wiele szkodliwych chorób. Stąd też upławy, jakie tworzą się poprzez destylację gazowej materii tych złowrogich lotnych stworów, co schodzą do partyj dolnych. Szczęśliwy jest ten, u kogo kończy się to tylko na kaszlu, katarach, etc., jak powiadają lekarze wykazując to nieustannie. Ale według mnie największym złem jest stracić wszelki zapał i odczuwać niechęć do studyów i pracy. Dołóżmy więc wysiłku, drogi Czytelniku, by co rychłej dać upust niecierpliwym gazom, wszelkim ostrym, przenikliwym wiatrom, wreszcie— aby pozbyć się najdrobniejszych nawet dolegliwości przez nie spowodowanych. Wydalajmy je żwawo, moi drodzy ziomkowie, nawet hałas czyniąc, bo przecież lepiej niż szkodzić sobie samemu, ryzykując, że staniemy się hypochondrykami, melancholikami, furyatami i waryatami.

Przyjmij drogi Czytelniku, podobnie jak ja, ową zasadę, że pierdzenie posiada użyteczność osobistą, która dotyczy każdej jednostki, a przekonuje cię już o tem dobro, jakiego pierdzenie przysparza. A jeszcze bardziej uwierzysz w to dzięki przykładom, które chcę ci przytoczyć, a które dotyczą osób będących w poważnych tarapatkach z powodu powstrzymywania wiatrów.

Pewna dama, pośród liczego towarzystwa, poczuła zniecka bóle w boku. Zatrwożona tak nieprzewidzianym incydentem opuszcza uroczystość, którą bodajże specjalnie dla niej zorganizowano, a której była ozdoba. Wzbudza to ogólne zainteresowanie — następuje poruszenie, wszyscy się niepokoją, biegną na pomoc. Zawezwani pospiesznie uczniowie Hypokratesa przybywają dumnie, konsultują się wzajemnie, poszukują przyczyny bólów, powołują się na rozlicznych autorów, wreszcie zbierają informacje dotyczące trybu życia i diety, której dama przestrzegaa. Chora się zastanawia i przypomina sobie, że nieroztropnie wstrzymywała sążniste pierdnięcie, co ujścia się domagało.

Inna znów, podatna na wiatry, powstrzymuje dwanaście uwięzionych solidnych pierdnięć, które usiłują kolejno zmanifestować swą obecność: przeżywa tortury podczas długiej gościny, wreszcie zasiada do bogato zastawionego stołu, sądząc, że ważną osobą tu będzie. I cóż się dzieje? Pożera oczyma dania, których nie jest w stanie spróbować: jej żołądek pełen wiatrów nie może już przyjąć pożywienia.

Zblazowany dandys, zacny opat, stateczny urzędnik — wszyscy trzej, sztywno trzymając się towarzyskich reguł, czynią ze swych ciał jaskinię Eola: wprowadzają doń wiatry; jeden przechwalając się wielce, drugi uczenie rozprawiając, trzeci bez końca deliberując. Czują, jak wzbiera się na gwałtowną nawałnicę jelitową: dzielnie stawiają jej czoła, ani jeden z nich nie wypuszcza najmniejszego pierdnięcia. Po powrocie do domu ostry ból brzucha, który cała apteka zdoła z ledwością uśmierzyć, zwała ich z nóg bezlitośnie, tak że są o krok od śmierci.

Ileż dobrodziejstw, natomiast. drogi Czytelniku, przysparzają wiatry uwolnione rychło w czas! Rozpraszają wszystkie symptomy poważnej choroby, rozwiewają niepokój wszelki, samą swą obecnością uspokajając zatrwożone umysły. Osoba taka, uważając się za poważnie chorą, wzywa na pomoc wyznawców, którzy pierdnąwszy siarczyście a nieoczekiwanie, dzięki składają medycynie i są całkowicie uzdrowieni.

Inny znów wstaje rano, czując ogromny ciężar w żołądku. Wychodzi z łóżka całkiem napęczniały, a przecież poprzedniego dnia wcale nie przebrał miary przy stole. Nie ma ani smaku, ani apetytu, nie przyjmuje żadnego pokarmu; niepokoi się i trwoży. Nadchodzi noc, a jedyną ulgą, jaką ona mu przynosi, jest słaba nadzieja na niespokojny sen. Zaraz też kładzie się do łóżka, a w dolnych regyonach nawałnica się zrywa: wzburzone jelita zdają się jęczeć płaczącym tonem i po gwałtownych drgawkach sążniste pierdnięcia daje się słyszeć, co sprawia, że nasz chory skonfundowany jest wielce, iż niepokoiła go taka błahostka.

Pewna kobieta, niewolnica przesądów, nigdy nie zaznawaa dobrodziejstw pierdzenia. Od dwunastu lat, jako nieszczęśliwa ofiara cierpień, a być może bardziej jeszcze medycyny, wyczerpała już wszystkie możliwości leczenia. Kiedy w końcu oświecono ją, jak użytecznym jest pierdzenie, puszcza wiatry do woli i często bóle przeszły, choroby minęły: ważnym jest dla niej tylko to, by dobrze się czuć, i cieszy się dziś wybornem zdrowiem. Oto ogromne korzyści, jakich pierdzenie przysparza każdemu z osobna. Któż może po tem wszystkim kwestyonować jego użyteczność przynajmniej osobistą? Bąk burzy dobrą atmosferę w towarzystwie poprzez swą złośliwą naturę, pierdzenie natomiast jest przeciw niemu antydotum; niszczy go i z pewnością nie pozwoli mu się

pojawić, jeśli tylko ono samo będzie miało dość siły, by zrobić sobie przejście, albowiem oczywistem jest, w co wątpić niepodobna, o ile zbada się informacjami, jakie tu podaliśmy na temat pierdzenia i bąków, że te ostatnie puszcza się tylko z tej przyczyny, iż nie miało się zamiaru pierdnąć, a w konsekwencji, że wszędzie tam, gdzie pojawi się pierdnięcie, bąk wcale nie będzie obecny.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

KORZYŚĆ Z PIERDZENIA DLA TOWARZYSTWA

Cesarz Klaudyusz, ów cesarz po trzykroć wielki, który jedynie zdrowie swych poddanych miał na względzie, zostawszy poinformowany, iż niektórzy z nich żywili doń tak wielki szacunek, że woleli raczej zginąć, niż pierdnąć w jego obecności, a dowiedziawszy się (jak to przytacza Swetoniusz, Dyon i wiele innych historyków), iż męczyły ich przed śmiercią okropne bóle brzucha, wydał edykt, na mocy którego zezwalał wszystkim swym poddanym puszczać wiatry do woli, nawet przy stole, byle tylko czynić to bez ogródek.

Zapewne uciekając się do mechanizmu antyfrazy nadano mu Klaudyusz, od łacińskiego wyrazu *claudere*, zamykać; albowiem edykt ten wydając, kazał raczej otwierać organy pierdzenia niż je zamykać. Czyż zatem nie byłoby właściwem wskrzesić podobny edykt, który — jak twierdzi Cujas⁹⁹ — znajdował się już w dawnym kodeksie, tak jak mnóstwo innych, które zeń usunięto?

Nieprzyzwoitość, jaką wiąże się z pierdzeniem, wyjaśnić można jedynie mając na uwadze usposobienie i kaprysy ludzi. Nie jest ono zgoła sprzecznem z dobrymi obyczajami, w konsekwencji zaś nie jest wcale ryzykownem zezwalać na nie. Mamy zresztą dowody, iż w rozlicznych miejscach, a nawet pośród części eleganckiego towarzystwa pierdzi się do woli, i największem okrucieństwem jest żywić w tym względzie jakiegokolwiek skrupuły.

W pewnej parafii odległej od Caen o cztery lub pięć mil człek pewien na mocy prawa feudalnego przez długi czas wymagał i ma prawo jeszcze dzisiaj wymagać półtora pierdnięcia rokrocznie.

Egipcyanie uczynili z pierdzenia boga, którego postacie pokazuje się jeszcze w niektórych muzeach.

Starożytni, obserwując bardziej lub mniej hałaśliwe wypuszczanie wiatrów, przepowiadali pogodę ładną lub dżdżystą.

Ci z Pelusyum adorowali pierdzenie. Jeżeli człowieka nie krępowałaby obawa, że pozwala sobie na zbyt wiele, czyż nie mógłby z tego wszystkiego wnosić, iż pierdzenie, któremu jakże daleko do nieprzyzwoitości, jest obyczajnością najdoskonalszej i najbardziej majestatycznej, albowiem stanowi ono zewnętrzny objaw szacunku poddanego względem swego pana, daniną wasala wobec seniora, jest godnem uwagi Cezara, zwiastunem zmian pogody oraz — co tu dużo mówić! — przedmiotem kultu i czci potężnego narodu.

Ale ukażmy poprzez inne jeszcze przykłady, iż pierdzenie użytecznym jest dla towarzystwa.

Istnieją wrogowie towarzystwa, których wysiłki pierdnięcie przerywa.

Na przykład w liczonym towarzystwie zblazowany salonowiec znajduje sekret jak zanudzać na śmierć: przez całą godzinę się wdzięczy, szczerzy zęby, bredzi moc nedorzeczości, przez co nuży słuchaczy. Nagłe pierdnięcie z miejsca zbija go z pantafelku, pojawiając się w sam czas, aby wyrwać wszystkie umysły od skrępowania i odwrócić uwagę od wyczerpującej gadaniny ich wspólnego wroga. To jeszcze nie wszystko — pierdzenie przysparza realnych dobrodziejstw. Najurokliwszym sposobem nawiązania bliższych kontaktów w towarzystwie jest rozmowa. Pierdnięcie przyczynia się do tego w cudowny sposób.

Pewne znamienite towarzystwo od dwóch godzin zachowuje milczenie bardziej posępne niż cisza w Grande Chartreuse¹⁰⁰; jednym mówić nie pozwala etykieta, innym nieśmiałość, innym wreszcie ignorancja: skłonni rozstać się, nie wymówiwszy ani słowa. Nagle daje się słyszeć pierdnięcie i natychmiast nieśmiały szmer przeradza się w długą dyskusję, którą rozum kieruje a żart okrasza. A zatem pierdnięciu towarzystwo zawdzięcza przerwanie krotocwilnej ciszy i materiał do wesołej rozmowy. Pierdzenie zatem pożytecznym jest również dla towarzystwa w ogólności. Można wręcz dodać, że nie jest mu ono niemiłym. Śmiechy, a nierzadko salwy śmiechu, jakie powoduje pierdnięcie, kiedy tylko daje się posłyszeć, w całej rozciągłości dowodzą jego zalet i uroków: osoba najbardziej stateczna traci powagę w jego bliskości, najbardziej prawy charakter nie zdoła

temu się oprzeć. Harmonijny a nagły odgłos, jaki stanowi jego istotę, rozwiewa letarg umysłów. Niech no tylko w zgromadzeniu filozofów wsłuchujących się uważnie w pompatyczne maksymy, jakie jeden z nich metodycznie wygłasza, pierdnięcie pojawi się incognito, a moralność zbита z tropu od razu ustępuje miejsca śmiechom i radosnym rechotom, natura zaś toruje sobie drogę tem chętniej, iż na ogół skrępowaną jest u tych niezwykłych mężów.

Niechaj nie wydaje się skrajnie niesprawiedliwego sądu, że śmiechy hamują pierdzenie, będąc raczej sygnałem litości i pogardy, niż oznaką prawdziwej radości. Pierdnięcie zawiera w sobie nieodzowny urok niezależnie od miejsca i okoliczności.

Zgromadzona przy chorym rodzina, tonąc we łzach oczekuje tej strasznej chwili, która ma jej odebrać pana, syna, brata. Pierdnięcie, wylatujące z hukiem z łoża konającego, powstrzymuje boleść zgromadzonych, rodzi płomyk nadziei, wywołuje przynajmniej uśmiech na obliczach.

Jeżeli przy łożu konającego, gdzie panuje wszechobecny smutek, pierdnięcie jest w stanie rozweselić umysły i pokrzepić serca, czyż można powątpiewać w siłę jego uroku? I tak, jako podatne na różne modyfikacje, zalety swe urozmaicać może, przez co musi się ogólnie podobać. Czasem, gdy spieszno mu do wyjścia, pęd ma gwałtowny, huk działa naśladować, a przez to podoba się mężowi wojennego rzemiosła; czasem powolne w biegu, skrępowane w przejściu przez obje półkule, które wąski przesmyk dają, naśladowuje instrumenty muzyczne. Czasami hałaśliwe poprzez swe akordy, często zmienne i łagodne dzięki swym modulacjom, radość niechybnie sprawia duszom wrażli-

wym i prawie wszystkim ludziom, albowiem niewielu jest takich, co nie kochają muzyki. Skoro pierdzenie przyjemnem jest, jego użyteczność, tak osobista, jak i ogólna, została udowodniona, a jego rzekoma nieprzyzwoitość odrzucona i pokonana, któż będzie w stanie go nie zaaprobować? Któż ośmieli się odtąd oskarżać je o nieprzyzwoitość, skoro powiada się, że cieszy się aprobacją w niektórych miejscach, a potępia się je w innych jedynie z racji przesądów: skoro dowodzi się, iż nie uwłacza ono ani grzeczności, ani dobrym obyczajom, ponieważ działa na narządy jedynie dźwiękiem harmonijnym i ponieważ nigdy nie razi węchu poprzez szkodliwy gaz? Czyż można sądzić, że nie posiada ono znaczenia, skoro jest użytecznem każdemu z osobna, rozpraszając jego niespokojne myśli o chorobach, których się obawiał, i przynosząc mu ogromną ulgę? Czyż wreszcie towarzystwo byłoby na tyle niewdzięcznem, by nie przyznać, iż jest jego dłużnikiem, skoro pierdzenie uwalnia je od natrętów, którzy je nachodzą, i skoro przysparza mu przyjemności, rodząc wszędzie tam, gdzie się pojawia, śmiechy i zabawy? To, co jest użytecznem, przyjemnem i roztropnem, uważane jest za realne dobro i wartość mające. Cic. Liv. I De officiis.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

METODY SKRYWANIA PIERDNIĘCIĄ NA POŻYTEK TYCH, CO PRZESĄDÓW SIĘ TRZYMAJĄ

Starożytni, którym daleko do krytykowania pierdzieli, zachęcali swych uczniów, by nie krępowali się zgoła. Stoicy, których filozofia była w owych czasach najszlachetniejsza, powiadali, iż dewizą ludzi jest wolność, i najznamienszi filozofowie, nawet sam Cyceron, którzy byli o tem przekonani, przedkładali doktrynę stoicką nad inne szkoły traktujące o szczęśliwości życia ludzkiego.

Wszyscy oni przekonali swych adwersarzy i, poprzez argumenty nie do zbiccia, zmusili ich do stwierdzenia, iż wśród pożytecznych reguł życia nie tylko pierdnięcia, ale także baki muszą być dozwolone. Argumenty te dostrzec można w dziewiątym liście *Ad familiares* Cycerona do Peta, 174, a pośród nieskończonej ilości dobrych rad zobaczymy tam i taką: należy postępować i kierować się we wszystkim według wskazań natury. Wobec tak ważkich argumentów jest rzeczą bezużyteczną powoływać się gromkim głosem na zasady grzeczności i powściągliwości, które mimo iż wymagają — jak się powiada — należytych względów, nie powinny jednakowóż górować nad troską o własne zdrowie, a nawet życie.

Ostatecznie, jeśli ktoś jest do tego stopnia niewolnikiem owego przesądu, że nie może uwolnić się od krępujących go więzów, nie odradzając mu bynajmniej puszczania wiatrów, kiedy natura będzie tego wymagała, ukażemy mu chociaż metody pozwalające ukryć pierdzenie.

Niech zatem, kiedy pojawi się pierdnięcie, pilnuje, aby wydawać donośne hmm, hmm. Jeżeli płuca jego nie są wystarczająco silne, niech uda głośnie kichnięcie, a wówczas będzie ugoszczony, wręcz uhonorowany przez całe towarzystwo i obsypany życzeniami. Jeżeli jest na tyle niezręczny, że nie może zrobić ani jednego, ani drugiego, niech

splunie z wielką siłą, niech mocno poruszy swoim krzesłem, wreszcie niech poczyni hałas jaki bądź, żeby zataić pierdnięcie. A jeśli nie może tego wszystkiego zrobić, niechaj ściśnie solidnie pośladki, a wówczas będzie tak, że natężając i ściskając mięsień odbytowy, zamieni on na żeńskie to, co powinno ująć jako męskie. Jednak owa niefortunna finezya szczerze obdarzy węż tym, co odejmie słuchowi. Natkniemy się tu na przypadek, o którym wzmiankuje następująca zagadka zawarta w *Mercure galant* pióra Boursault:

Jestem niewidzialnem ciałem,
Co z dolnych idzie regyonów;
I nie śmiem zdradzić nikomu,
Jak zważ mnie i jak powstałem.
A fortelu się imając
Czmycham, samiczką się stając
Miał samca, którym być miałem.

Nie mogę wszelako ukryć faktu, że wszystkie fortele obracają się nierzadko przeciw temu, kto się nimi posługuje, i że zdana się często, iż wprowadza się nieprzyjaciela między biodra, ten zaś rozrywa je niemiłosiernie. Stąd wynikać będą wszystkie bóle, które wyszczególniliśmy w rozdziale trzecim.

Może się też zdarzyć, że pragnąc się powstrzymać, popełnia się jeszcze większą ilość niestosowności, albowiem wówczas nie da się znieść dolegliwości kolkowych i brzusznych, a ponieważ wiatry pojawiają się w ogromnych ilościach, odzywa się kanonada groteskowa w swej potężności. To właśnie przydarzyło się Etonowi, który — jak powiada Marcyalis — chcąc pozdrowić Jowisza i pochylając się głęboko wedle obyczaju starożytnych, pierdnął tak, że cały Kapitol zatrzęsł się w posadach.

EPIGRAM

Multis dum precibus Jovem salutat,
Stans summos resupinus usque in ungues,
Aethon in Capitolio, pepedit.
Riserunt Comites: sed ipso Divum,
Offensus genitor, trinocctiali
Affectit domicoenio clientem.
Post hoc flagitium misellus Aethon,
Cum vult in Capitolium venire,
Sellas ante pedit Patroclianas,
Et pedit deciesque viviesque.
Sed quamvis sibi caverit crepando,
Compressis nati bus Jovem salutat.
MART. Lib. 12, Ep.77¹⁰¹

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

O BEZPOŚREDNICH EFEKTACH PIERDZENIA

Wyróżnia się trzy ich rodzaje: apodyktyczne, konieczne i prawdopodobne.

Efekty apodyktyczne to takie, których przyczyna obecną będąc, zwiastuje, że efekt nie omieszka się ujawnić. I tak człowiek, który naję się grochu i innych jarzyn, winogron, młodych fig, który napije się słodkiego wina, wypieści żonę swą lub kochankę, może spodziewać się bliskich oznak eksplozyi.

Konieczne to takie, jeżeli z pierwszego efektu wynika drugi, jak hałas, nieprzyjemny zapach, etc...

Wreszcie prawdopodobne to te, które nie muszą się zawsze pojawiać i zazwyczaj nie towarzyszą każdemu rodzajowi pierdnięcia, jako to skurcz, kaszel szczekający brzucha, kaszel i niewinne fortele z krzesłami, z kichaniem albo z tupaniem, by nie rozpoznać pierdzącego.

Dobrze jest młodych ludzi i starców uczulić na to, aby nie mieli w zwyczaju czerwienić się, kiedy będą puszczaali wiatry, a zachęcić tych pierwszych do śmiechu, ażeby rozmowę weselszą uczynić.

Nie zdołano jeszcze ustalić, czy oddawanie uryny przy pierdzeniu jest efektem szkodliwym, czy też dobroczynnym. Jeśli o mnie chodzi, mniemam, iż jest dobroczynnym, a że tak jest, wnoszę z aksjomatu, który wydaje mi się dość słusznym, a który powiada, że:

Mingere cum bombis res gratissima lumbis!¹⁰²

W rzeczy samej — sikać bez pierdzenia to udać się do Dieppe i morza nie zobaczyć.

Jednakowoż często sika się przed pierdzeniem, albowiem wiatry pomagają w pierwszej operacyi, uciskając na pęcherz, a pojawiają się potem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O LEKACH I METODACH POWODUJĄCYCH PIERDNIĘCIA. PROBLEMAT.

KWESTYA

CHEMICZNA. DUCH WIATRÓW, CO SIĘ TYCZY PIEGÓW. KONKLUZJA.

Ponieważ istnieją wszelkiego rodzaju niedostatki, a sporo osób pierdzi rzadko lub z trudem, przez co zdarza się mnóstwo wypadków i chorób, pomyślałem, iż powinienem dla nich napisać specjalny, niewielki rozdział, w którym omówię leki i metody, jakie mogą być im pomocne w oddawaniu wiatrów, co to ich męczą. Powiem zatem w dwóch słowach na użytek owych osób, że są dwie kategorie leków powodujących wiatry: wewnętrzne i zewnętrzne.

Lekarstwa wewnętrzne to anyż, koper, ostrzyż plamisty, wreszcie wszystkie środki wiatropędne i rozgrzewające.

Lekarstwa zewnętrzne to lewatywa i czopki.
Niech czynią użytek z jednych i z drugich, a przyniesie im to Z pewnością ulgę.

PROBLEMAT

Można się zapytać, czy istnieje analogia pomiędzy dźwiękami; czy można je dobrać i stworzyć zeń pierdzącą muzykę wielogłosową. Można też zadać pytanie, ile jest rodzajów pierdnieć w zależności od różnicy dźwięków.

Co się tyczy pierwszego pytania, znamienity muzyk gwarantuje muzykę, jakiej się zażąda, i gotów jest w każdej chwili dać koncert tego rodzaju.

Jeżeli chodzi o drugie pytanie, odpowiedź brzmi, że są sześćdziesiąt i dwa dźwięki pośród pierdnieć. Albowiem, według Cardana, podex¹⁰³ może wyprodukować i ułożyć cztery modusy proste pierdnieć — wysoki, niski, odbity i wolny. Na bazie tych modusów tworzy się ich pięćdziesiąt osiem, co wraz czterema pierwszymi daje w ostatecznym policzeniu sześćdziesiąt i dwa dźwięki, czyli różne gatunki pierdnieć.

Kto chce, niech policzy.

KWESTYA CHEMICZNA

DUCH WIATRÓW, CO SIĘ TYCZY PIEGÓW, ETC.

Można zapytać, czy jest możliwem w chemii destylowanie wiatrów i uzyskanie zeń ekstraktów.

Nasuwa się odpowiedź twierdząca.

Pewien aptekarz wyznał całkiem niedawno, że wiatry zaliczają się do kategorii duchów: e numero spirituum. A wzięwszy aparat destylacyjny oto jak zabrał się do rzeczy.

Zawezwał pewną Irlandkę z sąsiedztwa, która na jeden posiłek spożywała tyle mięsa, co zjadłoby sześciu poganiaczy mułów w na trasie z Paryża do Montpellier. Kobieta ta, zrujnowana przez apetyt i gorączkę wątroby, zarabiała na życie, jak umiała. Podał jej mięs, ile tylko zapragnęła i mogła zjeść, oraz ogromne ilości jarzyn wiatropędnych. Nakazał jej, by nie pierdziała ani nie puszczała bąków, nie uprzedziwszy go uprzednio. Przed pojawieniem się wiatrów, wziął jedno z owych dużych naczyń, jakich używa się do produkcji oleju wiotriolowego, i przytknął je starannie do jej odbytu, pobudzając ją jeszcze do pierdzenia poprzez przyjemne środki wiatropędne i każąc jej pić wodę z anyżem, a w końcu wszystkie napoje z jego sklepu odpowiadające jego intencjom. Operacja odbyła się zgodnie z życzeniem, to znaczy wydała wielce obfity plon. Wówczas to nasz aptekarz wziął pewną substancję oleistą albo też balsamiczną, której nazwy nie pomnę, a którą wrzucił do naczynia, całość zaś wystawił na słońce celem skroplenia przez wymieszanie, co dało cudowny ekstrakt Przyszło mu do głowy, że kilka jego kropel będzie mogło usunąć piegi ze skóry, i wypróbował to nazajutrz na twarzy swej szacownej małżonki, która straciła z miejsca wszystkie plamy i z przyjemnością ujrzała, jak cera jej bieleje w oczach. Można żywić nadzieję, iż damy poczynią użytek z owego specyfiku i że przyniosą fortunę aptekarzowi, któremu już nie

będzie się zarzucało, że znał tylko mapę Niderlandów¹⁰⁴.

KONKLUZYA

Aby sztuka pierdzenia w niczem nie ucierpiała, mamy nadzieję, że Czytelnik z ukontentowaniem prześledzi listę niektórych rodzajów pierdnięć, które nie zostały uwzględnione w trakcie niniejszego wywodu. Nie da się wszystkiego wziąć tu pod uwagę, zwłaszcza że szlaki nie są jeszcze przetarte, a materia ta badana jest po raz pierwszy. Zatem dopiero po memoryalach, jakie całkiem niedawno nam przysłano, napisaliśmy to, co następuje. Rozpocznijmy od pierdnięć prowincjonalnych, aby przez to prowincję uhonorować.

PIERDNIĘCIA PROWINCYONALNE

Ludzie doświadczeni zapewniają nas, że pierdnięcia te nie są tak sztuczne, jak wiatry wydawane przez mieszkańców Paryża, gdzie pod każdym względem istnieje wyrafinowanie. Produkuje się je bez zbytnich popisów, ale za to są naturalne i posiadają słonawy posmak, podobnie jak smak zielonych ostryg. Pobudzają przyjemnie apetyt.

PIERDNIĘCIA DOMOWE

Dowiadujemy się od pewnej sławetnej gospodyni z Petersburga, że te rodzaje pierdnięć mają smak wyborny, gdy są całkiem świeże, i że kiedy są ciepłe, chrupie się je z przyjemnością; ale jak tylko stają się czerstwe, tracą swój smak, przypominając pigułki, jakich zażywa się tylko w potrzebie.

PIERDNIĘCIA DZIEWIC

Napisano na temat wyspy Amazonek, że pierdnięcia, jakie tam się produkuje, są smaku wybornego i wielce poszukiwane. Powiadają, że jedynie w tym kraju można je znaleźć, ale nie daje się temu zgola wiary. Przyznaje się jednak, że są one niezmiernie rzadkie.

PIERDNIĘCIA FECHTMISTRZÓW

Listy z obozu nieopodal Konstantynopola donoszą, że pierdnięcia fechtmistrzów są straszne i że nie jest dobrze poczuć je z nazbyt bliska; ponieważ zawsze są chronione pancerzem, powiadają, że nie należy się do nich zbliżać bez floretu w ręce.

PIERDNIĘCIA SZLACHCIANEK

Są to dania wyborne, zwłaszcza w wielkich miastach, gdzie przypominają pyszny

krokiet pomarańczowy.

PIERDNIĘCIA PANIEN

Kiedy pierdnięcia te są dojrzałe, mają przyjemny posmak, którego chciałoby się jeszcze kiedyś zakosztować, a który mile drażni zmysły prawdziwych koneserów.

PIERDNIĘCIA NIEWIAST ZAMĘŻNYCH

Dałoby się z powodzeniem przepisać cały memoriał na temat owych pierdnięć; ale zadowolimy się konkluzją autora, zauważając, iż według niego „mają one smak tylko dla amantów, a mężowie zazwyczaj lekce je sobie ważą”.

PIERDNIĘCIA MIESZCZEK

Mieszczanie z Rouen i Caen przysłali nam długie pismo w formie dysertacji na temat natury pierdnięć ich żon. Chcielibyśmy zadowolić jednych i drugich, podając owa dysertację w całej rozciągłości; jednak ograniczenia, jakie sobie nałożyliśmy, nie pozwalają na to. Powiemy zatem ogólnie, że pierdnięcie mieszczeni posiada dość dobry zapach, kiedy jest pulchnem i gdy należycie je przyrządzono, i że z braku innych, można nim się z powodzeniem zadowolić.

PIERDNIĘCIA WIEŚNIACZEK

Odpowiadając co poniektórym złośliwcom, wśród których pierdnięcia wieśniaczek nie cieszą się reputacją, donoszą z okolic Orleanu, że są one nad wyraz przyjemne i należycie uformowane, jakkolwiek doprawione na sposób wiejski; że są ponadto pierwszorzędne w smaku, podróżnych zaś zapewnia się, iż jest to dla nich prawdziwy kąsek i że będą mogli je połykać z całkowitą ufnością, niemalże garncami.

PIERDNIĘCIA PASTEREK

Pasterki z doliny Tempe w Tesalii zawiadamiają nas, że wiatry ich mają najprawdziwszą woń pierdnięcia, to znaczy, że czuć je dziczką, albowiem produkowane są w okolicach, gdzie rosną jedynie rośliny wonne, jako to macierzanka, majeranek, etc., i że domagają się, aby rozróżniano ich pierdnięcia od pierdnięć pozostałych pasterek te ostatnie wiatry powstają na glebie leżącej odłogiem.

Charakterystyczną cechą pozwalającą je bezbłędnie rozpoznać jest — jak powiadają — robienie tego, co czyni się królikom, aby mieć pewność, że są dzikie: obwąchuje się zadek.

PIERDNIĘCIA STARUCH

Obcowanie z tymi pierdnięciami jest tak nieprzyjemnem, że nie da się znaleźć nabywcy, który by się o nie targował. Wszelako nikomu nie zamierza się zabraniać przytykać tam ust. Targować się można do woli.

PIERDNIĘCIA PIEKARZÓW

Oto krótki memoriał, jaki otrzymaliśmy w tej materii od mistrza piekarskiego z Hawru.

Wysiłek — rzecz — jaki wkłada piekarz wyrabiając ciasto z brzuchem przyciśniętym do dzieży, powoduje pierdnięcia dyftongiczne, które niekiedy zachowują się jak chrabąszcze i dałoby się ich połknąć z tuzin za jednym zamachem.

Uwagę tę zaliczyć można do najuczestniejszych i godną jest ona jak najstaranniejszego przetrawienia.

PIERDNIĘCIA GARNCARZÓW

Chociaż są kształtne, nie są przez to lepsze; są brudne, cuchnące i lepkie. Nie należy ich dotykać, gdyż można się nimi upaćkać.

PIERDNIĘCIA KRAWCÓW

Są one słusznego rozmiarów i mają smak śliwek, ale należy wystrzegać się ich pestek.

PIERDNIĘCIA GEOGRAFÓW

Podobne do chorągiewek na dachu, zmieniają się, jak wiatr powieje. Czasami jednak zatrzymują się od strony północnej, co czyni je wielce zdradliwymi.

PIERDNIĘCIA BRACISZKÓW ZAKONNYCH

Uważa się je za dość osobliwe; smak ich jest w miarę apetyczny, zawsze piszczą z głodu w języku niemieckim. Ale uwaga! Melanż ich jest niezbyt harmonijny. Jeśli nie znajdziesz czegoś lepszego, możesz je mierzyć na baryły.

PIERDNIĘCIA ROGACZÓW

Rozróżnia się dwa ich sorty. Pierwsze są delikatne, mile, łagodne, etc. Są to pierdnięcia rogaczów z własnej i nieprzymuszonej woli. Nie są one szkodliwe. Drugie wychodzą nieoczekiwanie, gwałtownie, bez ładu i składu, i należy ich się wystrzegać: Podobne są do ślimaka, który wychodzi ze skorupy jedynie z wystawionymi rogami.

PIERDNIĘCIA UCZONYCH .

Te ostatnie są cenione nie z racji wielkości, ale dzięki wielce szacownemu środowisku, z którego się wywodzą. Są również bardzo rzadkie, albowiem uczeni siedząc w ławach Akademii, a nie mogąc w zgromadzeniu publicznym zaprzestać ważnej lektury, żeby swobodnie sobie pierdnąć, zmuszeni są nadać tej czynności niewieści charakter, by pierdnięcie wyjść mogło, nie mącąc porządku prac i lektur. Natomiast są one siarczyste, kiedy okazują się dziećmi samotności i wolności, bowiem uczeni naszych czasów jedzą więcej bobu niż pulard.

Co się tyczy poślednich autorów, takich jak ja, cieszymy się pełną swobodą w naszych gabinetach. Zabawiamy się donośną harmonią pierdnieć dyftongicznych: przysparza nam ona inwencji w układaniu ody, a ich dźwięki mieszają się przyjemnie z emfazą, z jaką recytujemy swoje wiersze. Sławetny Boursault wyprodukował zapewne całe mnóstwo podobnych pierdnieć, badając je z wielką uwagą, by ukazywać je z takim znawstwem i smakiem, jak czynił to w *Mercure galant*.

PIERDNIĘCIA URZĘDNIKÓW

Są one najlepiej odżywione, przynoszą zaszczyt kuchni ich autorów. Toteż chodząc po urzędach wielokrotnie zdarzało mi się słyszeć salwy pierdnieć, jakimi zabawiają się gnuśne a beczynne gryzipiórki, pozdrawiając się wzajemnie. Kto wyda najpiękniejszą i najhalaśliwszą batalię? Jest to koncert wytworny i wielce podniosły. Jeżeli panowie ci nie mają nic lepszego do roboty, mają rację: należy walczyć z nudą w biurze i lepiej pierdzieć dla zabicia czasu niż obmawiać kogoś, produkować pamflety albo liczne wiersze.

Zresztą obszernie już wyjaśniałem, jak straszne mogą być konsekwencje wynikające z obawy przed pierdzeniem; i nigdy me będę szczędził pochwał pod adresem tych skwapliwych urzędruków, co to mędrsi niż Metrokles, wolą raczej uchodzić za nieokrzesanych, wypuszczając uwięzione wiatry, niż przerywać pracę, idąc pierdzieć na korytarz, jak bowiem powiada przysłowie: lepiej pierdzieć w towarzystwie, niżli zdychać w ciemnym kącie.

PIERDNIĘCIA AKTORÓW I AKTOREK

Pierdnieć tych nie produkuje się bynajmniej na scenie; ale ponieważ pojawiają się na niej konie, jest prawdopodobnym, iż przyznany im będzie ten sam przywilej. Do tego czasu są tam incognita i nielegalnie, tak jak pierdnięcia uczonych zmieniające płęć. Teatr nasz wprowadza codziennie tak celne innowacje w komedii, że nie byłbym zaskoczony, słysząc salwę wyprodukowaną przez pana Z ***.

KONIEC SZTUKI PIERDZENIA ANEKS II

POCHWAŁA MUCHY

LUKYANOS Z SAMOSATY¹⁰⁵

1. Mucha nie jest najmniejszym stworzeniem skrzydlatym, jeżeli porównać ją z muszkami, komarami i lżejszymi insektami, ale przewyższa je wielkością na tyle, na ile sama ustępuje pszczole. Nie posiada ona, tak jak pozostali mieszkańcy prze- stworzy, ciała pokrytego piórami, z których najdłuższe służą do latania. Skrzydła jej, podobne do skrzydeł pasikoników, cykad i pszczół, utworzone są z Nony, której delikatność, przypominająca grecką tkaninę, przewyższa cienkością skrzydła pozostałych owadów. Lśni kwieście, jak pawie, kiedy spogląda się na nią z uwagą, jak rozwijając w słońcu skrzydła gotuje się do lotu.

2. Lot jej nie jest, tak jak lot nietoperza, ustawicznym biciem skrzydeł; nie są to także skoki, jak w wypadku pasikonika. Nie wydaje bynajmniej przenikliwego dźwięku jak osa, lecz szybuje wdzięcznie, osiągając strefy powietrza, do których jest w stanie się wznieść. Ma ona jeszcze tę zaletę, iż nie zachowuje się cicho, lecz śpiewa podczas lotu, nie wytwarzając zgoła nieznośnego dźwięku muszek i komarów. ani brzęku pszczoły, ani straszego i złowieszczonego bzykania osy. Mucha okazuje tu swą wyższość dzięki swojej łagodności, podobnie jak flet o akcentach bardziej melodyjnych, aniżeli trąbka i czynele.

3. Co się tyczy jej ciała, głowa połączona jest z szyją niezmiernie delikatnym wiązadłem; porusza się ona z łatwością we wszystkich kierunkach i nie jest nieruchoma jak u pasikonika. Oczy są wypukłe, wyraźne i bardzo przypominają rogi. Pierś jest dobrze osadzona, a nogi przylegają doń, nie będąc przyklejone jak u os. Brzuch jest wypukły, dzięki szerokim pręgomi łuskom pancierz przypomina. Przeciwno wrogowi broni się nie odwołaniem, jak osa i pszczoła, lecz ustami i trąbką, w którą jest uzbrojona, jak słonie, i którą pobiera pożywienie, chwyta przedmioty i czepia się ich za pomocą umieszczonego na końcu czułka. Wychodzi stamtąd zęb, którym kluje i pija krew. Pije także mleko, ale woli krew, a ukłucie jej nie jest zbyt bolesnym. Ma sześć nóg, ale porusza się tylko na czterech; obie przednie służą jej za ręce. Można ją tedy ujrzeć, jak chodzi na czterech nogach, trzymając w rękach jakiś pokarm, który unosi do góry całkiem jak człowiek, absolutnie tak jak my.

4. Nie rodzi się taką, jaką ją widzimy. Najpierw jest to larwa wykluwająca się na trupie ludzkim lub zwierzęcym; rychło pojawiają się nogi, wyrastają skrzydła, z gada ptakiem się staje. Z kolei ona sama jest płodna, produkując larwę, która później stanie się muchą. Żywiąc się z ludźmi, jak ich współbiednik i gość, delektuje się wszelkim pożywieniem prócz oliwy, której picie oznacza dla niej śmierć. Żywot muchy jest wielce ograniczony. Chętnie przebywa na świetle, pilnując swych spraw za dnia. Nocą zachowuje się cicho, nie lata ani nie śpiewa, lecz pozostaje skulona bez ruchu.

5. Ażeby udowodnić, iż wcale nie posiada ograniczonej inteligencji, wystarczy, że powiem, iż potrafi unikać pułapek, jakie zastawia na nią paj ąk, jej najokrutniejszy wróg. Staje on na czatach, ale mucha go widzi, obserwuje i zmienia swój lot, aby nie dać się

złapać w sieci i nie wpaść w łapy tego okrutnego zwierzęcia. Co się tyczy jej siły i odwagi, nie mnie wypada o tem mówić, ale najznamienitszemu z poetów, Homerowi. Poeta ten, chcąc sławić jednego ze swych największych herosów, miał przyrównać go do lwa, do pantery lub do dzika, jego nieustrasżoność i nieustępliwość traktuje na równi z brawurą muchy, i nie powiada, że cechuje ją próżność, ale dzielność. Na darmo — dodaje — usiłujemy ją odgonić: nie rezygnuje ona ze swego łupu, ale powraca, by kąsać nadal. Tak bardzo kocha on muchę, z tak wielką lubością ją wychwala, że nie wspomina o niej zaledwie raz jeden ani też w kilku słowach, ale często sławi jej urodę w swych wierszach. Czasami przedstawia cały ich rój, co krąży wokół wazy pełnej mleka; gdzie indziej, kiedy opisuje nam Minerwę odtrącającą strzałę, która miała ugodzić Menelaosa w śmiertelne miejsce, niczym matkę czuwającą nad śpiącym dzieckiem, stara się posłużyć muchą w tern porównaniu. Wreszcie obdarza muchy najbardziej zaszczytnym epitetem, nazywając je zgrupowanemi w bataliony, i rojom ich nazwy ludów nadaje.

6. Mucha jest tak silna, że wszystko co kasa, rani. Na ukąszenia jej wrażliwa jest nie tylko skóra człowieka, ale także skóra konia i wolu. Mucha gnębi słonia, wślizgując się pomiędzy jego fałdy i rani go trąbką, na ile pozwala na to jej wielkość. Szczęśliwa w miłostkach swych i małżeńskim stadle, cieszy się całkowitą wolnością. Samiec, podobnie jak kogut, nie zaprzestaje czynności natychmiast, ale długo okrakiem siedzi na samicy, która utrzymuje swego małżonka na grzbiecie i lata z nim, a nic nie jest w stanie zakłócić ich harmonyi w przestworzach. Kiedy utnie się jej głowę, reszta tułowia żyje i długo jeszcze oddycha.

7. Ale o najcenniejszym darze, jaki sprawiła jej natura, opowiem za chwilę. Zdaje mi się, że Platon wzmiankował o tem w swej księdze o nieśmiertelności duszy. Kiedy mucha jest martwa, jeżeli rzuci się na nią odrobinę popiołu, od razu ożywa, rodzi się powtórnie i rozpoczyna drugie życie. Dlatego też wszyscy winni być przekonani, że dusza jej jest nieśmiertelną i że — jeśli opuści ona ciało na kilka chwil — rychło doń powraca, rozpoznaje je, ożywia, przywracając mu zdolność latania. Dzięki niej można dać wiarę opowieści o Hemiotymosie z Klazomenaj, w której dowiadujemy się, iż opuszcza go często dusza, podróżuje w samotności, następnie powraca, wchodzi do jego ciała, wskrzeszając Hermotymosa.

8. Wszelako mucha jest leniwa. Kradnie owoc pracy innych i wszędzie znajduje suto zastawiony stół. To dla niej dojrzone są kozy, dla niej pszczoła, podobnie jak dla ludzi, rozwija swą produkcję, a kucharze doprawiają dania, których próbuje wcześniej niż królowie. Na ich stole się przechadza, żyje tak jak oni i wszystkie ich przyjemności dzieli.

9. Gniazda swego ani zniesionych jajeczek nie umieszcza bynajmniej w jakimś konkretnem miejscu, ale błądząc w przestworzach, tam gdzie noc ją zaskoczy, przykładem Scytów, szuka domu swego i schronienia. Jak już wspomniałem, nie jest ona aktywna w ciemnościach: nie chce zatajać swych czynów i nie sądzi, aby zmuszona wówczas była robić to, co za dnia wywołać by miało rumieńce wstydu.

10. Dowiadujemy się z opowieści, że mucha była niegdyś niewiastą urody nadzwyczajnej, choć nieco gadatliwą, a do tego miłośniczką muzyki i śpiewu. Stała się

ona rywalką Seline zakochanej w Endymyonie. Ponieważ z lubością budziła tego śpiącego efeba, ustawicznie drażniąc jego uszy śpiewem i opowiadaniem tysięcy głupstewek, Endymyon rozgniewał się, a wzburzona Seline przemieniła ją w muchę. Z tego właśnie powodu nie pozwala ona nikomu spać, a pamięć o Endymyonie sprawia, że poszukuje ona najchętniej uroczych młodzieńców, którzy mają delikatną skórę. Jej lubowanie się we krwi oraz jej ukąszenia nie są tedy oznaką okrucieństwa —jest to znak miłości i filantropii: raduje się, jak może, siadając na kwiatach piękna.

11. Istniała pośród starożytnych niewiasta, którą Mucha zwano. Była niedościgła w poezji, równie pięknej co mądrej.

Inna Mucha była jedną z najsłynniejszych kurtyzan w Atenach. To o niej mówił komedyopisarz:

Mucha go użądliła aż do serca głębin.

Tak oto Muza komedyi nie wzgardziła tern imieniem, by posłużyć się niem na scenie. Ojcowie nasi bynajmniej nie odczuwali skrupułów, nazywając w ten sposób swe córki. Ale nawet sama tragedia wyraża się o musze z największym uznaniem, kiedy rzecze:

Ha! Mucha jest w stanie w swej odwadze wielkiej
By krwią się upajać, ukąsić każdego;
Żołnierze zaś stronią od ostrza lśniącego!

Miałbym jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia o musze, córce Pytagorasa, gdyby jej historia znaną wszystkim nie była.

12. Istnieje szczególny gatunek dużych much, które zwie się potocznie „muchami wojskowemi” lub „psami”. Wydają bzykanie bardzo głośnie, ich lot jest szybki, cieszą się bardzo długim życiem i spędzają zimę nie przyjmując pokarmu, schowane głównie za boazeryanii. Najbardziej zadziwiającemu jest u nich to, że spełniają na przemian funkcje samców i samic, już to pokrywając, już to będąc pokryte, tak oto łącząc w sobie, jak syn Hermesa i Afrodyty, obie płcie i oba piękna. Mógłbym tak kontynuować pochwały, dodając jeszcze wiele innych cech, ale poprzestanę na tem, nie chcąc sprawiać wrażenia, iż pragnę, jako rzecze przysłowie, robić z muchy słonia.¹⁰⁶

ANEKS III

Już w 1935 roku Dali układa na cześć Picassa poemat stanowiący zbiór myśli oraz proroczych refleksji, jakie nasuwają mu się w związku z genialnym eksperymentem tego, którego uważa za swego drugiego ojca.¹⁰⁷

Fenomen biologiczny
i dynastyczny
jakim jest kubizm
Picassa
był

pierwszym wielkim kanibalizmem wyobraźni
przekraczającym eksperymentalne ambicje
dzisiejszej fizyki matematycznej.

Życie Picassa
stanowić będzie polemiczną bazę
ciągle jeszcze niezrozumiałą
dzięki której
psychologia fizyki
powtórnie rozszerzy
szczeliny żywego ciała
i rozjaśni ciemności
na użytek
filozofii.

Ponieważ
myśl materialistyczna
anarchiczna
i systematyczna
Picassa
pozwoli nam poznać namacalnie
i doświadczalnie
nie uciekając się
do
psychologicznych nowości „problematycznych”
o posmaku kantowskim
„gestaltystów”
całą nędzę
wygodnych przedmiotów świadomości
zlokalizowanych
wraz z ich gnuśnymi atomami
odczucia nieskończone
i
przenikliwe.

Albowiem idee hipermaterialistyczne
Picassa
dowodzą
że
kanibalizm rasy pożera
„gatunek intelektualny”
że
domowe wino

moczy już
rodzinny rozporek
fenomenologicznych matematyk
przyszłości
że
istnieją pozapsychologiczne
„figury ściśle”
będące czymś pośrednim
między t
tłuszczem wyobraźni
a
idealizmami monetarnymi
między
arytmetykami nieskończonymi
a
matematykami krwiożerczymi
między „strukturalnym” abstraktem
„obsesyjnej soli”
a zachowaniem się istot żywych
w kontakcie z „obsesyjną solą”
bowiem rzeczona sola
nie ma najmniejszego związku
z
poznaniem
gestaltyzmu
ponieważ
ta teoria figury
ściśle
oraz struktury
nie
dysponuje
technikami fizycznymi
pozwalającymi
analizować
lub nawet
rejestrować
zachowania ludzkie
wobec
struktur
oraz figur
jawiących się
obiektywnie
jako

fizycznie deliryczne
albowiem
nie
istnieje
w dobie obecnej
o ile mi wiadomo
fizyka
psychopatologii
fizyka paranoi
co
można by wyłącznie uważać
za
bazę doświadczalną
przyszłej
filozofii
psychopatologii
przyszłej
filozofii aktywności Paranoiczno-krytycznej
którą to pewnego dnia
postaram się rozpatrywać w polemicznym duchu
jeśli będę miał na to czas
i ochotę.

ANEKS IV

MISTYKA DALEGO A HISTORIA RELIGII

Rodzący się po drugiej wojnie światowej ruch surrealistyczny przyrównać można do olbrzymiej fali bezlitośnie druzgocącej wszystko, co napotyka po drodze. Zasadniczo odmienna koncepcja wyobraźni (nieodzowny czynnik jego rozwoju) szła w parze z niezmiernie silnymi tendencjami destrukcyjnymi, które nie oszczędziły żadnego z uświęconych tradycją praw, negując wszelkie instytucje i wartości społeczne: wojsko, rząd, religię czy też zgromadzone w muzeach eksponaty sztuki klasycznej. Ze szczególnym upodobaniem atakowano tę ostatnią, systematycznie znieważając ją w niewybrednym, a nawet skatologicznym stylu, czasem zaś w błazeński sposób ośmieszając (wąsy Wenus z Milo).

Dali, ów typowy surrealista, jako jedyny spośród największych twórców zdołał poprzez mechanizm wyobraźni przekształcić swe codzienne doświadczenia religijne, „rzymskokatolickie i apostołskie” w tworzywo artystyczne wielkiego formatu, utożsamiane zarazem z duchem dogmatu (jak świadczy o tym spotkanie z Jego Świątobliwością Piusem XII) oraz z duchem surrealizmu, przynajmniej zaś z rzeczą

najważniejszą —ze światem twórczej wyobraźni. Jesteśmy przekonani, że owocem tego niezwykłego zjawiska, jakim jest połączenie surrealizmu i chrystianizmu, przepojonych w równym stopniu pierwiastkiem humanistycznym, będzie niezmiernie bogactwie synteza artystycznych dokonań człowieka.

Wiedzieliśmy, że od kilku już lat religia (a nawet mistyka) odgrywała coraz większą rolę w życiu Salvadora Dali. Świadczą o tym jego lektury, a także spotkania z najświetlejszymi przedstawicielami hiszpańskiej hierarchii kościelnej. Święty Jan od Krzyża, święta Teresa z Avila, Ignacy Loyola: zarówno teksty wielkich mistyków, jak i najbardziej skomplikowane problemy teologiczne, stanowiły niewyczerpane źródło obsesji

i spekulacji twórcy z Cadaques. Konsekwencją tego okazał się *Manifest mistyczny surrealizmu* oraz kolejny etap ikonograficzny w ramach — jak to trafnie określił Michel Tapié — „daliniańskiej ciągłości”. W tym czasie na plan pierwszy wysuwają się dwa motywy: „Narodzenie” (od 1949 do 1951) oraz będąca ukoronowaniem pierwszego okresu „Madonna Mistyczna”, następnie zaś— po roku 1951— „Męka Pańska”. Prawdziwym cudem jest to, że dzięki twórczej inwencji Dalego tak wielkie zaangażowanie się w konstrukcje werbalne najbardziej abstrakcyjnej i najmniej plastycznej ontologii religijnej nie osuszyło głębokich źródeł wizjonerskiej wyobraźni.

Prawdziwym cudem jest to, że porzuciwszy wówczas scholastykę na rzecz pędzla i farb, ów fanatyk, wstrętny arywista, kobotyn i megaloman” w oczach tych, którym wystarcza jedynie powierzchowny sąd, całkowicie pomija milczeniem wszelkie przypadkowe składniki historycznej nadbudowy, aby odkrywać i odgrzebywać najbardziej archaiczne pokłady ludzkiej świadomości, dziedzictwo najbardziej zamierzchłych epok sprzed tysiącleci. Do takiego wniosku dojść można, analizując na przykład *Madonnę Mistyczną*¹⁰⁸, która obrazuje nie tyle kanony estetyczne, co raczej historię religii. Oto seria nachodzących na siebie obrazów: Matka Boska, Chrystus, chleb; ten ostatni jako symbol ziarna - nasienia dającego pokarm, co podkreśla jeszcze kłos pszenicy (poniżej), jajo wiszące na nici uczeponiej do muszli (powyżej) oraz owoc granatu i białe muszle małży (na prawo). U dołu - *Rhinocerotus-protonicus* i jego róg (odcięty). Szkic przygotowawczy do tego dzieła ukazuje nam narodziny Chrystusa mającego postać ziarna, które kiełkując rozłupuje głowę Madonny. Gdzie indziej znów adorującemu aniołowi ukazuje się w chmurach *Rhinocerotus*.

Otóż najstarszym przekazem religijnym, jaki dostarczyli nam nasi prehistoryczni przodkowie, jest grzebanie zmarłych w pozycji płodowej w rozpadlinie ziemskiej, glinianym dzbanie, a także chowanych nierzadko w jaskini, jednoznaczny symbolu odrodzenia się w zaświatach. Następnie przedmiotem kultu jest Magna Mater, Wielka Matka Umma, Amma, Ma, Maja -matka Buddy; jej odpowiednikiem jest Maria w religii chrześcijańskiej, której archaiczne imiona wskrzeszają jeszcze dzisiejsze pokolenia. Jej dominującą rolę żywicielki i rodzicielki ukazują bądź to symbole roślinne stworzone przez cywilizacje typu rolniczego: kłosa, pszenicy, ziarna, czyli odnoszący się par excellence do Kybele, Demeter itd., później ewentualnie kult owocu: granat, winogrono jako źródło napoju dionizyjskiej ekstazy, jednego z owych niezliczonych napojów ekstazy i nieśmiertelności (haoma z Iranu, soma z Indii itd!...); bądź to stworzone przez

cywilizacji typu pasterskiego symbole zwierzęce:

Magna Mater przybierająca często postać świętej krowy (od Indii po Egipt) pojawiającej się obok boskiego byka. Są to Enlil, Bel (Mezopotamia), Mitra (Iran), Min, Amon (Egipt), Zeus (Troja, Kreta, Mykeny), jego syn Dionizos: bóg pod postacią byka, którego relikwiami są między innymi i Minotaur, porwanie Europy, biblijny kult złotego cielca, hiszpańska corrida. Ów boski byk niezmiennie uważany był za boga Nieba, zwanego inaczej „Najwyższym”, często kojarzącego się ze stanem profetycznego upojenia (Amon, Apis, Dionizos itd...). Stan ekstazy, do którego dochodzi się dzięki metodzie paranoiczno-krytycznej, jest jedynie namiastką tych świętych upoiń i podobnie jak one związany jest z tymi samymi elementami. Rhinoceroticus, jako owoc paranoiczno-krytycznych dywagacji, świadczy o autentyczności wyobraźni Dalego. Zastąpienie dwóch rogów byka tylko jednym, i do tego odcięty, ma się kojarzyć z kastracją. W symbolicznej formie obecna jest ona we wszystkich religiach (począwszy od okaleczenia Abelarda, a skończywszy na tonsurze i celibacie w religii chrześcijańskiej). Dali przypisuje moc prokreacji nie Marii, lecz Jezusowi, co „zapisane jest” zarówno w najbardziej archaicznych, jak i najnowszych mitach, poczynając od najwyższego boga Słońca, który spłodził się sam (egipski Re), a kończąc na Jowiszu, który spłodził Semele, jak również Atenę (ze swej rozciętej głowy). Wymieńmy też, jakże bliskiego nam, Adama, twórcę Ewy.

Należy dodać, że inspiracja Dalego nie rodzi się za sprawą objawienia. Jest ona rezultatem procesów umysłowych bliskich psychozie i pod tym względem Dali prześciga siebie samego, abyśmy mogli wniknąć w jego osobliwy świat. Sekretne życie jest świadectwem niezwykłym, prawdziwą skarbnicą wiedzy dla psychiatrów, amatorów humoru, a także dla psychologów i znawców estetyki zainteresowanych poznaniem mechanizmów twórczości artystycznej. Dali ukazuje nam wspomnienia z dzieciństwa. Nieistotne jest, że autor świadomie lub nieświadomie przedstawia fakty pod kątem autoreklamy, ponieważ mitomania w niczym nie krępuje psychoanalizy: co więcej — wzbogacają. Owa autobiografia to stworzony przez człowieka zdumiewający dokument, którego wartość naukowa porównywalna jest ze wszech miar do autobiografii Schreiberna, słynnego paranoika mistycznego, o którym wspomina Freud.

Dzieło Dalego związane jest nieodłącznie z jego życiem. Czyż Matka Boska nie ma twarzy Gali?; czyż Dali nie przedstawił siebie ukrzyżowanego wraz z Galą i świętym Janem?; czyż jego podpis połączony z podpisem Gali nie jest przebity krzyżem?

Wirujący ruch taczki wokół głowy Matki Boskiej, z której — jak już wiemy — zrodził się kłós — Jezus, wyjaśnić można, odwołując się do mitu o spłodzeniu Ateny przez Jowisza. Ten ostatni, nim topór Hefajstosa przyniósł mu ulgę, cierpiał na bóle głowy. Owo wirowanie symbolizuje zawroty głowy podczas porodu i nieprzypadkowo dowiadujemy się z artykułu wydrukowanego ostatnio w *Revue Francaise de Psychanalyse*, że bóle i zawroty głowy towarzyszą, tak jak u Dalego i Jowisza, urazom i emocjom związanym z porodem.

Trwałość oraz nieustające odrodzenie, zaczerpnięte z archetypowych źródeł człowieczeństwa, lecz równie silnie osadzone w kontekście historycznym, w czasach

współczesnych Dalemu— oto co zdaje się określać najpełniej jego geniusz sprawiając, że nawiązuje on do świetnych tradycji mistrzów Renesansu, na których jakże często i chętnie się powołuje. Przekraczając wyobrażalne granice spektakularnej, czasem szaleńczej wręcz wybujałości, wszechświat Dalego jawi się jako świat wielkiego baroku.
Doktor PIERRE ROUMEGUERE

ANEKS V

SALVADOR DALI I ŚWIAT ANIOŁÓW

Uwolnione od religijnego piętna, niezmiarzone przestrzenie kosmosu nie trwożą już człowieka współczesnego — co więcej: przyciągają go. Natomiast ujęcie wszechświata w racjonalne ramy wywołuje jego sprzeciw, nie da się bowiem pogodzić z nieodgadnionymi obszarami Tajemnicy, do których nauka współczesna nie ma dostępu. Człowiek nie zdawał sobie sprawy, że są one tak wielkie i nieokreślone. Jeżeli światów nie sposób określić, na cóż zda się filozofowanie? Lecz oto odzywa się Dante - wizjonerski poeta-teolog, i dusza znajduje ukojenie.

Przechodzimy przez dziewięć kręgów piekła, przedsionek czyśćca, czyściec i jego tarasy. Przybywamy z siódmego tarasu do raju ziemskiego... Następnie oczom naszym ukazuje się raj.

Docieramy na Księżyc, dowiadujemy się, jakie jest pochodzenie plam księżycowych. I oto ukazują się nieba: planeta Merkury, Wenus, Słońce, Mars, Jowisz, Saturn, ósme niebo - niebo gwiazd stałych, triumfu Chrystusa. Wreszcie dziewiąte - siedziba Boga i dziewięciu chórów anielskich...

Promieniejącą ujrzę iskrę żaru;
A tak mi w oczach przenikliwie pała,
Że je zasłaniam od blasków nadmiaru.

Dokoła punktu maleńkiego, ręce
Niżli najszybszy ruch dokoła świata,
Wirował ciągle pas jasnej obręczy.

Spojrzę, a nad nią drugi krąg polata,
Trzeci i czwarty wolniejszymi gony,
Za nimi piąty i szósty się splata.
Za szóstym siódmy...

Ósmy, dziewiąty — a tym opieszalej

Każdy z tych kręgów swoją wstęgę wije,
Im od Jedności odsadził się dalej.
Żar najświetlejszy z tej obręczy bije,
Która najbliższa czystej Iskry leży:
Snadź ze strug prawdy najobficiej pije.
Pieśń XXVIII

W trakcie rozmowy nagranej w roku 1956 za jego zgodą, Salvador Dali wyznał mi, że nic go tak bardzo nie pobudza, jak idea Anioła. Dali pragnąłby malować niebo, przeniknąć przez sklepienie niebieskie, by nawiązać kontakt z Bogiem. Bóg jest dla niego ideą niepojętą, nie dającą się określić. Być może —rozważa Dali — to On jest ową substancją, której poszukuje fizyka atomowa. Wszelako, jego zdaniem, Bóg nie jest natury kosmicznej, albowiem — jak mi powiedział — narzucałoby to pewne ograniczenia. Pojmuje go jako szereg przeciwstawnych idei, na podstawie których nie da się stworzyć jakiegokolwiek koncepcji struktury. Dla Dalego, Katalończyka z krwi i kości, forma jest czymś bardzo konkretnym; wiedzą o tym nawet Aniołowie¹⁰⁹. Już w bardzo młodym wieku — mówi mi — namalowałem obraz o tematyce anielskiej, a jeżeli od pewnego czasu obiektem jego zainteresowania jest Matka Boska Wniebowzięta, to dlatego — oświadcza — że dostała się do nieba dzięki energii aniołów. Dali zaś chciałby poznać tajemnicę owego zjawiska.

A zatem na czym ono polega?

(Dzięki temu zrozumiemy, dlaczego w serii Wniebowzięcie posługuje się strukturami atomistycznymi).

Dali wyobraża sobie, że protony i neutrony są elementami anielskimi, gdyż w ciałach niebieskich —jak wyjaśnia — „są pozostałości substancji, a to dlatego, że niektóre istoty wydają mi się bliskie aniołom, jak Rafael lub święty Jan od Krzyża.

Temperatura Rafaela, odpowiadająca chłodnej, wiosennej pogodzie, jest właśnie temperaturą Matki Boskiej i Róży”.

Po czym dodał poważnym tonem: „Potrzebuję ideału hiperestetycznej czystości. Coraz bardziej absorbuje mnie idea niewinności. Jest to dla mnie zasadniczy warunek życia duchowego”.

Czy gwoli usprawiedliwienia anielskich inklinacji Dalego, inklinacji przez długi okres demonicznych (ale przecież diabeł to także anioł), wystarczyłoby przypomnieć ową zabawę wieku dziecięcego, kiedy to wraz z rówieśnikami miał zwyczaj uciskać aż do bólu zamknięte powieki, by w oczach pojawiły się błyski? Nazywali to bawieniem się w oglądanie aniołów. Czy wystarczyłoby stwierdzić, jak wyjaśnia mu to psychoanalityk, że w ten oto sposób odnaleźć można utracony raj matczynego łona? Dlaczegoż nie widzieć w tym śladu „predestynacji”? W każdym razie jest rzeczą prawdopodobną, że Dali wyrażając w ten sposób swe artystyczne credo zdołał uniknąć szaleństwa, gdyż nie pozwoliło mu to utracić kontaktu z prawdziwą sztuką. Zresztą Dali rzeczywiście wierzy w istnienie aniołów. Kiedy spytałem go, dlaczego, odpowiedział mi: „Marzenia, refleksje o czymkolwiek napawają mnie przyjemnością jedynie pod warunkiem, że mogą one

odpowiadać prawdzie. A zatem jeżeli odczuwam taką przyjemność, kiedy nachodzą mnie anielskie wizje, mam podstawy, by wierzyć w istnienie aniołów”. Dali przyjmuje za pewnik, że istnieje bardzo wyraźna różnica między tym, co — jak przypuszcza — jest aniołem (w którego istnienie rzeczywiście wierzy, z powodów, o których mowa wyżej), a Cudowną Ideą będącą wytworem fantazji, „owym kamieniem węgielnym szaleńców” — jak mawiał Paracelsus.

W Aniele Dali odnajduje się, z Aniołem się identyfikuje; być może odkrywa nieznanego, lecz jakże ważny aspekt swej osobowości, Kogoś, kogo zna Bóg, my zaś powinniśmy starać się pojąć.

W jakim stopniu Salvador Dali zdołał przeniknąć do Anielskiego Raju Dantego Alighieri? Osądźmy to sami.

Jako rój pszczelny raz po raz się wkwieci
I znów polata nad pąkiem kuliście,
Miód urabiając z kwiatu słodkiej śnieci,
Tak owy hufiec między piękne liście
Wpadał i wzlatał, i ginął w bezmiarze,
Gdzie miłość jego mieszka wiekuiście.
Z płomieni żywych były jednych twarze,
A skrzydła złote; drugi huf był w bieli:
Żadna biel śnieżna z nim nie stanie w parze.

Pieśń XXXI¹¹⁰

BRUNO FROISSART¹¹¹

PRZYPISY

¹ Książka ta znana jest także pod tytułem Tajemne życie Salvadora Dali. (przyp. tłum.)

² Dali wspominał w Sekretnym życiu (wyd. La Table Ronde) o tym osobliwym nauczycielu, którego „zasługą” było to, że po pierwszym roku nauki Dali zapomniał podstaw alfabetu i rachunków.

³ Aluzja do działającego za czasów frankistowskich tzw. Sindicato vertical. (przyp. tłum.)

⁴ Manifest mistyczny Salvadora Dali (Paryż, 1952).

⁵ Podbój irracjonalności Salvadora Dali (Editions Surrealistes, 1935).

⁶ Avida Dollars, czyli „chciwy dolarów” (hiszp.) — słynny anagram odnoszący się do Salvadora Dali. Odpowiednia kombinacja jego liter daje imię i nazwisko artysty. (przyp. tłum.)

⁷ Te jakże typowe dla Salvadora Dali osobliwe skojarzenia nawiązują do dwóch jego znanych obrazów: Miękkie zegary oraz Jajka sadzone bez talerza. Ostatni tytuł nie oddaje nieprzetłumaczalnej gry słów tytułu oryginalnego: Oeufs sur le plat sans le plat. (przyp. tłum.)

⁸ Nawiązanie do klimatu powieści A. Gide’a: bohater szuka potwierdzenia własnej

wolności, uciekając się do czynów pozbawionych motywacji (acte gratuit), aż do zbrodni włącznie. (przyp. tłum.)

⁹ Dali mierzył wtedy temperaturę. Gala rzekła do niego -dwie minuty wystarczą. — Dla większej pewności — odpowiedział — trzymać będę termometr jeszcze przez 15 minut.

¹⁰ Dali nawiązuje do mitu o córce Akryzjosa, Danae, do której zakochany Zeus przedostał się w postaci złotego deszczu, kiedy była uwięziona w spiżowej wieży. (przyp. tłum.)

¹¹ Dali jeszcze nie wie, dlaczego co roku o tej porze wysyła do Picassa kartę pocztową przypominającą mu to przysłowie.

¹² Czyli Paracelsusa (1493-1541).

¹³ Dali rzeczywiście o tym wspominał w Sekretnym życiu, jednak wyczerpująca analiza tego zagadnienia ma się pojawić w dwóch lub trzech tomach.

¹⁴ W rzeczywistości chodzi o Dziennik geniusza, który Dali zaczął systematycznie prowadzić.

¹⁵ Ze wszystkich tych projektów tylko jeden doczekał się realizacji: album fotograficzny zatytułowany wąsy Dalego, w którym autor rozpoczął katalogowanie swej kolekcji włosów dzięki zdjęciom Halsmana.

¹⁶ Elebe w prowincji Alicante.

¹⁷ Popiersie z piaskowca odkryte w XIX w. podczas prac wykopaliskowych w ruinach fenickich.

¹⁸ Dali osobiście przywiózł te dwa łabędzie do Port Lligat. Ptaki świetnie się tam zaaklimatyzowały.

¹⁹ Niestety! Dali tym razem nie dotrzymał słowa! Drugi dzień sierpnia 1952 jego Dziennik pomija milczeniem, ale w roku 1953 znów spotykamy się z Arturo Lopezem i jego towarzystwem.

²⁰ Region Costa Brava obejmujący Cadaques i Port Lligat.

²¹ Obraz z 1945 roku, obecnie własność Gali Dali. Dziś w zbiorach Fundacion Gala-Salvador Dali w Figueras. „Przez sześć miesięcy — mówi Dali — moim celem było dorównać w technice mistrzom starożytnym, oddać „przedwybuchową” nieruchomość przedmiotu. Jest to obraz najbardziej dopracowany pod względem przygotowania geometrycznego”. (przyp. red.)

²² Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

²³ Eleusis: starożytne miasto w Attyce, słynne z corocznych misterii. (przyp. tłum.)

²⁴ Malarz-abstrakcjonista, z którego Dali pokpiwa sobie zdrowo od wielu lat. Por. Les cocus du vieil art moderne (Rogacze starej sztuki nowoczesnej — przyp. tłum), wyd. Fasquelle, oraz Aneks VI: Tabela porównawcza wartości według kryteriów Dalego.

²⁵ Dali rozstaje się rzadko z cennym nagraniem: małą płytą gramofonową — dziełem członków klubu amerykańskich pierdzieli, a także powraca ustawicznie do swej cennej książeczki Sztuka pierdzenia autorstwa hrabiego de La Trompette, której obszerne fragmenty publikujemy w Aneksie.

²⁶ Wyrażenie bardzo trudne do przetłumaczenia. Jest to aluzja do przysłowia katalońskiego: liczenie bobu jest mniej więcej tym, co liczenie fasoli pełniące funkcję środka płatniczego.

- ²⁷ Dali utrzymuje osobiste i osobiwe kontakty z aniołami. W Aneksie znajduje się artykuł Bruno Froissarta dotyczący tej delikatnej kwestii.
- ²⁸ Don Carlos de Beistegui y Benitez, hiszpański malarz i miłośnik sztuki. (przyp. tłum.)
- ²⁹ „Radiolary” przypominają do złudzenia słynne sfery armilarne figurujące zwłaszcza w znakach herbowych królów Portugalii.
- ³⁰ „Nisoidy” są elementami korpuskularnymi tworzącymi Corpuscularia Lapislazulina Dalego.
- ³¹ Dali zauważył później, że podarł rejestr podatkowy notariusza, co było czynem karalnym.
- ³² Misia (Maria Zofia) z Godebskich, 1voto Tadeuszowa Natansonowa, 2 voto Alfredowa Edwards, 3 voto Sert. (przyp. tłum.)
- ³³ Gwadalkiwir bujną brodę
brzegów swych zdobi granatem.
Smutne są Granady rzeki:
jedna krwią jest, druga płaczem.
(Tłum. Irena Kuran-Bogucka)
- ³⁴ Wydana została dopiero w roku 1963 przez J.-J. Pauverta.
- ³⁵ Stowarzyszenie Pisarzy i Artystów Rewolucyjnych. (przyp. tłum.)
- ³⁶ Architekt, twórca gotyku śródziemnomorskiego, projektant kościoła Sagrada Familia w Barcelonie, którego budowy nie dokończono, a także ogrodu publicznego oraz licznych budynków mieszkalnych.
- ³⁷ Renaitre (fr.) — odrodzić się, odradzać się. (przyp. tłum.)
- ³⁸ Dali kojarzy nazwisko Crevel z francuskim czasownikiem (se) crever — zdychać, umierać, zamęczać się, katować się. Na podstawie powyższych skojarzeń tworzy nieprzetłumaczalną grę słów. (przyp. tłum.)
- ³⁹ Rzeźbiarz grecki z V w. p.n.e. twórca kanonu ustalającego proporcje ciała ludzkiego, obowiązującego w sztuce greckiej do czasów Lizypa. (przyp. red.)
- ⁴⁰ Obecny! (przyp. tłum.)
- ⁴¹ 50 secrets of magic craftsmanship, by Salvador Dali. The dial press, New York, 1948.
- ⁴² Fetes galantes: rodzaj malarstwa przedstawiającego bawiących się młodych ludzi w strojach teatralnych (Watteau). (przyp. tłum.)
- ⁴³ Francuski malarz i litograf, zwany le Larousse, urodzony w Gournay. Tworzone przezeń postacie wydobywają się z mrocznego tła. (1849-1906)
- ⁴⁴ Chrystus na krzyżu ofiarowany przez Chestera Dalesa nowojorskiemu Metropolitan Museum of Art.
- ⁴⁵ Miasteczko niedaleko Figueras, w którym Gala zakupiła szereg stylowych mebli będących ozdobą domu w Port Lligat.
- ⁴⁶ Śmierć Stalina.
- ⁴⁷ W tym samym roku co Chrystusa na krzyżu Dali namalował tors mężczyzny, wzorując się na Fidiaszu.
- ⁴⁸ Hiszpański architekt Eskurialu, autor Discours sur la forme cubique będącego źródłem inspiracji dla Dalego w pracy nad Chrystusem na krzyżu.
- ⁴⁹ Chodzi o Święto jesieni do muzyki Henri Saugueta według poetyckiego tekstu P. de

Rotschilda, z choreografią Serge'a Lifara. Dali wykonał projekty szkicowe dekoracji i kostiumów. (przyp. red.)

⁵⁰ Śliczny mały kotek.

⁵¹ W gołębniku podtrzymywanym przez drewniane, widelkowate podpórki Dali trzyma około 20 ptaków.

⁵² Dali zanotował na marginesie Dziennika, że podobne dolegliwości gastryczne miał w tym samym okresie 9 lat później. Przypomnijmy, że dziewiątka jest cyfrą sześcienną par excellence.

⁵³ I znów 9 lat później Dali zanotuje na marginesie Dziennika całkowicie odmiennym charakterem pisma: „Jednocześnie postanawiam w 1962 roku skonstruować mury mieszczące maszyny cybernetyczne, ponieważ mój mózg nie może już znaleźć dla siebie miejsca ani w głowie, ani w domu. Zbuduję je poza domem. Zamiast jelitowego gruchania z 1953 roku pracować będzie mój mózg, którego zwoje ułożyły się na kształt jelit”.

⁵⁴ Niewielki port na północ od Cadaques, na Costa Brava.

⁵⁵ W oryginale: La Belle Helene et la baleine, (przyp. tłum)

⁵⁶ Dali urodził się w 1904 roku; liczył więc faktycznie 49 lat

⁵⁷ Niewielka wyspa na wysokości przylądka Creus.

⁵⁸ Śmieć się pajacu to tytuł eseju będącego w przygotowaniu od lat. Dali zamierza wykazać, że mechanizmem wywołującym najskuteczniej śmiech i emocje wśród widzów jest występ clowna, który inkasuje ciosy w fizycznym i psychologicznym tego słowa znaczeniu. Por. zakończenie Błękitnego Anioła.

⁵⁹ W Sekretnym życiu Dali opowiedział historię tej katalońskiej matrony, która przygarnęła go wraz z Galą, kiedy został wygnany z rodzinnego domu. „Postawna Lidia” żywiła urojoną miłość do Eugenia d'Ors, którego raz jeden widziała przełomie w czasach swej młodości.

⁶⁰ Postawna kobieta. (hiszp.; przyp. tłum.)

⁶¹ Aluzja do bardzo słynnego obrazu Dalego będącego własnością państwa Morse. Artysta zdefiniował go następująco: „Po dwudziestu latach całkowitej beczynności miękkie zegary dezintegrują się dynamicznie, chromosomy natomiast kontynuują dziedziczną ewolucję genów mych arabskich atawizmów prenatalnych”.

⁶² Wbrew pozorom rok 1954 nie jest bezpowrotnie stracony — wręcz przeciwnie. To jeden z najbardziej intensywnych okresów w życiu Dalego. Przede wszystkim pisze on sztukę w trzech aktach: Delirium erotyczno-mistyczne z udziałem trojga bohaterów. Jak łatwo się domyślić, ten pełen liryzmu dramat, przepojony wybujałym erotyzmem w warstwie słownej, można będzie prezentować wyłącznie w gronie najbliższych mu osób. Dali pisze również 120 dni Sodomy boskiego markiza na odwrót i rozpoczyna pracę nad filmem: Cudowna historia Koronczarki i Nosorożca.

⁶³ Dali często podkreślał, że najważniejsze emocje docierają do niego przez łokieć. Nigdy przez serce!

⁶⁴ W tym momencie wyraźne poruszenie na sali.

⁶⁵ Narcisse Monturiol, rodak Dalego, urodzony w Figueras. Uważa się go za wynalazcę łodzi podwodnej.

- ⁶⁶ W kwietniu, podczas podróży przez Atlantyk na pokładzie s.s. „America” Dali napisał ów zjadliwy pamflet Rogacze starej sztuki nowoczesnej. Wyd. Fasquelle, 1956.
- ⁶⁷ Wersja francuska tego zdania (*Elle a chaud au cul*) równoważna jest fonetycznie z podanym skrótem. (przyp. tłum.)
- ⁶⁸ W roku 1963 można było odnieść wrażenie, że życzenie Dalego się spełniło. Mona Liza odbyła podróż do Stanów Zjednoczonych. Jednakże nie skorzystano z tej sposobności, aby spalić muzeum i kiedy Gioconda powróciła, zastała swój dom w nienaruszonym stanie.
- ⁶⁹ W marcowym numerze *Art News* z 1963 roku Dali szerzej omawia ten temat, pozwalając rzucić w siebie temu, kto inaczej wytłumaczyłby ataki, których stała się ofiarą. Podniesie go —powiada— aby w dalszym ciągu budować gmach Prawdy.
- ⁷⁰ Raymond Roussel (1877-1933), cieszący się wielkim mirem u surrealistów, jest autorem *Impressions d’Afrique*, *La doublure*, *Locus Solus*.
- ⁷¹ W holu domu w Port Lligat Dali umieścił w kącie wielkiego wypchanego niedźwiedzia, którego obwiesił biżuterią.
- ⁷² Ślub odbył się w 1958 roku.
- ⁷³ Gęś (fr.; przyp. tłum.)
- ⁷⁴ Chodzi zapewne o nasionnicę oliwnicę. (przyp. tłum.)
- ⁷⁵ W *Sekretnym życiu Dali* powraca do tej drażliwej kwestii. Jego przeciwnicy długo utrzymywali, że nigdy nie spotkał się on z Freudem. Jednakże Fleur Cowles w książce *Dali, la vie d’un grand excentrique* mogła wykazać niezbiecie, dzięki listowi Freuda, że malarz i lekarz spotkali się w Londynie na początku lata 1938 roku.
- ⁷⁶ Chodzi tu o ostatni rozdział książki S. Zweiga *Świat wczorajszy*. W wersjach obcojęzycznych tytuł ten brzmi identycznie. (przyp. tłum.)
- ⁷⁷ Termin autorstwa Dalego (fr- *boule* — kula) odnoszący się do jego eksperymentów artystycznych. (przyp. tłum.)
- ⁷⁸ Doktor Pierre Roumequere, z paryskiej Akademii Medycznej, jest między innymi autorem załączonego w *Aneksie* studium „*Mistyka Dalego a historia religii*”.
- ⁷⁹ Simon i Shuster, którzy wydali książkę *Halsmana Wąsy Dalego*, poradzili Dalemu, aby powstrzymał się od jakichkolwiek prorocत्व, ponieważ nieprawdopodobieństwo prorocत्व może narazić na szwank doskonałość tego, co było wcześniej.
- ⁸⁰ Peter Carl Faberge, znany złotnik — słynął z wykonywanych ze złota i drogich kamieni jajek. (przyp. tłum.)
- ⁸¹ Aluzja do przypowieści o zdychającym z głodu osle między miarką owsa a wiadrem wody znajdującymi się od niego w tej samej odległości. Posługując się tą parabolą średniowieczny filozof Jean Buridan ilustrować miał trudności związane z problemem determinizmu i wolnej woli. (przyp. tłum.)
- ⁸² Zboczenie seksualne, którego nazwa pochodzi od nazwiska Solange de Clede.
- ⁸³ *Pomme grenade* (fr.) — dosłownie: jabłko granatu. (przyp. tłum.)
- ⁸⁴ Wydana przez Josepha Foret, Paryż, 1960
- ⁸⁵ Dom Dalego w Port Lligat zwieńczony jest charakterystycznymi, widocznymi z daleka bryłami w kształcie jaj. (przyp. tłum.)
- ⁸⁶ Aluzja do obrazu Dalego (1954) należącego do Gali Dali „całkowicie wykonanego w

sposób niewidzialny według boskiej proporcji Lucasa Pacciolego”.

⁸⁷ W roku 1959 na drzwiach Dalego dostrzec można napis w języku angielskim i francuskim: Priere de ne pas deranger. Please do not disturb! (Proszę nie przeszkadzać - przyp. tłum.) Dali maluje, pisze, medytuje. Tajemnicę tego roku zdradzi nam w okresie późniejszym.

⁸⁸ Wystawa w muzeum Galliera trwała od 19 do 31 maja, budząc duże zainteresowanie. Z tej okazji ukazał się poświęcony Dalemu katalog, który opracowali: Clovis Eyraud, Rene Heron de Vlilefosse, Marcel Brion, Raymond Cogniat, Jean-Marc Campagne, Jean Bardiot, Bruno Froissart, Pierre Guegen, Claude Roger-Marx, J-P. Crespelle, Jean Cathelin, Gaston Bonheur, Andre Parinaud, Paul Carriere.

⁸⁹ Paul Eluard

⁹⁰ Chafarrinada (hiszp.) - kleks, plama (przyp. tłum.)

⁹¹ Na opasłej księdze rachunkowej, w której Dali notował refleksje roku 61, widnieją wykonane drukiem czerwony napis: TOP SECRET. W swoim czasie dowiemy się, nad czym to medytował w Port Lligat i Nowym Jorku. Na razie uszanujmy tę jakże nietypową dla niego dyskrecję.

⁹² Już w maju 1957 roku Dali poświęcił sporo miejsca muchom z Port Lligat, które uwielbia bardziej niż jakiegokolwiek inne muchy na świecie. W Aneksie załączamy traktujący o muchach tekst Lukianosa z Samosaty. Wzbudza on nieklamany zachwyt Dalego.

⁹³ Książka ta, bez daty wydania, ukazała się prawdopodobnie w XIX wieku. Wydawca nie chlubił się nią zbyt, gdyż kryje się pod pseudonimem: Grosse TONNETTE, la belle Timbaliere (Wielka Grzmociara, Piękna Doboszka - przyp. tłum.); zamieszkuje w Moncuq (Gujenna).

⁹⁴ Mówi i puszcza wiatry, i dziesięć i dwadzieścia razy. (przyp. tłum.)

⁹⁵ Jest miara we wszystkim, są pewne granice, poza którymi prawość ostać się nie może (przyp. tłum.)

⁹⁶ Dojrzały nawóz słusznego jest ciężaru (przyp. tłum.)

⁹⁷ Aluzja do anegdotycznego przysłowia francuskiego tłumaczącego w skondensowanej formie, że nie każdego było stać na korzystanie z usług słynnej kurtyzany korynckiej imieniem Lais. (przyp. diun.)

⁹⁸ Lekarz grecki z epoki starożytnej. (przyp. tłum.)

⁹⁹ Prawnik francuski z epoki Renesansu. (przyp. tłum.)

¹⁰⁰ Dosłownie: Wielka Pustelnia — podgórska okolica niedaleko Grenoble z klasztorem kartuzów. (przyp. tłum.)

¹⁰¹

Na Kapitolu w modłach zatopiony
Głębokie bogu oddając pokłony,
Eton nie wytrzymał brzydkiego odgłosu.
Ludzie się śmieli, ale pan niebiosów,
Bardziej zgorszony niż do śmiechu skory,
Kazał mu w domu jeść przez trzy wieczory.
Odtąd nie mogąc zapomnieć o wstydzie,

Ilekoć biedak na Kapitol idzie,
Wszędzie po drodze wstępując do latryn
I tam na zapas głośno puszcza wiatry,
A potem jeszcze, na wszelki wypadek,
Zanosząc modły — mocno ściska zadek.

Marcjalis, „Epigramy”

tłum. S. Kołodziejczyk Warszawa 1985

¹⁰² Oddawać mocz donośny odgłos czyniąc wielce przyjemną jest dla lędźwi rzeczą.
(przyp. tłum.)

¹⁰³ Tylek, pośladek. (łac.; przyp. tłum.)

¹⁰⁴ Czyli krajów, regionów nisko leżących. (przyp. tłum.)

¹⁰⁵ Na podstawie tłumaczenia Eugene Talbota; wyd. Hachette, 1874.

¹⁰⁶ Odpowiednik polskiego przysłowia „robić z igły widły”. (przyp. tłum.)

¹⁰⁷ Fragment Zdobycia irracjonalności. (La Conquete de l'Irrationnel, Editions Surrealistes, 1935)

¹⁰⁸ Obraz ten bardziej znany jest pod tytułem „Madonna z Port Lligat”. (przyp. tłum.)

¹⁰⁹ Aluzja do hiszpańskiego powiedzenia znaczącego tyle co: to jest oczywista prawda, jest to rzecz powszechnie znana. (przyp. tłum.)

¹¹⁰ Fragmenty Boskiej Komedii w przekładzie Edwarda Porębowicza. (przyp. tłum.)

¹¹¹ Szkic ten, autorstwa nieodżałowanego Ojca Brunona, stanowiący fragment katalogu wydanego z okazji wystawy w Muzeum Galliera w 1960 r., mogliśmy zamieścić dzięki uprzejmości pana Josepha Foret, wydawcy Don Kichota i Apokalipsy.